TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Adopcje: rodzice potrzebni od zaraz

Po co nam szkolne lektury

Krzemowy cielec. Czy zbawi nas algorytm?

Bomba atomowa: polisa na ciężkie czasy

Fotograf prowincjonalny: za taką Polską tęsknimy

32 STRONY EKSTRA: WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 28 stycznia – 3 lutego 2026 | nr 05 (3995)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

JAK NIE ZOSTAĆ HEJTEREM

ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM STARONIEM, PSYCHOLOGIEM: DLACZEGO SŁOWA NISZCZĄ, A AKCEPTACJA RATUJE ŻYCIE

STRONY 12 – 16



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425


RAINBOW
R.pl
Tego lata spędzę więcej czasu z rodziną
TO BĘDZIE TWOJE LATO
ZAPLANUJ WAKACJE JUŻ DZIŚ
Zawsze w cenie:
Bagaż rejestrowany i podręczny
Transfer lotnisko-hotel-lotnisko
Ubezpieczenie podstawowe
Opieka rezydenta
REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Jak się nie dać*

Był człowiekiem dobrze wychowanym. Nigdy nie słyszałem od niego nieprzyzwoitego słowa. A jednak opowiadano, że kiedy postrzelił go jakiś bandzior i był wieziony do szpitala jakimś konnym zaprzęgiem, to klął – płynnie, nieustannie, przez całą drogę. To znaczy, że umiał, to znaczy, że do tej umiejętności sięgnął. Ale tylko wtedy.

Piszemy dziś w „Tygodniku" o hejcie, zwłaszcza internetowym. Myślę o tym, jak się mu nie dać? Są ludzie, u których wewnętrzny przymus reagowania na wszystko, czemu są przeciwni, działa z siłą nie do opanowania. Nic nie jest w stanie ich powstrzymać od natychmiastowego reagowania, pisania tego, co akurat przyszło im na myśl, wysyłania tego w świat za pośrednictwem mediów społecznościowych. Oczywiście każdego coś może zirytować, coś może wołać o ripostę. Ale nie zawsze, niestety, towarzyszy temu krytyczna refleksja.

Jeśli wierzyć specjalistom, irytacji na zachowanie bliźnich nie sposób całkowicie wyeliminować: trzeba ją jakoś rozładować. Jak? Tu rady ekspertów są mniej klarowne. Moje sposoby (mało oryginalne) są takie: nie działać nigdy pod wpływem emocji, przejść się, zająć się czymś innym, odczekać. Spokojnie raz jeszcze pomyśleć, czy to, co w pierwszym odruchu wydawało się jedyną słuszną reakcją, jest nią rzeczywiście. Kiedy minie pierwsze wzburzenie, może się okazać, że pomysł napisania czegoś obraźliwego jest reakcją głupią, zbędną i mało skuteczną. Może się okazać, że lepiej nie reagować albo reagować po jakimś czasie, spokojnie... czego zwykle już nie robię.

Są takie wpisy, najczęściej anonimowe, których najlepiej byłoby nie czytać, ale czytam, bo jakże nie czytać tego, co ktoś pisze do mnie. Na takie wpisy należy nie reagować wcale, nie tylko w sensie nieodpisywania (jak odpowiedzieć na anonim?), ale także poddawania się wewnętrznemu wzburzeniu (jak się wzburzać na anonim?). Przecież ktoś, kto pisze anonimowo, zwykle nie ma dobrych intencji.

Jest jeszcze inny sposób nękania: zasypywanie nas wpisami. Podyktowane złą wolą, chęcią wytrącenia z równowagi, doprowadzenia do szału lub rozpaczy. Temu również nie wolno się dać terroryzować. Bez względu na to, co jest napisane, bez względu na trafność lub bliską trafności zbieżność z jakimiś faktami, nie należy odpowiadać. W żadnym wypadku także nie należy takich tekstów wysyłać. Wysyłając, bierzesz odpowiedzialność za to, jak zareaguje odbiorca, odpowiadając, wchodzisz w grę, która może się okazać grą nie na twoje nerwy. Jak wiadomo: dziś internet pełen jest ludzi, którym chodzi właśnie o to, by wytrącić cię z równowagi. Zasada jest prosta: nie odpowiadam na teksty bez czytelnego dla mnie podpisu i sam nie piszę tekstów anonimowych, nigdy.

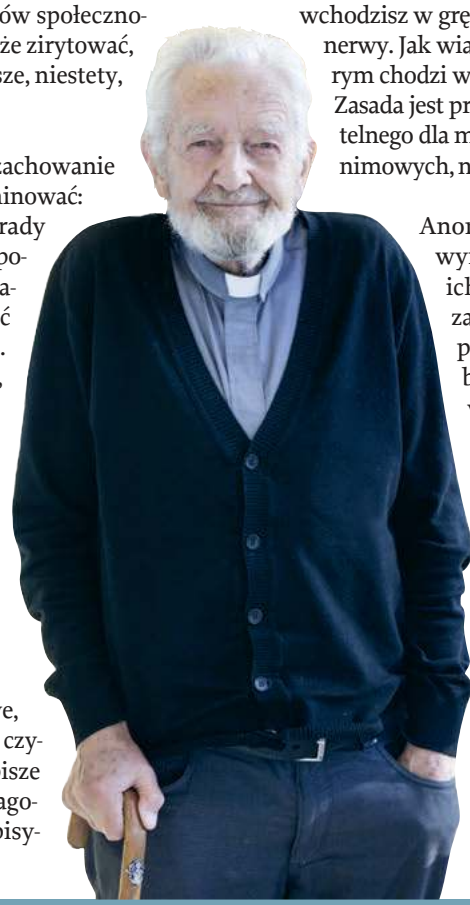

GRAŻYNA MAKARA

Anonimy nie są oczywiście współczesnym wynalazkiem. Wynalazkiem jest łatwość ich pisania i dostarczania. Wiem, że łatwo za pomocą takich listów doprowadzić do psychicznego załamania. Powiedzenie, by takich listów nie czytać, niestety nie wystarczy. Czytamy je i co gorsza: często przejmujemy się ich treścią, nawet gdy wiemy, że nie należy się przejmować. Myślę, że jedynym dobrym sposobem na to jest bycie jak ślepy mur: niereagowanie na zaczepki, niepodejmowanie płonnych dyskusji. A może zasada niepisania i nieczytania anonimów uwolni nas od niepotrzebnych stresów? ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
By zdobyć polityczną i technologiczną dominację, straszy apokalipsą. Kim jest Peter Thiel – technomiliarder i guru amerykańskich elit?

MONIKA OCHĘDOWSKA
Badania pokazują, że Polki i Polacy lubią czytać, ale brak systemowych regulacji rynku książki ogranicza ich aspiracje. Co trzeba zmienić?

MARIA GAMBIN
Empatia to ryzykowny zasób, ale warto z niego korzystać. Jak współodczuwać we współczesnym świecie?

To moja ulubiona antyhejterska i antyprzemocowa opowieść – przytoczona mi przez własnego ojca. Lata 50., schyłek ponurych czasów stalinowskich, jedna z klas muzycznej podstawówki w Bydgoszczy. Wychowawczyni w ramach jednego ze swoich wielu napadów furii zamierza się wielkim geometrycznym liniałem na ucznia (mojego przyszłego ojca). Ten zaś, trenujący od dłuższego czasu szermierkę, w akcie desperacji dobywa z kolei swojego drewnianego piórniczka, i przez kilkanaście sekund skutecznie odpiera ataki, dorabiając się później – nie muszę dodawać – mołojeckiej sławy na całą szkołę.

Przypomniałem sobie tę historię, gdy w tygodniu powstawania bieżącego numeru „TP" zebraliśmy się spontanicznie w kilkuosobowym gronie redaktorów, wspominając ponure czasy szkolnej przemocy. Urodzeni w latach 70. i na początku 80., kombatanci nierównych walk z przemocowymi jeszcze wtedy nauczycielami, przytaczaliśmy historie a to zmyślnego wyrywania włosów, a to szarpania, a to „tylko" upokarzania – nadal niestety dość częste, choć może nie tak powszechne jak trzy dekady wcześniej praktyki schyłku PRL-u.

Do kilku odpowiedzi **OLGI DRENDY** na pytanie, czego pozazdrościłby nam człowiek żyjący tu sto lat temu, dodaję więc i swoją: świata bez powszechnie, także instytucjonalnie akceptowanej, tępej przemocy (kto nie wierzy, że dziecko jako podmiot i partner to stosunkowo świeży wynalazek naszej cywilizacji, niech przeczyta wstrząsającą książkę naszej autorki **ANNY GOLUS** „Dzieciństwo w cieniu rózgi").

Co nie oznacza, że żyjemy w czasach sielskich i łagodnych: przemoc oraz hejt – zjawisko opisywane w okładkowej rozmowie **JACKA TARANA** z psychologiem i nauczycielem **PRZEMKIEM STARONIEM** – stały się mniej otwarte i widoczne, a przez to trudniej uchwytne. Wykluczenie z WhatsAppowej grupy, ikonka śmiechu przy poście, ignorowanie – wszystkie te subtelne akty przemocy i hejtu wymagają dziś lepszego słuchu i wzroku, wrażliwości dorosłych, także nauczycieli. Dziś walka z agresją i nienawiścią mniej przypomina ową kilkunastosekundową szermierczą obronę przed ciosami wymierzanymi liniałem – wymaga bardziej uważnej obecności, świadomego budowania więzi. Ale też jest do wygrania. ©℗



PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".



28 Dobry wieczór, Polsko
ROZMOWA Z MARCINEM URBANOWICZEM, FOTOGRAFEM:
Dostaję wiadomości, że ktoś mieszka od lat za granicą, a gdy ogląda moje zdjęcia, marzy mu się, by wrócić.



58 Na punkty
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ KORCZAK, POLONISTKĄ:
Szkoła podstawowa nie docenia dzieci, które lubią czytać. Nie punktuje nawet tego, że młodzież rozumie przeczytane teksty. Po co nam zatem kanon lektur?



70 Stworzone z powietrza
BARTEK KIEŻUN Z FLORENCJI
Wibrującym złotem rozświetlał niebo, choć jego kompozycje trzymają się geometrycznego rygoru. Sztuka Fra Angelico to głęboka medytacja nad relacją człowieka z sacrum.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MARCIN URBANOWICZ // JAKUB SZAFRAŃSKI // DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MINISTERSTWA KULTURY REPUBLIKI WŁOSKIEJ

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Nowy niewspaniały świat
JACEK STAWISKI

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Rodzice potrzebni od zaraz
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Adopcje w Polsce: nowych rodzin jest coraz mniej*

21 Bitwa o żywność
MATEUSZ PEROWICZ: *Czy w razie poważnego kryzysu międzynarodowego znajdziemy w sklepach podstawowe artykuły?*

24 Północna dziewiątka
PIOTR OLEKSY, DAMIAN SZACAWA: *Polska odsuwa się od Europy Środkowej i robi zwrot na północ. Dołączamy do ośmiu krajów nordyckich i bałtyckich*

■ ■ ROZMOWA

28 Dobry wieczór, Polsko
ROZMOWA Z MARCINEM URBANOWICZEM, FOTOGRAFEM

■ ■ ŚWIAT

32 Zimno w cenie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA: *Tropy w sprawie roszczeń do Grenlandii prowadzą do sponsorów kampanii Trumpa i jego rodziny*

35 Schemat przemocy
JAN POCHEĆ Z PALESTYNY: *Żydowscy osadnicy siłowo rozszerzają stan posiadania na Zachodnim Brzegu*

38 Jak prawicowa rewolucja zmienia latynoski świat
MAGDALENA BARTCZAK: *Co sprawia, że ten region w ostatnich latach przechyla się radykalnie na prawo?*

■ ■ WIARA

42 Krzemowy cielec
ROZMOWA Z RONEM IVEY'M, KONSULTANTEM WATYKANU DS. AI: *W Dolinie Krzemowej wierzą, że budują boga. Są przekonani, że mogą stworzyć superracjonalny byt*

TEMAT TYGODNIKA

12 Jak nie zostać hejterem
ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM STARONIEM, PSYCHOLOGIEM:
Hejt to nie tylko wulgarne komentarze w internecie. To także pytania przy świątecznym stole, sarkazm i komentarze, które pod pozorem „zwracania uwagi" podważają czyjąś wartość.

15 Hejt stał się codziennością
JACEK TARAN

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"



■ STRONY SPECJALNE ■

75 WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
150 LAT GENIUSZA: JÓZEF HOFMANN
NADCHODZĄCE WYDARZENIA KULTURALNE SEZONU

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **41** ELIZA KĄCKA
68 PAWEŁ BRAVO
74 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

46 Medytacja zmienia sens
MACIEJ BIELAWSKI: *To Wiwekananda sprawił, że medytacja i joga zostały ze sobą ściśle powiązane*

48 Nie z głowy, lecz z serca
DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ *o tym, że wiara to nie zbiór zasad i obowiązków*

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Atomowa polisa
JACEK STAWISKI: *Po 1945 r., w czasie globalnej konfrontacji z komunizmem, wiele krajów przymierzało się do pozyskania bomby atomowej*

■ ■ NAUKA

55 Kto czuje beat
KATARZYNA DZIADOWICZ: *Do przełomu w naszym rozumieniu umysłów zwierząt czasem może doprowadzić śmieszny film udostępniony na YouTubie*

■ ■ KULTURA

58 Na punkty
ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ KORCZAK, POLONISTKĄ

62 Wielki Timothée
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Ma status ikony popkultury, trzy oscarowe nominacje oraz reputację gościa, który pogodził entuzjastów „Call of Duty" z fanami Jeana-Luca Godarda*

65 Polecamy

66 Jedno życie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Kaouther Ben Hanii „Głos Hind Rajab"*

67 Po dwóch stronach, po jednej stronie
LEKTOR *o książce „Obudziła się zimną nocą" Joanny Rudniańskiej*

■ ■ ZMYSŁY

70 Stworzone z powietrza
BARTEK KIEŻUN Z FLORENCJI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE... 17
JAK TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

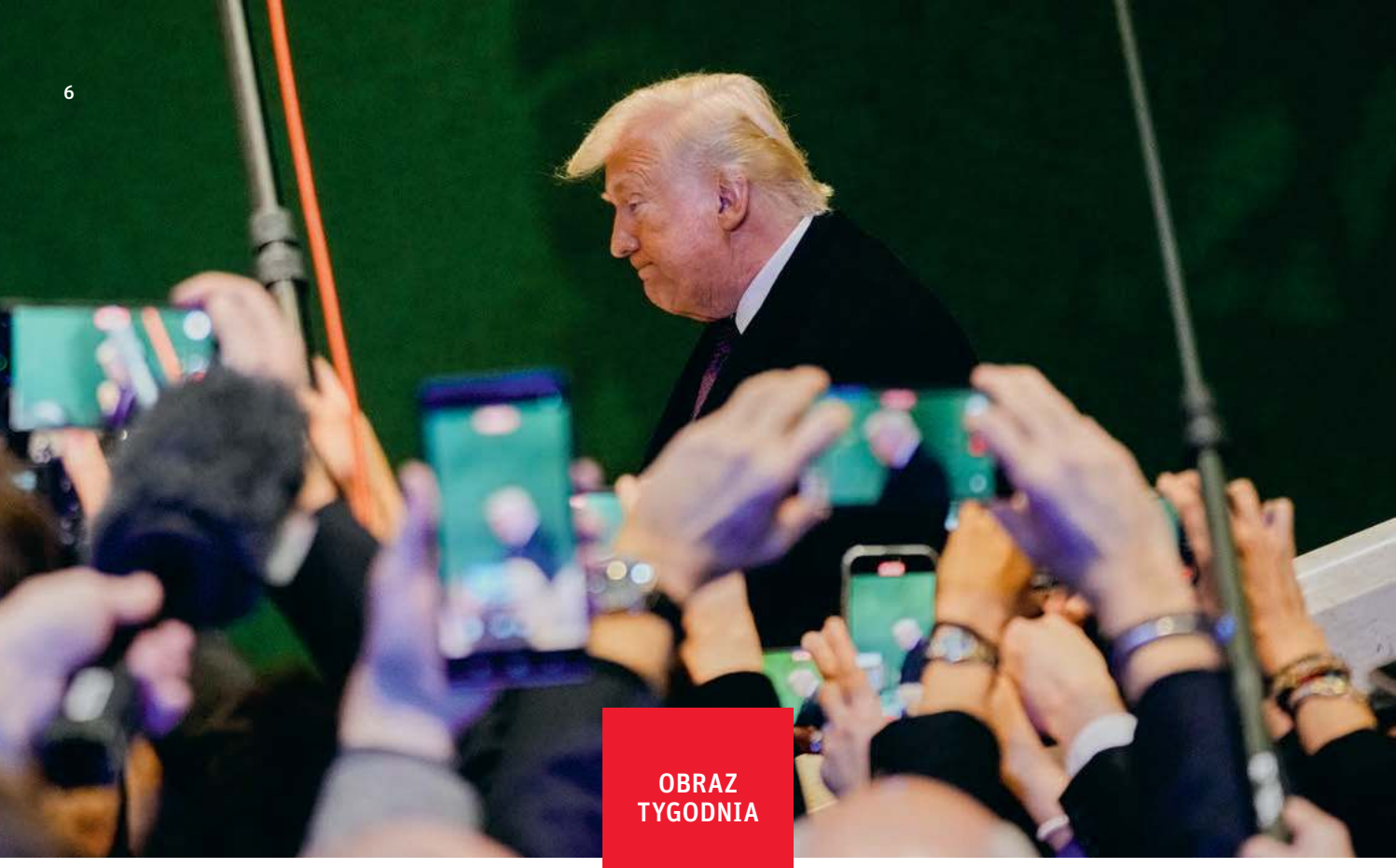

OBRAZ TYGODNIA

NOWY NIEWSPANIAŁY ŚWIAT

Styczeń 2026 roku zapamiętamy jako moment, gdy w globalnej polityce dokonał się gwałtowny zwrot w stronę dominacji wielkich mocarstw kosztem instytucji międzynarodowych.

JACEK STAWISKI

POWYŻEJ:
Donald Trump na Forum Ekonomicznym w Davos. Szwajcaria, 22 stycznia 2026 r.

Ponurym zwieńczeniem ostatnich napięć między Stanami Zjednoczonymi a Europą, głównie w kwestii amerykańskich pretensji do Grenlandii, stała się obraźliwa wypowiedź prezydenta Donalda Trumpa, który zbagatelizował udział europejskich krajów w wojnie z Al-Kaidą i talibami w Afganistanie.

Trump stwierdził, że NATO nie wsparło należycie USA w wojnie z terroryzmem, a jeśli jakieś oddziały sojusznicze wzięły udział w wojnie w Afganistanie, która była bezpośrednim następstwem zamachów z 11 września 2001 r. na World Trade Center i Pentagon, to „trzymały się trochę z tyłu, trochę z dala od linii frontu".

To nie pierwszy raz, kiedy Trump dezawuuje znaczenie Przymierza Atlantyckiego, ale po raz pierwszy jego wypowiedzi dotknęły do żywego naprawdę bardzo wielu ludzi w Europie. We wspomnianej wojnie zginęło około tysiąca żołnierzy europejskich, z samej tylko Wielkiej Brytanii było to 457 żołnierzy, z Polski 43 wojskowych i jeden cywil. Wśród poległych w Afganistanie byli także Duńczycy, Niemcy, Francuzi, Włosi i żołnierze innych narodowości.

Wtedy to, we wrześniu 2001 r., NATO po raz pierwszy w swojej historii (i jak dotąd jedyny) przywołało słynny artykuł piąty o wspólnej obronie – i to właśnie na prośbę USA.

POŁOWICZNA KOREKTA | Na słowa Trumpa reagowali politycy i wojskowi oraz rodziny poległych z wielu krajów. Premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer wezwał prezydenta USA do przeprosin. Po kilku godzinach Donald Trump pochwalił męstwo brytyjskich żołnierzy, nie wspominając jednak o żołnierzach z innych krajów.

Poruszenie słowami prezydenta Stanów Zjednoczonych odczuć można było także w Polsce. Amerykański ambasador Tom Rose próbował ratować sytuację, oświadczając we wpisie internetowym, że nasz kraj nie ma większego przyjaciela niż Donald Trump.

Trump nie wspomniał również o poległych z szeregu krajów, w tym z Polski, którzy przez długie lata u boku Amerykanów brali udział w wojnie w Iraku. Udział w niej kosztował życie 22 polskich żołnierzy. W przypadku obu tych konfliktów, w Afganistanie i Iraku, Polska wsparła Stany Zjednoczone – i to niezależnie od podziałów politycznych w kraju.

Ponadto, oprócz bezpośredniej pomocy wojskowej, europejscy i pozaeuropejscy sojuszni-

cy udzielili i udzielają Ameryce szerokiego wsparcia wywiadowczego. Jego rozmiary nie są znane z oczywistych powodów. Choć niektóre z tych działań, jak tajne więzienia CIA w Europie Środkowej, okazały się co najmniej kontrowersyjne.

KWESTIA ZAUFANIA | Donald Trump albo zupełnie nie rozumie, albo nie chce rozumieć, że Europa, której można wiele zarzucić (szczególnie opieszałość w podnoszeniu wydatków zbrojeniowych), w tamtej chwili najwyższej próby wsparła Amerykanów bez wahania. Jego pogarda dla instytucji europejskich, dla NATO i Unii Europejskiej, idzie coraz dalej. Pamięć o poniesionych ofiarach w wojnach XXI w. u boku Ameryki jest żywa w społeczeństwach europejskich. Jest żywa także w Kanadzie, którą Trump upokarza na każdym kroku, czy w Australii, która także obawia się amerykańskiej obcesowości i porzucenia przez Waszyngton.

Rosnące pęknięcie w relacjach europejsko-amerykańskich pogłębiła zaś awantura o Grenlandię, która rozegrała się w ostatnich tygodniach, z kulminacją podczas Światowego Forum Ekonomicznego w szwajcarskim Davos.

Wprawdzie po dość niekonwencjonalnym (mówiąc oględnie) przemówieniu Trumpa, które wygłosił w Davos, pojawiła się zapowiedź porozumienia Waszyngtonu z NATO i Danią – o ile zostanie sfinalizowane, będzie zapewne zakładać wzmocnienie obecności USA na „lodowej wyspie" i większe zaangażowanie zachodniego Sojuszu w jej bezpieczeństwo. Ale zaufanie między Europą a Ameryką gwałtownie spadło. Kraje NATO zaczynają otwarcie mówić o epoce postatlantyckiej – czyli takiej, w której więź ze Stanami przejdzie do historii.

WĄTPLIWA „RADA" | W dodatku większość europejskich sojuszników Stanów Zjednoczonych nie chce brać udziału w tzw. Radzie Pokoju, którą powołano w Davos, a na czele której stanął sam Trump.

Rada miałaby sens, gdyby jej zadaniem było pilnowanie odbudowy Strefy Gazy po wojnie Izraela z Hamasem i próba zarządzania konfliktem izraelsko-palestyńskim. Ale administracja amerykańska idzie dalej – i widzi w „Radzie Pokoju" jakieś nowe narzędzie polityki międzynarodowej, obok lub wręcz zamiast Organizacji Narodów Zjednoczonych.

To prawda, że ONZ jest instytucją często niezdolną wypełniać swoje zadania. Jednak zastępowanie jej czymś kompletnie nowym i niesprawdzonym, powołanym według widzimisię amerykańskiego przywódcy, może sprawić jeszcze więcej szkód.

KWADRATURA KOŁA | Wnioski po ostatnich wydarzeniach są dla Polski znaczące. W naszym interesie leży, aby transatlantyckie napięcia były tonowane, tak żeby nie zagroziły trwałości Przymierza Atlantyckiego. Z jednej strony sojusz polsko-amerykański jest podstawowym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Jednak bez NATO lub z niefunkcjonalnym NATO ten sojusz Warszawa–Waszyngton nie będzie osadzony w szerokiej strukturze międzynarodowej.

Oprócz więzów z Ameryką, Polska orientuje się silnie na współpracę ze Skandynawią w sferze bezpieczeństwa, o czym pisaliśmy i piszemy w „Tygodniku". Jednak napięcie wokół Grenlandii pokazało, że ta obiecująca współpraca ze Skandynawami może stawać się momentami obciążeniem w relacjach z Ameryką – i odwrotnie. Prawdziwa kwadratura koła.

Polska także została zaproszona przez Trumpa do „Rady Pokoju" – obok Rosji czy Białorusi, skąd płynie dziś największe zagrożenie dla naszej niepodległości. Na razie prezydent i premier są powściągliwi, widząc „plusy dodatnie" i „plusy ujemne" wejścia do tego dziwnego gremium. Jak przy każdej nieoczywistej decyzji, również ta wymaga namysłu i zastanowienia – choćby dlatego, że duże kraje NATO, jak Francja i Wielka Brytania, odmówiły w niej udziału.

Prawicowa opozycja domaga się od rządu Tuska szybkiego wejścia do „Rady", ale nie przedstawia żadnego planu, do czego realnie miałaby się Polsce taka obecność przydać.

ROZCHWIANY ŚWIAT | Styczeń 2026 r. zapamiętamy jako moment, gdy w światowej polityce dokonał się gwałtowny zwrot w stronę dominacji wielkich mocarstw kosztem instytucji międzynarodowych. Także tych, które – jak NATO – zapewniały dotąd Zachodowi pokój i bezpieczeństwo. Ostrzegał przed tym w Davos premier Kanady Mark Carney.

Nadchodzi czas, gdy państwa średnie, takie jak Polska, muszą szukać na nowo miejsca w rozchwianym świecie. Ostatnią rzeczą, z jakiej powinniśmy się cieszyć, to powrót polityki europejskiej wzorem z wieku XIX lub z okresu sprzed II wojny światowej. ©℗



KILPATRICK SEAN / / CP / ABACA / EAST NEWS

Mark Carney na Forum Ekonomicznym w Davos. Szwajcaria, 20 stycznia 2026 r.

Najważniejsze wydarzenia ostatnich dwóch tygodni

- **STANY ZJEDNOCZONE** i europejskie państwa NATO mają wypracować kompromis w sprawie Grenlandii. Waszyngton domagał się jej aneksji, ale Europa przeciwstawiła się tym żądaniom. Kryzys doprowadził do głębokiego spadku zaufania między Europą a Ameryką.
- **PREZYDENT TRUMP** groził nowymi cłami krajom europejskim, przeciwstawiającym się aneksji Grenlandii. Z kolei UE zagroziła wprowadzaniem ceł odwetowych. Zapowiedź kompromisu w sprawie Grenlandii oznacza, że groźba wojny handlowej została oddalona.
- **KANADYJSKI PREMIER** Mark Carney w wystąpieniu w Davos podkreślił, że średnie państwa muszą szukać własnego sposobu na przetrwanie w nowych warunkach międzynarodowych. Krytykował zachowania mocarstw, choć nie wymienił z nazwiska Donalda Trumpa. Z kolei amerykański prezydent zarzucił Carneyowi niewdzięczność i powiedział, że Kanada funkcjonuje dzięki Stanom Zjednoczonym.
- **W DAVOS** zainaugurowano Radę Pokoju, która w pierwotnej wersji miała służyć do monitorowania odbudowy Strefy Gazy. Jednak D. Trump widzi w niej nowe globalne gremium, które ma zajmować się innymi konfliktami na świecie.
- **PO SZCZYCIE W DAVOS** prezydent USA skrytykował NATO, mówiąc, że nie wsparło wystarczająco Ameryki w czasie wojny w Afganistanie. Słowa Trumpa wywołały oburzenie w Europie. Premier Wielkiej Brytanii wspomniał o kilkuset poległych żołnierzach brytyjskich i wezwał Trumpa do przeprosin. Prezydent we wpisie internetowym pochwalił żołnierzy brytyjskich za odwagę, ale nie przeprosił.

MARKUS SCHREIBER / AP / EAST NEWS



Hipokryci z lewicy

MAREK KĘSKRAWIEC

To już nie są dziesiątki, ale setki filmów z Iranu, dokumentujących zbrodnie umundurowanych funkcjonariuszy i paramilitarnych bojówek basidżów. Widać na nich strzały z broni palnej w nieuzbrojony tłum i znęcanie się nad zatrzymanymi, także nad kobietami. Zdjęcia pobitych dzieci; rannych ludzi, dobijanych w szpitalach na oczach lekarzy strzałami w środek głowy; prosektoriów pełnych worków, z których wystają głowy z otwartymi szeroko oczami. Pogrzebów, na których zrozpaczeni ludzie – wielu z nich musiało wykupić zwłoki krewnych – wygrażają ajatollahom mimo grożących represji.

Wydawałoby się, że krwawo stłumione przez islamską „republikę" protesty to idealny temat dla wrażliwych na ludzką krzywdę lewicowych środowisk aktywistycznych, zwłaszcza tych, które tak mocno protestowały przeciwko brutalności izraelskiego odwetu w Gazie.

Jednak zarówno Greta Thunberg, jak i Franek Sterczewski milczą. Za nic mają prawa kobiet, szykanowanych od lat w Iranie, a dziś terroryzowanych w aresztach.

Nie obchodzi ich też, że na co dzień kobiety są zmuszane przez religijną dyktaturę do noszenia hidżabu, a za inną niż heteroseksualna orientację grozi kara: od chłosty po wyrok śmierci. Te idealne dla lewicy i środowisk aktywistycznych tematy nie są dziś dla nich wygodne, gdyż wywołują dysonans poznawczy. Bo skoro się krzyczy „Free Palestine", nie ma już miejsca na „Free Iran" i współczucie dla zniewolonego społeczeństwa. Trzeba byłoby wtedy narazić się Hamasowi, od lat finansowanemu przez uzbrojony po zęby Korpus Strażników Rewolucji, dzięki któremu cały ten system jeszcze się trzyma.

Lewica, liczni celebryci i propalestyńscy aktywiści wolą jednak odwracać oczy i powtarzać propagandę ajatollahów, wedle których protesty milionów Irańczyków, utopione we krwi między 8 i 10 stycznia – to jedynie spisek Izraela i Ameryki. Wiara w kłamstwa walczącej o przetrwanie dyktatury wystarczy im za usprawiedliwienie, by nic nie widzieć, nic nie słyszeć, nic nie mówić – i nic nie rozumieć.

Aktywiści wolą wspierać ludzi często otwarcie głoszących, że Allah nie zna granic i dlatego na całej ziemi powinno zapanować prawo szariatu. Wolą krzyczeć w obronie tych, którzy po dojściu do władzy odebraliby im niemal wszystkie prawa. Czy więcej w tym hipokryzji, czy głupoty? ©℗



MATTEO NARDONE / FOTOGRAMMA / IPA / ABACA / EAST NEWS

Protest społeczności irańskiej przeciwko reżimowi ajatollahów. Rzym, Włochy, 24 stycznia 2026 r.



Spółki i córki

MAREK RABIJ

Rząd opracował projekt odpolitycznienia spółek Skarbu Państwa. Dokument, który opisali dziennikarze serwisu Business Insider, zawiera m.in. zakaz zatrudniania polityków w spółkach z udziałem państwa, ale rozszerzony o przedsiębiorstwa od nich zależne (tylko jeden Orlen ma udziały w ponad 180 innych spółkach). Projekt przewiduje również podwyższenie wymogów dla kandydatów do rad nadzorczych (nadal byłby nim dyplom MBA, ale już tylko uczelni, która ma prawo nadawania habilitacji z nauk ekonomicznych lub prawa) oraz audyt kompetencji obecnych członków rad.

Propozycje wydają się rozsądne, choć warto zauważyć, że są krokiem wstecz w stosunku do projektu Polski 2050, który przepadł na etapie prac w komisjach sejmowych. Trudno też nie dostrzec w tym ponurej prawidłowości. Ugrupowanie, które zaraz po dojściu do władzy szczelnie obsadziło swoimi ludźmi część spółek Skarbu Państwa, składa projekt, który ma zapobiegać właśnie takim praktykom, po czym nie kładzie się Rejtanem w jego obronie, gdy prace nad nim zostają zawieszone.

Cóż, pomysł, aby odpolitycznianiem spółek Skarbu Państwa zajmowali się politycy, budzi skojarzenia z anegdotą o potworze z bagien wynajętym do osuszenia bagna.

Nie ma sensu udawać, że istnieje gdzieś na świecie klasa polityczna, której naprawdę leży na sercu ograniczenie jej własnych wpływów – zwłaszcza gdy chodzi o tak wrażliwe podbrzusze każdej partii, jak lukratywne stanowiska w podmiotach kontrolowanych przez państwo. Koalicja Obywatelska również wychodzi z tym projektem nie tyle w poczuciu, że trzeba proceder ukrócić systemowo, ile raczej wiedziona przekonaniem, że PiS przebiło ich w sztuce upolitycznia państwowych firm. A do tego zrobiło to w kiepskim stylu, bo ciągnąc za sobą nie tylko zaufanych fachowców, ale także całą rzeszę stuprocentowo niekompetentnych wujów, ciotek i kuzynów. To właśnie ośmiolatka rządów PiS obrodziła nową, wcześniej niespotykaną w podobnej skali odmianą pracownika SSP, który w miejscu pracy znany jest jedynie z nazwiska na liście płac.

Projekt jest też oczywistą wrzutką do ogródka prezydenta. Jeśli zmiany będą wymagały prac w trybie ustawy, Karol Nawrocki stanie przed trudnym dylematem. Jeżeli jej nie zawetuje, rząd Tuska ogłosi, że wyrwał pisowską hydrę z trzewi polskiej gospodarki. Jeśli zawetuje – zjedzą go zwolennicy Konfederacji, która nie chce w niej państwa w jakiejkolwiek formie. ©℗

NA PUNKTY

VOCABULARIUM
Druga tura wyborów lidera Polski 2050 (kandydują min. Paulina Hennig-Kloska i min. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz) będzie powtórzona mimo wysiłków min. Marty Cienkowskiej, która na czacie polityków tej partii pisała o „napie**alance i planowanym przewrocie" oraz radziła, by „je**ć przychylne media". „W prywatnych rozmowach mój wokabulariusz jest dużo szerszy niż w wystąpieniach oficjalnych" – skomentowała ujawnione przez Onet wiadomości ministra kultury.

HOROLOGIUM
Wokabulariusz posła Lewicy Andrzeja Szejny nie był zbyt szeroki w rozmowie z dziennikarzem telewizji wPolsce24. „To jest zegarek, który jest... Muszę sobie przypomnieć, co to za zegarek" – odpowiedział na pytanie, czy nosi na nadgarstku niewykazaną w oświadczeniu majątkowym Omegę.

ASINUS
Polityk PiS Dominik Tarczyński opublikował na portalu X film przedstawiający zabójstwo w Minneapolis. „Good Job, ICE" (Dobra robota, ICE) – napisał, dając dowód, że jego wokabulariusz obejmuje słowa w języku obcym. ©℗



Geopolityka i „efekt Leona"

PAULINA GUZIK

Ameryka wrze. Mimo ataku zimy i rekordowo niskich temperatur. Zastrzelenie 37-letniego Aleksa Prettiego przez oficerów służby imigracyjnej ICE jeszcze mocniej podgrzało dyskusje nad polityką Donalda Trumpa i jego gorącymi wypowiedziami na temat ONZ, Europy i Grenlandii.

Głos zabrali także liderzy amerykańskiego Kościoła. Trzech kardynałów – Blase J. Cupich z Chicago, Robert W. McElroy z Waszyngtonu i Joseph W. Tobin z Newark – wydało 19 stycznia oświadczenie na temat polityki zagranicznej USA. Kwestia Grenlandii, Ukrainy i Wenezueli – piszą purpuraci – stawia „podstawowe pytania dotyczące użycia siły militarnej i znaczenia pokoju". Dodając, że po raz pierwszy od dekad podawana jest w wątpliwość „moralna rola Ameryki w stawianiu czoła złu na całym świecie".



ANDREAS SOLARO / AFP / EAST NEWS

Autorzy listu nie ukrywają, że do zabrania głosu zainspirowały ich słowa Leona XIV (na zdj.), skierowane kilka dni wcześniej do członków korpusu dyplomatycznego przy Stolicy Apostolskiej, na temat zastępowania dialogu i konsensusu „dyplomacją opartą na sile". A także apel papieża o „trwały kompas etyczny" w polityce zagranicznej.

Wystąpienie kardynałów to znak, że w tej sprawie nie będzie głosu całej konferencji episkopatu USA, która obronę zasad w polityce zostawia poszczególnym biskupom. Czekającym zresztą najpierw na impuls z Watykanu.

„Efekt Leona" było widać choćby po interwencji USA w Wenezueli – oświadczenia biskupów posypały się dopiero po tym, jak do wydarzeń odniósł się papież. Albo w listopadzie, gdy episkopat wydał oświadczenie przeciwko polityce migracyjnej Białego Domu, poprzedzone zdecydowanymi wypowiedziami Leona.

Co może oznaczać, że pod rządami amerykańskiego papieża Kościół będzie próbował nadawać ton toczącej się dyskusji na temat światowej geopolityki. I że coraz częściej biskupi, nie tylko amerykańscy, będą za przykładem papieża reagować na bieżące wydarzenia. Choćby i z lekkim opóźnieniem. ©



Konserwatywne media bez wsparcia

MONIKA OCHĘDOWSKA

Ministerstwo Kultury opublikowało listę czasopism, które w ciągu najbliższych miesięcy otrzymają rządowe dofinansowanie. Postanowiono wesprzeć 75 tytułów na łączną kwotę ponad 12 mln zł – w przypadku części projektów są to dotacje dwu- i trzyletnie. Środki na działalność i promocję otrzymają m.in. miesięcznik „Pismo" i „Dwutygodnik", internetowe wydanie „Więzi", łódzki „Tygiel Kultury", krakowski „Radar" oraz mocno lewicowy, przez lata niedotowany przez państwo „Nowy Obywatel".

Pod kreską znalazły się wydawane przez chadecki Klub Jagielloński „Pressje" oraz „Teologia Polityczna Co Tydzień" – internetowe pismo o filozofii, historii i kulturze. Na dotacje nie mogą liczyć też „Nowa Konfederacja" i konserwatywny dwumiesięcznik „Arcana". Kiedy to one dostawały rządowe wsparcie, którego odmawiano np. „Krytyce Politycznej", skarżono się na brak jasnych kryteriów konkursu oraz fakt, że na publiczne środki mogły liczyć pisma o jednym profilu (wówczas konserwatywnym i religijnym). Dziś nikt się wyjaśnień od MKiDN nie domaga.

Warto pamiętać, że działające na równych prawach media reprezentujące odmienne światopoglądy realizują jedną z podstawowych zasad zdrowej demokracji – pluralizm i wolność słowa. Dzięki nim debata publiczna pozostaje prawdziwą przestrzenią wymiany idei. Różnorodność opinii sprzyja krytycznemu myśleniu i chroni nas przed bezrefleksyjnym przyjmowaniem jednostronnych narracji. Czasopisma o wyraźnym profilu światopoglądowym dają również głos grupom społecznym, które w jednolitym przekazie medialnym mogłyby pozostać niewidoczne.

Nie bez znaczenia jest także wzajemna kontrola mediów. Redakcje reprezentujące odmienne spojrzenie na świat często punktują swoje błędy i uproszczenia, co zwiększa transparentność debaty publicznej. W efekcie czytelnicy i czytelniczki otrzymują szerszy, bardziej złożony obraz rzeczywistości. Konfrontacja poglądów uczy argumentowania, tolerancji i świadomego kształtowania własnych przekonań. To w tej różnorodności tkwi nasza siła. ©℗

Niepotrzebne zwycięstwo

ROZRYWKA ▪ W nocy z 24 na 25 stycznia widzowie Netfliksa mogli obejrzeć transmitowaną na żywo wspinaczkę bez asekuracji na najwyższy budynek Tajwanu. Ze ścianą liczącego blisko 510 metrów Taipei World Financial Center – zwanego przez miejscowych po prostu „101" od liczby naziemnych kondygnacji – zmierzył się sam Alex Honnold (na zdjęciu).



COREY RICH / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Amerykański wspinacz zasłynął serią bardzo trudnych przejść bez liny. Ostatnie, najgłośniejsze, stało się nawet tematem nagrodzonego Oscarem dokumentu „Free solo", opowiadającego o pierwszym przejściu bez asekuracji skrajnie trudnej drogi Freerider, biegnącej środkiem górującej nad doliną Yosemite ściany El Capitan. Pokonanie tej trasy 3 czerwca 2017 r. zajęło Honnoldowi trzy godziny i 56 minut. Większość zespołów poruszających się tam z liną zwykle potrzebuje na to samo co najmniej dwóch-trzech dni.

To, z czym Honnold zmierzył się w Tajpej, w kategoriach sportowych trudno stawiać w jednym szeregu z tamtym dokonaniem. Ściana „101" nie stanowiła technicznego wyzwania dla wspinacza tej klasy. Nie groziły mu tam również trudności obiektywne, bo z drogi, którą się poruszał, usunięto wszystko, co mogłoby się oderwać i zagrozić jego życiu.

Przechodząc bez liny wysokie na ponad kilometr urwisko El Capitana, Honnold przesunął we wspinaniu granice niemożliwego. Film poświęcony jego wyczynowi był intymną opowieścią o człowieku, który w pionowym świecie czuje się pewniej niż na ziemi. Transmisja ze wspinaczki na „101" niczego takiego nie pokazała, za to przesunęła granice wielkonakładowych widowisk jeszcze bliżej tego, w czym tkwią od dawna po uszy internetowi patostreamerzy – czyli epatowania strachem i poczuciem niesmaku.

Część publiki, która zasiadała przed ekranami, by śledzić próbę Honnolda, mogła wręcz poczuć lekkie rozczarowanie na wieść, że oglądać będą obraz z 10-sekundowym opóźnieniem (na wypadek najgorszego). Większość widowni przyciągnęła po prostu ciekawość *show*, które podawano jako przełomowe osiągnięcie, choć w istocie obejrzeli starannie wypreparowany z ryzyka spektakl z pogranicza cyrku i kaskaderki.

Scenariusza zakończonego katastrofą nie dało się oczywiście całkowicie wykluczyć i zapewne właśnie dlatego Netflix postanowił zorganizować to przedsięwzięcie. Cóż, nikt nie wyda milionów na *show*, żeby reklamować je potem hasłem „widowiskowa, ale zaplanowana w detalach wspinaczka w wykonaniu faceta, dla którego to w gruncie rzeczy poważniejszy trening".

Sam Honnold podszedł do tego z dziecięcą radością, której trudno nie lubić. Kocha się wspinać, nieważne jak i po czym. Przyszli do niego z propozycją wspinaczki na ładny budynek w egzotycznym kraju, do tego za przyzwoite pieniądze, to dlaczego miałby się nie zgodzić? Dobrze więc, że na szczyt „Taipei 101" dotarł bez sensacji. Być może dzięki temu nikt nie wpadnie na pomysł sequelu.

©℗ MAREK RABIJ

Kard. Ryś otworzy archiwum kurii

KOŚCIÓŁ W POLSCE ▪ Z początkiem lutego poznamy nazwisko nowego dyrektora archiwum krakowskiej kurii, co oznacza też otwarcie tej instytucji – potwierdził „Tygodnikowi Powszechnemu" ks. Piotr Studnicki, nowy rzecznik prasowy archidiecezji.

Na razie na stronie archidiecezji krakowskiej wciąż widnieją ślady mentalności zamykania Kościoła przed światem przez poprzednika kard. Rysia – abp. Marka Jędraszewskiego. Pod zakładką „Archiwum" znaleźć można jedynie informację z 23 sierpnia 2024 r.: „Czytelnia genealogiczna i naukowa pozostają zamknięte do odwołania". Próżno szukać też nazwiska osoby odpowiedzialnej za tę kościelną instytucję. Ostatni dyrektor – ks. prof. Jacek Urban – przestał pełnić swoją funkcję, gdy o krakowskim archiwum stało się głośno za sprawą dziennikarzy, którzy w 2023 r. zaczęli publikować materiały o księżach wykorzystujących dzieci za rządów kard. Karola Wojtyły. Sprawa wywołała szok, bo okazało się, że przyszły papież nie reagował stanowczo na te przypadki i nigdy nie spotkał się z pokrzywdzonymi. Biskupi postanowili wówczas powołać ogólnopolską komisję, która szczegółowo zbada kościelne archiwa pod kątem spraw związanych z pedofilią (to postanowienie do tej pory nie zostało zrealizowane). Ale ówczesny rządca Kościoła krakowskiego, należący do przeciwników ujawniania prawdy o pedofilii, zamknął wtedy kurialne archiwum.

O jego otwarciu kard. Ryś mówił tuż po swym ingresie. Zapowiedział, że będzie ono funkcjonować „na normalnych zasadach", co oznacza pełny dostęp do materiałów po 50 latach od ich powstania.

Nowy metropolita należy do biskupów zaangażowanych w proces reform Kościoła. Jedną z jego ostatnich decyzji jako arcybiskupa łódzkiego było powołanie niezależnej komisji do badania przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich w łódzkiej diecezji po 1945 r. W Krakowie taka komisja powstanie, jeśli biskupi na marcowym zebraniu nie zdołają powołać gremium ogólnopolskiego.

O zmianie atmosfery w krakowskiej diecezji świadczy też pierwszy list arcybiskupa do diecezjan odczytany w kościołach w ostatnią niedzielę. Kardynał informuje w nim, że na generatory i mobilne kotłownie dla zamarzającego Kijowa przeznaczona będzie taca z niedzieli 1 lutego. „Wiem – pisze metropolita – tydzień wcześniej jest Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, którą hojnie wspieracie. Mimo to mam odwagę prosić Was o równie wielką wspaniałomyślność i hojność".

©℗ ARTUR SPORNIAK



LIDERINA / ADOBE STOCK

Dziewczynki dojrzewają coraz szybciej

NAUKA ■ Wraz z wiekiem życie przyspiesza – ten psychologiczny efekt opisywany był wielokrotnie, choć trudno jednoznacznie określić, co za niego odpowiada. Jak twierdzi brytyjski psycholog Steve Taylor, poczucie pędzącego i uciekającego czasu jest odwrotnie proporcjonalne do ilości przetwarzanych informacji i doświadczeń. Ale towarzyszące rodzicom wrażenie, że ich dzieci tak szybko dorastają, wcale nie jest wyłącznie psychologicznym złudzeniem.

Widać to w danych, które analizuje i przytacza Cassandra Willyard w „Nature". Dzieci, a zwłaszcza dziewczynki coraz wcześniej dojrzewają. W połowie XIX w. pierwsza miesiączka (moment określany w medycynie *menarche*) u dziewczynek występowała średnio w okolicach 16.-17. roku życia, a obecnie w 12. roku życia. Największe przyspieszenie obserwuje się w ostatnich dekadach. Od lat 70. średni wiek *menarche* obniżył się o 4 miesiące, a *thelarche*, czyli rozwoju gruczołów piersiowych, o 10 miesięcy.

Trend widać w jeszcze jednej statystyce – około 8 proc. dziewczynek i 3 proc. chłopców doświadcza przedwczesnego dojrzewania, które jest zjawiskiem niekorzystnym. Najszybciej dostrzegalną konsekwencją jest zahamowanie wzrostu – organizm, który jest dojrzały płciowo, przestaje rosnąć, ale z wcześniejszym i przedwczesnym dojrzewaniem wiąże się również zwiększone ryzyko raka, chorób serca czy niepłodności.

Za początek procesu dojrzewania odpowiada obszar mózgu zwany podwzgórzem, który zaczyna produkować gonadoliberynę i uruchamia kolejne szlaki hormonalne. Skąd podwzgórze wie, że pora już przyszła? Według klasycznej teorii amerykańskiej badaczki Rose Frisch ma to związek z ilością tkanki tłuszczowej, a nowsze badania potwierdzają, że to leptyna produkowana przez komórki tej tkanki stymuluje podwzgórze.

Stąd potencjalne wyjaśnienie tego trendu – coraz powszechniejsza wśród dzieci otyłość, diagnozowana na coraz wcześniejszych etapach życia. Ale przyczyn upatruje się również w innych czynnikach środowiskowych. Przykładem mogą być związki hormonalnie czynne, takie jak ftalany i bisfenole, których źródłem w naszym organizmie bywają środki ochrony roślin lub plastik. Związki te, a stwierdzono ich już ponad tysiąc, zaburzają misterne szlaki hormonalne, blokując lub aktywując receptory niektórych hormonów.

Biorąc pod uwagę przeważnie negatywne skutki obniżenia wieku dojrzewania, określenie tych zmian jako nowej normy jest mało prawdopodobne. Ten niekorzystny trend pokazuje jednak, jak radykalnie rozwój gatunku ludzkiego wpływa na naturę, w tym naszą własną. © BARTOSZ KABAŁA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

JAK NIE ZOSTAĆ HEJTEREM

PRZEMYSŁAW STAROŃ, PSYCHOLOG:

Hejt to nie tylko wulgarne komentarze w internecie. To także pytania przy świątecznym stole, sarkazm i komentarze, które pod pozorem „zwracania uwagi" podważają czyjąś wartość.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

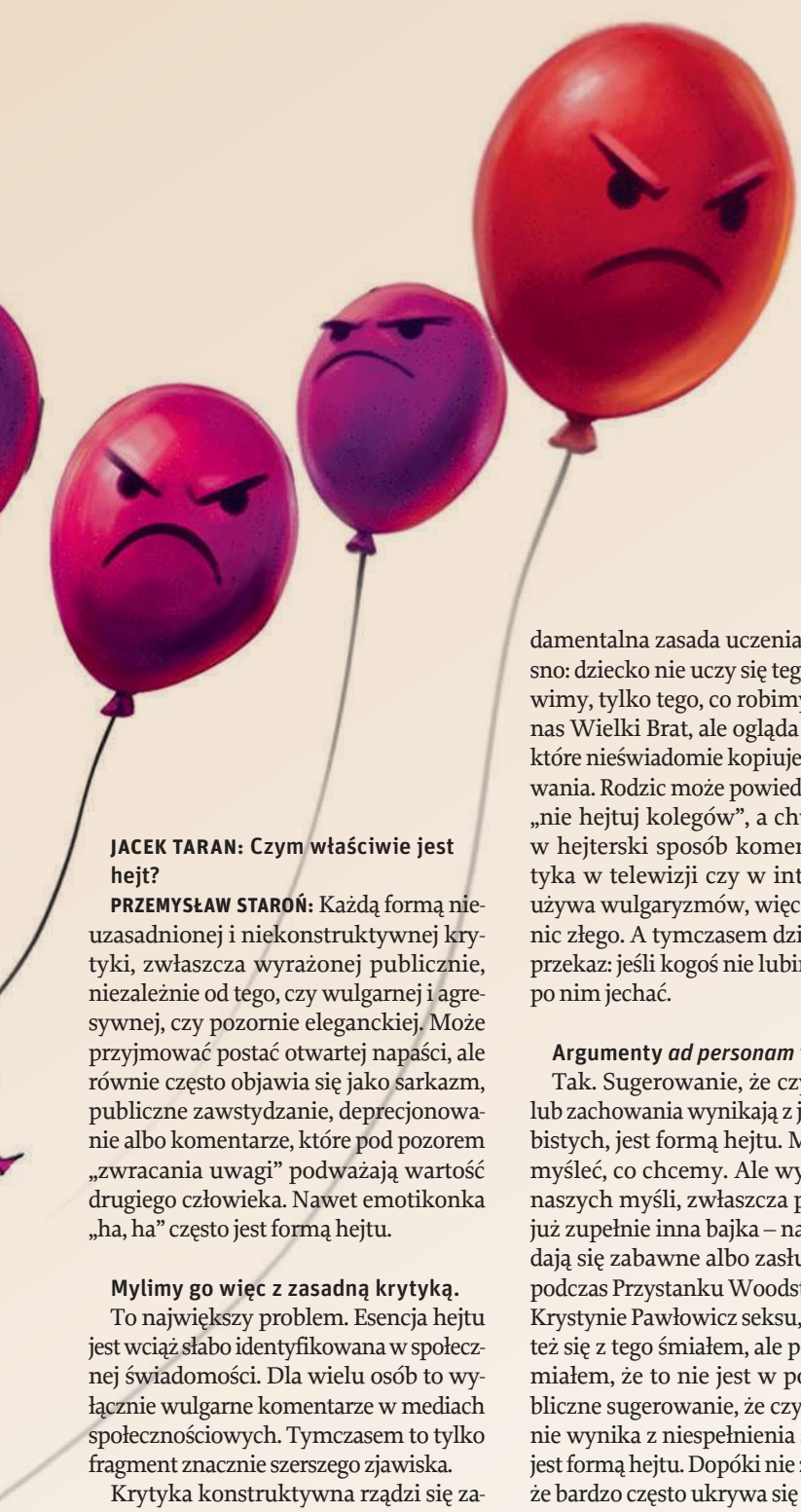

JACEK TARAN: Czym właściwie jest hejt?

PRZEMYSŁAW STAROŃ: Każdą formą nieuzasadnionej i niekonstruktywnej krytyki, zwłaszcza wyrażonej publicznie, niezależnie od tego, czy wulgarnej i agresywnej, czy pozornie eleganckiej. Może przyjmować postać otwartej napaści, ale równie często objawia się jako sarkazm, publiczne zawstydzanie, deprecjonowanie albo komentarze, które pod pozorem „zwracania uwagi" podważają wartość drugiego człowieka. Nawet emotikonka „ha, ha" często jest formą hejtu.

Mylimy go więc z zasadną krytyką.

To największy problem. Esencja hejtu jest wciąż słabo identyfikowana w społecznej świadomości. Dla wielu osób to wyłącznie wulgarne komentarze w mediach społecznościowych. Tymczasem to tylko fragment znacznie szerszego zjawiska.

Krytyka konstruktywna rządzi się zasadami, z których jedną z najważniejszych jest to, że nie odbywa się publicznie. Można komuś wskazać błąd, pomóc coś poprawić, natomiast forma i miejsce mają kluczowe znaczenie. W momencie, gdy staje się to publicznym punktowaniem, przestaje służyć rozwojowi, a zaczyna służyć zawstydzaniu i wtedy wchodzi w obszar hejtu.

Dzieci uczą się hejtu od dorosłych?

Oczywiście. Hejt reprodukują dorośli i nie mają świadomości, że to robią. Fundamentalna zasada uczenia się mówi jasno: dziecko nie uczy się tego, co mu mówimy, tylko tego, co robimy. Nie ogląda nas Wielki Brat, ale ogląda nas dziecko, które nieświadomie kopiuje nasze zachowania. Rodzic może powiedzieć dziecku: „nie hejtuj kolegów", a chwilę później w hejterski sposób komentować politykę w telewizji czy w internecie. Nie używa wulgaryzmów, więc uważa, że to nic złego. A tymczasem dziecko dostaje przekaz: jeśli kogoś nie lubimy, możemy po nim jechać.

Argumenty *ad personam* to też hejt?

Tak. Sugerowanie, że czyjeś poglądy lub zachowania wynikają z jego cech osobistych, jest formą hejtu. Mamy prawo myśleć, co chcemy. Ale wypowiadanie naszych myśli, zwłaszcza publiczne, to już zupełnie inna bajka – nawet jeśli wydają się zabawne albo zasłużone. Kiedy podczas Przystanku Woodstock życzono Krystynie Pawłowicz seksu, początkowo też się z tego śmiałem, ale później zrozumiałem, że to nie jest w porządku. Publiczne sugerowanie, że czyjeś zachowanie wynika z niespełnienia seksualnego, jest formą hejtu. Dopóki nie zrozumiemy, że bardzo często ukrywa się w białych rękawiczkach, pod pozornie kulturalnym albo żartobliwym naruszaniem godności drugiego człowieka, będziemy go powielać. A bez tej świadomości nie da się ani skutecznie przeciwdziałać, ani wychowywać dzieci w świecie wolnym od przemocy.

Jest jednak różnica między rzucaniem obelg w polityka oglądanego w telewizji a bezpośrednim kierowaniem ich do niego w mediach społecznościowych.

Pytanie dotyczy jakości, zasięgu i wpływu naszych słów. Jeżeli siedzę sam w pokoju, oglądam telewizję i coś komentuję, to sytuacja jest jasna. Ale kiedy obok jest dziecko, to przekazuję mu wzorzec zachowania, a przez nieuświadomione kopiowanie uczy się, że jeżeli kogoś nie lubimy albo się z nim nie zgadzamy, to możemy wypowiadać się o nim w taki sposób. Media społecznościowe to inna sytuacja. Tutaj trzeba założyć, że czyta nas każdy: nie tylko adresat naszych słów, ale także pani Gienia z Sieradza i Krystian z Ostrołęki. I nasze słowa zaczynają legitymizować hejt.

W etyce judaizmu jest świetny przykład dotyczący plotki. Całkowite usunięcie skutków naszych słów o kimś przypomina rozprucie poduszki z pierzem na wietrze, a potem zbieranie wszystkich piórek. To w zasadzie niemożliwe. Tak samo działa hejt w przestrzeni publicznej: raz wypuszczony w świat, nie ma granicy, często zaczyna żyć także poza siecią.

Można też tak zadawać pytania przy stole, że zagadnięty nie wie, gdzie się podziać.

O tak! Zadawanie pytań jest zdecydowanie lepsze niż ocenianie, ale nie takich pytań, które już niosą ocenę lub wytwarzają presję typu „to kiedy dzieci?". Dobre są pytania, które realnie pokazują zainteresowanie drugim człowiekiem i troskę o niego. Kiedy zaczynamy przy świątecznym stole pytać o rzeczy typu: jakie są twoje marzenia, co było najlepszym doświadczeniem w roku, zupełnie zmienia się jakość kontaktu.

To może się wydać trochę nienaturalne.

Bądźmy szczerzy: pierwsza randka, pierwszy seks też bywają niezręczne. A to, co przychodzi potem, bywa naprawdę piękne. Mówiłem ostatnio o tym na zajęciach w Uniwerku III Wieku w Sopocie. Powiedziałem: jeśli nie chcecie rozmów o polityce, dajcie alternatywę. Ona naprawdę istnieje.

Czy w kontekście hejtu istnieją grupy ryzyka?

Narażeni jesteśmy wszyscy. Bardzo lubię zdanie, że pełnosprawność jest stanem czasowym. Dokładnie tak samo brak powodu do dyskryminacji jest stanem czasowym. ↦

↦ Ale prawdą jest, że szczególnie narażone są wszelkie grupy mniejszościowe. A to z kolei nie jest *constans*. Wystarczy popatrzeć, jak mocno w społeczeństwie zmienił się stosunek do osób z Ukrainy.

Na czym właściwie polega mechanizm dyskryminacji?

Istota dyskryminacji, która ściśle wiąże się z hejtem, polega na tym, że ktoś przypisuje ci gorszą wartość tylko dlatego, że należysz do jakiejś grupy. Czasami nawet nie dlatego, że należysz do niej faktycznie, ale dlatego, że zostałeś tak zidentyfikowany przez innych. To doświadczenie druzgocące. Hejtować można dosłownie za cokolwiek: za noszenie okularów czy rude włosy.

Czy w takim razie mówienie o grupach ryzyka ma sens?

Tak, ale pod warunkiem, że nie tracimy z pola widzenia całości.

Zawsze podkreślam: są grupy szczególnie narażone, musimy je widzieć i chronić. Ale jednocześnie nie możemy udawać, że hejt dotyczy tylko ich. To są dwie rzeczy prawdziwe naraz: istnieją grupy szczególnego ryzyka i jednocześnie hejt dotyka znacznie większej liczby osób, niż nam się wydaje. Żyjemy w czasach obniżenia jakości aparatu poznawczego. Kiedy piszę post np. solidaryzujący się z osobami niebinarnymi, to nie oznacza automatycznie, że nie wspieram gejów czy lesbijek. A bardzo często tak jest to odczytywane.

Skąd się to bierze?

Nasz aparat poznawczy jest przeciążony, a medialno-społecznościowe bagno wprowadza coraz większą dezorientację. Czasami wystarczy jedno zdanie i ludzie traktują je jak manifest całego światopoglądu, a jedno słowo staje się powodem linczu.

Jedna z najbardziej dziś narażonych grup to osoby transpłciowe. Już dekadę temu, jeszcze zanim dokonałem publicznego coming outu, zwracałem uwagę na to, że wewnątrz społeczności LGBTQIA funkcjonuje hierarchia uprzywilejowania. Najbardziej uprzywilejowani są biali geje. Lesbijki realnie mniej. Osoby transpłciowe są najbardziej dyskryminowaną grupą, nawet wewnątrz społeczności LGBTQIA. Wystarczy posłuchać ludzi, którzy mówią „jestem za małżeństwami jednopłciowymi", a później dodają: „no ale z transami to nie przesadzajmy".

> Nie można przeciwdziałać wykluczeniom, pozwalając sobie jednocześnie na hejt wobec kogoś innego.

Wybiórcze przeciwdziałanie dyskryminacji?

Nie można skutecznie przeciwdziałać wykluczeniom, pozwalając sobie jednocześnie na hejt wobec kogoś innego. To zatruty eliksir. Jeśli użyjesz z niego choćby kropli, używasz go w całości. Ktoś może mówić „niech te transy nie przesadzają", nie mając pojęcia, że jego dziecko jest transpłciowe. A potem przychodzi próba samobójcza i zdziwienie „jak to możliwe?".

Dyrektorka jednej ze szkół w Gdańsku, Marta Badowska, powiedziała mi zdanie kluczowe: akceptacja dla wszystkich kolorów tęczy to nie ideologia służąca temu, aby dzieci hetero stawały się dziećmi queerowymi. Chodzi o to, żeby dzieci queerowe nie stawały się dziećmi martwymi. Statystyki samobójstw wśród osób transpłciowych, zwłaszcza dzieci i młodzieży, są dramatyczne. Ochrona osób queerowych to cywilizacja życia.

Dlaczego to aż tak boli?

Doświadczenie hejtu jest czymś dewastującym. Badania z zakresu neuronauk pokazują, że nawet sytuacja rozmowy, w której pozostałe osoby przestają nas „widzieć", aktywuje w mózgu te same obszary, które odpowiadają za ból fizyczny. Hejt uruchamia poczucie wstydu, który jest szczególnie niszczący, bo nie mówi „zrobiłem coś źle", tylko „ze mną jest coś nie tak". Kiedy widzisz siebie oznaczonego w komentarzach, w negatywnym kontekście, a to eskaluje zwykle w stronę linczu, wtedy naturalnym impulsem jest chęć zniknięcia. Czasem niestety na zawsze. Jeśli zrozumiemy, jak bardzo przemoc, hejt, dyskryminacja ranią i niszczą, łatwiej będzie zrozumieć, dlaczego jest tak fatalnie, jeśli idzie o zdrowie psychiczne i skalę samobójstw.

Możemy być odporni na hejt? Jakie kompetencje są przydatne?

Tu trzeba powiedzieć ważną rzecz: odporność na hejt nie polega na tym, że hejt przestaje boleć. Bardziej chodzi o to, że przestaje nas niszczyć. W książce „Szkoła bohaterek i bohaterów" wprowadziłem metaforę z „Matriksa": Neo podnosi rękę i zatrzymuje lecące w jego stronę pociski. One nadal lecą, ale go nie trafiają. Hejt, jak każdy typ przemocy, był, jest i będzie, ale możemy go nie reprodukować.

Zatem jak zostać Neo, który zatrzymuje kule hejtu?

Najpierw trzeba uświadomić sobie fundamenty, o których już wspomnieliśmy: hejt to każda niekonstruktywna, nieuzasadniona krytyka i nie trzeba należeć do żadnej grupy ryzyka, żeby zostać zhejtowanym. Nie musisz być gejem czy uchodźcą. Jeśli wiesz, że hejt może ci się przytrafić i że będzie boleć, to kiedy się wydarzy, masz już ramę: „to jest to, o czym mówiliśmy".

Druga kluczowa rzecz: nie być w tym samemu. Najlepiej zbudować swoją „wioskę": sieć zaufanych osób. Kiedy kogoś spotyka hejt, ta osoba natychmiast ma wsparcie swojej wioski. Jest otoczona akceptacją i afirmacją, wsparciem i miłością. To nie jest metafora, to realne psychiczne ratowanie człowieka.

Jak wygląda to w praktyce?

Coraz częściej mówi się o roli „menedżera hejtu". To ktoś z otoczenia, kto w czasie kryzysu przejmuje kontakt z internetem. Osoba hejtowana nie czyta komentarzy, nie śledzi treści o sobie. Ktoś inny się tym zajmuje, bo nie jest w stanie emocjonalnego rozbicia.

Jeśli dziecko doświadcza hejtu, pierwsza reakcja to danie poczucia bezwarunkowej miłości, która oczywiście powinna być podstawą na co dzień. Nie relatywizujemy, nie mówimy: „no wiesz, może trochę mają rację". Przytulamy, mówimy: „jesteśmy z tobą i będziemy zawsze", po czym przejmujemy sprawę. To początek realnej odporności na hejt.

Jak się zorientować, że dziecku dzieje się krzywda?

Hejt stał się codziennością

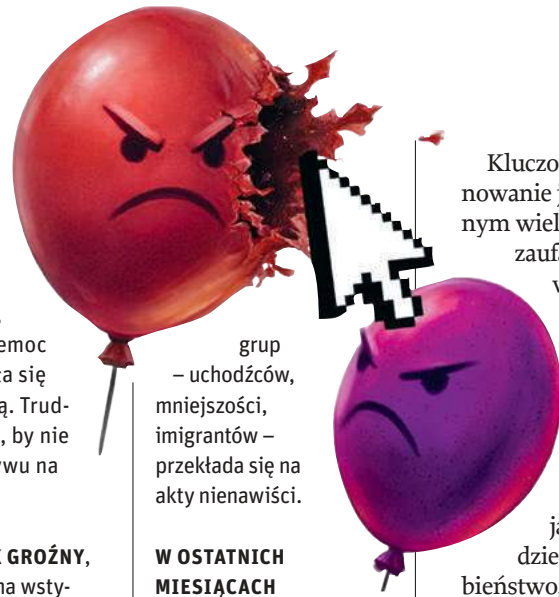

JĘZYK NIE ZMIENIA SIĘ NAGLE. Nie budzimy się pewnego dnia w świecie, w którym obelgi są normą, a stojące za nimi groźby zamieniają się w czyny. Trudno jednak uchwycić moment, w którym przemoc językowa przestaje być bulwersującym incydentem, a zaczyna być niezauważalnym tłem codzienności. Możemy za to uczyć się, jak rozpoznawać ten proces i jak mu przeciwdziałać.

DANE WSKAZUJĄ, że nie można już mówić o marginesie. Raport Rzecznika Praw Dziecka „Spójrzmy na internet oczami dzieci" z lutego 2025 r. pokazuje, że hejt jest dla młodych ludzi jednym z najbardziej oczywistych zagrożeń w sieci. Aż 84 proc. nastolatków wskazuje go jako realny problem.

Z BADAŃ WYNIKA TEŻ, że młodzi ludzie nie tylko obserwują to zjawisko, ale uczą się go jako jednej z form komunikacji. Uczą się również tego, że agresja słowna rzadko spotyka się z reakcją, a jeszcze rzadziej z konsekwencjami. To przekłada się na relacje – brak poczucia bezpieczeństwa i deficyt zaufania stają się doświadczeniem wielu młodych osób, także w szkole.

Z ŁATWOŚCIĄ MÓWIMY o pokoleniu „nadwrażliwych dzieci", zapominając, że to my zafundowaliśmy im świat, w którym przemoc językowa stała się codziennością. Trudno oczekiwać, by nie miało to wpływu na ich rozwój.

HEJT JEST TAK GROŹNY, bo opiera się na wstydzie, który niszczy, który mówi ci, że to z tobą jest coś nie tak. W skrajnych przypadkach prowadzi do śmierci. Dominik z Bieżunia i inne osoby dobrze znane społeczności LGBTQ+: Kacper, Wiktor, Michał, Milo, Zuzia. Ich samobójcze śmierci łączą się z doświadczeniem zaszczucia, lęku i braku akceptacji.

TĘ SAMĄ NORMALIZACJĘ przemocy dokumentuje „Brunatna Księga 2023-2024" Stowarzyszenia „Nigdy Więcej". Raport pokazuje, jak język pogardy wobec różnych grup – uchodźców, mniejszości, imigrantów – przekłada się na akty nienawiści.

W OSTATNICH MIESIĄCACH szczególnie wyraźnie widać to w narracjach antyukraińskich. Analizy organizacji pozarządowych pokazują gwałtowny wzrost treści przedstawiających obecność Ukraińców jako „problem wymagający rozwiązania". Tysiące takich przekazów krążą w polskiej sieci. Podszyte są rzekomą troską o Polskę, a coraz częściej kończą się przemocą.

Z PERSPEKTYWY DZIECI wszystko to układa się w prostą lekcję: jeśli dorośli mogą mówić o innych z pogardą, to znaczy, że tak się rozmawia.

©℗ JACEK TARAN



Kluczowa jest więź. Całe nasze funkcjonowanie jako dorosłych powinno być jednym wielkim komunikatem: „możesz mi zaufać". Warto to powtarzać, a przede wszystkim pokazywać swoim zachowaniem. To, czy dziecko przyjdzie do nas i powie, co się dzieje, zależy od tego, jak reagowaliśmy w codziennych, drobnych sytuacjach. Jeżeli dziecko płacze, bo zgubiło ulubiony ołówek, a rodzic reaguje: „nie becz, jak będziesz dorosły, to dopiero będziesz miał problemy", prawdopodobieństwo, że przyjdzie z czymś naprawdę trudnym, drastycznie spada. Swoją codzienną postawą zwiększamy albo zmniejszamy szansę, że coś nam powie.

A co, jeśli nie mówi?

Każdy z nas może uprawiać protodiagnostykę, czyli uważnie obserwować. Pierwszym i najważniejszym sygnałem jest zmiana. Tu nie chodzi o to, czy zmiana jest „na lepsze", czy „na gorsze", tylko o to, czy w ogóle nastąpiła.

Przykład: kiedyś przejąłem klasę interwencyjnie, po odsunięciu wcześniejszej wychowawczyni. Szybko okazało się, że jeden uczeń ma depresję, a inna uczennica podejmowała próbę samobójczą. Moją reakcją było: „Boże, jaki ze mnie fatalny wychowawca". I wtedy koleżanka psychoterapeutka powiedziała mi coś, co zmieniło perspektywę: „Przemek, przy tobie te dzieci poczuły się bezpiecznie i mogły się otworzyć". Wcześniej funkcjonowały w środowisku, w którym zdrowie psychiczne „nie istniało". Teraz przestały udawać. Mogliśmy zobaczyć, co się naprawdę dzieje, i im pomóc.

Czasem pogorszenie funkcjonowania jest dobrym znakiem. Oznacza, że dziecko wreszcie może być sobą. Nie trzeba chyba tłumaczyć, co się natomiast dzieje, jeśli dziecko musi dalej próbować radzić sobie z własnym cierpieniem w szczelnym zamknięciu w samym sobie.

A to nie działa też w drugą stronę?

No właśnie: często słyszę, że poprawa wyników w nauce oznacza, że wszystko jest w porządku. A to może nie być prawda. Zdarza się, że dziecko podejmuje decyzję, np. o samobójstwie, i w tym momencie konflikt niejako się kończy. Pojawia się „ulga", a wraz z nią poprawa funkcjonowania. To bardzo trudne do przyjęcia, ale musimy mieć tego świadomość. ↦

↦ Jeśli mamy wątpliwości, najlepiej to skonsultować ze specjalistą, choćby przez telefon zaufania.

I na koniec: najważniejszy komunikat, jaki możemy przekazać, to postawa. Słowa nic nie znaczą, jeśli nie są potwierdzone działaniem. Jestem dla ciebie zawsze. Możesz do mnie przyjść. Stoję za tobą murem. Jeśli będzie trzeba, ściągnę helikopter. I tu nie chodzi o to, żeby być perfekcyjnym, tylko o realną obecność, i to jest najbardziej kluczową profilaktyką.

Jak reagować, gdy jesteśmy świadkami hejtu? Może być trudno zdobyć się na odwagę.

To zupełnie normalne. I ważne, by dać sobie prawo do strachu. Pierwsza zasada: nie być w tym samemu. Warto wcześniej umówić się z bliskimi, że jeśli znajdziemy się w sytuacji obserwowania hejtu, to łączymy siły. Już dwie osoby reagujące razem to coś potężnego.

Druga zasada, której uczą na kursach pierwszej pomocy: martwy ratownik to kiepski ratownik. Jeśli masz poczucie, że reakcja może być dla ciebie niebezpieczna, nie masz obowiązku narażać zdrowia czy życia. Wtedy idziemy po wsparcie, dokładnie tak jak w sytuacji zagrożenia fizycznego.

Na lekcji czasem wystarczy powiedzieć: „to nie jest forma komunikacji, którą akceptuję na zajęciach". I oczywiście zbadać przyczynę oraz dotknąć sprawy u źródła.



DAWID LINKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

PRZEMYSŁAW STAROŃ jest psychologiem, wykładowcą, edukatorem, autorem serii książek „Szkoła bohaterek i bohaterów". Nauczyciel Roku 2018, finalista Global Teacher Prize 2020.

W internecie sprawa jest trudniejsza. Muszę się liczyć z tym, że reagując, sam stanę się celem. I wtedy pytanie brzmi: czy mam na to zasoby? Jeśli hejt dotyczy mojego znajomego, to często piszę do niego prywatnie: „Widziałem ten komentarz. Stoję za Tobą murem. W jaki sposób mogę Ci pomóc?". Często samo to, że ktoś zauważył, jest kluczowe. Reagujmy mądrze, wspólnie i z troską o siebie. Korzystajmy także z możliwości, które daje prawo, a daje niemało.

Jak nie być hejterem?

No właśnie: hejt najłatwiej widzimy poza sobą. „To oni hejtują". Tymczasem każdy z nas ma swój cień. Sam zrozumiałem to na terapii, gdy usłyszałem wprost, że czasem też mam ochotę pohejtować. Najpierw się oburzyłem, a potem zobaczyłem, że to prawda: że czasami mam ochotę komuś napisać „nie zesraj się".

Też często muszę się przed tym powstrzymywać.

I właśnie o to chodzi: żeby to zauważyć, zaakceptować i nie udawać, że jest się od tego wolnym. To uruchamia refleksję: skąd to się we mnie bierze? Osoby walczące z hejtem same niejednokrotnie go reprodukują. Każdemu może się zdarzyć takie zachowanie i nie czyni to jeszcze z nikogo „hejtera". Kluczowe jest zauważenie sytuacji i wyciągnięcie wniosków.

Hejt rani także tego, kto go stosuje. Jerzy Pilch napisał: „Ranią – poranieni. Upokarzają – upokorzeni". Dlatego jednym z najlepszych sposobów, by nie hejtować, jest zadbanie o siebie, o swoje emocje, potrzeby i budowanie poczucia sensu we własnym życiu. Hejt często odsłania deficyty i ból, a hejtowanie hejtera tylko je pogłębia. To nie usprawiedliwia zła, ale pozwala zobaczyć, że osoba hejtująca również potrzebuje pomocy. Taka perspektywa daje szansę realnej zmiany. Wielką zmianę przynosi też przykład. Gdy ktoś potrafi powiedzieć: „masz rację, przepraszam", to naprawdę działa niesamowicie.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska,
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)

Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami,
nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.



PREZENT!

– dostęp do wydania cyfrowego na czas trwania prenumeraty*

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**ABY GO AKTYWOWAĆ:*

- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na* ***bok@TygodnikPowszechny.pl*** *z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

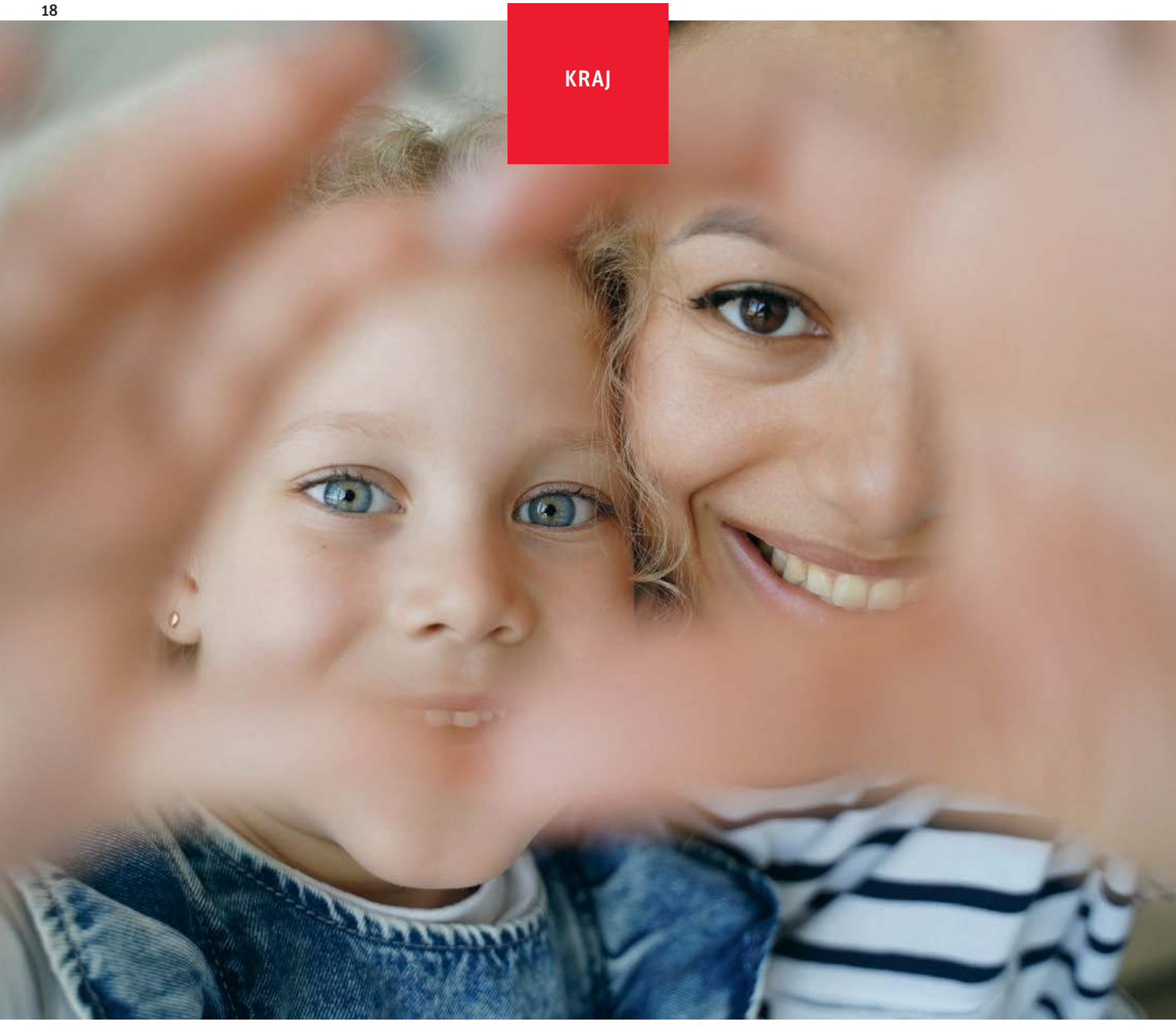

RODZICE POTRZEBNI OD ZARAZ

Adoptować może wiele polskich par i osób samotnych. Przysposobienie może być odpowiedzią na kryzys dzietności. Nowych rodzin jest jednak coraz mniej.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Historie, które kojarzymy z cukierkowych happy endów świątecznych filmów, swój wstęp miewają jak w thrillerach dla ludzi o mocnych nerwach. Weźmy Kasię z Rybnika (imię zmienione), dziś piękną ponoć czterolatkę, o której opowiada mi prowadząca pogotowie rodzinne Marzena Gabryś, dla czterdziestki „swoich" oddanych do adopcji dzieci oraz ich rodziców po prostu „ciocia".

Rok 2020, rybnicki szpital. Kasia rodzi się, jak mówi Marzena Gabryś, „w zasadzie martwa". Jeden na dziesięć punktów w skali Apgar, stan ciężki. Sepsa, reanimacja, beznadziejne rokowania. W sumie bez większych zaskoczeń: to tylko kolejna z setek polskich historii półtora- albo dwukilogramowego, bezbronnego człowieka „poczęstowanego" tuż przed narodzinami wódką czystą i narkotykami. Tutaj jeszcze ze specjalnym „bonusem" – matka zgłosiła się do szpitala dopiero po szesnastu godzinach od odejścia wód płodowych.

Życie waży się z dnia na dzień, z czasem dziecko dochodzi do siebie. Po trzech tygodniach trafia do pogotowia rodzinnego. Tu Marzena Gabryś próbuje dokonywać cudów: jest z Kasią niemal non-stop, zmienia rodzaje mleka, smoczki, bo dziewczynka nie chce jeść. Do tego seria lekarskich wizyt: okulista, kardiolog, neurolog.

Po sześciu tygodniach odbywa się rozprawa sądowa. I dzieje się – jak na polskie warunki – cud. Pani sędzia nie bawi się w ceregiele, nie daje kolejnych szans rodzicom biologicznym, tylko z automatu odbiera matce i ojcu prawa, co otwiera dziewczynce drogę do adopcji.

Gdy Kasia ma cztery i pół miesiąca, zgłaszają się kandydaci. Gdy kończy pół roku, trafia do nowego domu. – Rodzice, oboje nauczyciele, są najszczęśliwszymi ludźmi na świecie – Marzena Gabryś dopowiada zwyczajowy adopcyjny *happy end*. – Owszem, Kasia jest niepełnosprawna, odkryto u niej dziecięce porażenie, trudno zresztą, by nic jej nie było po tym, co przeszła, ale też wspaniale się rozwija. Śliczna, mądra, dziś biega, jeździ na rowerku, dla rodziców najzdolniejsza i najwspanialsza.

Skąd się biorą dzieci

Historia opowiadana przez Gabryś to jedno z ponad dwóch tysięcy przysposobień, jakie rokrocznie odbywają się w Polsce. Odpowiedź na pytanie, skąd się biorą dzieci do adopcji, w skrócie brzmi: z nieszczęścia. Nie tego najbardziej spektakularnego, który kojarzymy z czasów dawnych – epoki krótszego życia i większej liczby społecznych niepokojów oraz wojen, kiedy nierzadkie były przypadki sieroctwa biologicznego. Teraz niemal sto procent adoptowanych dzieci to tzw. sieroty społeczne: albo przez rodziców porzucone, albo im odebrane.

Czyli takie, jakie na co dzień spotyka Marzena Gabryś. Rozmawiamy online, w tle widzę okno wychodzące na rybnicką ulicę, ale słyszę płacz (to czteromiesięczne dziecko z jeszcze nieuregulowaną sytuacją prawną, ale z dużymi szansami na adopcję). Przez dom Gabryś przewinęło się przez ponad dekadę pięćdziesiąt troje podobnych dzieci. – Aż czterdziestka została adoptowana, tylko trzy poszły do rodziny zastępczej, nie mając na adopcję szans. Pozostała dziesiątka wróciła do rodzin biologicznych – wylicza Marzena Gabryś.

I zaraz dodaje: – Teoretycznie taki powrót to największy sukces, bo oznacza, że zagrożona rodzina zmieniła swoje życie. Ale ja tych powrotów się boję. Jedno dziecko było u mnie przez rok, w trakcie którego rodzice biologiczni m.in. poszli na odwyk. Sąd zdecydował, że dziecko do nich wróci, ale pół roku później policja przywiozła je znowu do mnie. Powód: rodzice mieli po trzy promile alkoholu we krwi.

Przysposobieniami zajmują się w Polsce ośrodki adopcyjne. By się do nich dostać i zacząć diagnostykę oraz szkolenia, trzeba posiadać obywatelstwo polskie, czystą kartotekę karną, a także być w wieku, który odzwierciedla mniej więcej biologiczny cykl rodzicielstwa (różnica między dzieckiem a rodzicem nie powinna być większa niż 40 lat). Wymogi zdrowotne i finansowe nie są już tak ostre: każdy z ośrodków traktuje je nieco inaczej.

– Na pewno nie trzeba być idealnie zdrowym, ale też osoba adoptująca dziecko nie może sama wymagać opieki – tłumaczy Magdalena Lesiak, szefowa Archidiecezjalnego Ośrodka Adopcyjnego w Łodzi. – Sprawdzamy też oczywiście kwestie materialne, ale kompletnym nonsensem jest stereotyp, który przewija się przez internet, że trzeba być bogaty i mieć dom z basenem. Mamy wielu kandydatów na rodziców całkiem przeciętnie zarabiających, natomiast sprawdzamy, czy dziecko w domu będzie miało swoje miejsce i zabezpieczone potrzeby.

Adoptować w Polsce może albo osoba samotna, albo para – w tym drugim przypadku jednak tylko będąca w związku małżeńskim. – Ten wymóg ma zapewnić dziecku stabilną sytuację z obojgiem rodziców, zabezpieczyć przed sytuacjami, których byłam nieraz świadkiem. Ośrodek nie ma narzędzi, by sprawdzić nieformalnego partnera kandydatki do adopcji. Może był karany, ma problemy psychiczne, bądź jest źle nastawiony do adopcji? Albo inny przykład: adoptująca matka po kilku latach umiera, a jej partner, z prawnego punktu widzenia, jest dla dziecka nikim – tłumaczy Magdalena Lesiak.

Najpierw żałoba, później adopcja

Zdecydowana większość adoptujących nie ma własnych dzieci biologicznych – szacuje się, że bezpłodnych par może być w Polsce nawet półtora miliona. Jednak ten fundamentalny powód zgłoszenia się do ośrodka – bezdzietność – nie wyczerpuje bynajmniej wymaganej przez ośrodki wiedzy o motywach kandydatów.

– Rodzicielstwo adopcyjne kształtuje się wokół doświadczenia straty. Z jednej strony jest to strata rodziców biologicznych, którą przeżywa dziecko. Ale również strata, jaką przechodzą dorośli kandydaci na rodziców, ponieważ duża część z nich mierzy się z niemożnością posiadania biologicznego potomstwa – mówi Katarzyna Bogołembska, prezeska Fundacji Adopcyjni, a prywatnie mama adopcyjna

– W związku z tym warto zadać sobie już na tym etapie kilka ważnych pytań – kontynuuje. I wylicza: – Czy adopcja nie będzie plasterkiem na moje rany? Jak na tej drodze pogodzić moje potrzeby z potrzebami przyszłego dziecka? Gdzie jestem w procesie radzenia sobie z żałobą, bo brak dziecka w niektórych przypadkach da się do niej porównać? Jaką mam gotowość, by zaopiekować się czekającym na przysposobienie małym człowiekiem, bez obciążania tej relacji wyobrażeniami? No i najważniejsze: jak sobie poradzę, jeśli oczekiwania jednak mnie przytłoczą? Wszystkie te pytania powinny wybrzmieć, by adopcja nie okazała się kolejną w życiu dziecka tragedią.

Choć w Polsce na przysposobienie czekają dzieci w każdym wieku, największe szanse mają te najmłodsze – wielu kandydatów na rodziców deklaruje, że idealny będzie dla nich niemowlak, ewentualnie dziecko kilkuletnie. ↦

VK STUDIO / ADOBE STOCK

↦ – Takie motywacje wynikają z chęci przeniesienia rodzicielstwa biologicznego na to adopcyjne, kandydaci chcą możliwie jak najwcześniej towarzyszyć dziecku, mieć wpływ na jego rozwój i tworzenie więzi – mówi Magdalena Lesiak.

– Ale zdarzają się też udane adopcje z cyklu *mission impossible* – dodaje. Było u nas np. małżeństwo po czterdziestce, dobrze rokujące, ale deklarujące, że chcą dziecko jak najmłodsze. W toku szkolenia, gdy poznawali coraz więcej historii, uściślili, że są w stanie zaakceptować syna lub córkę do 7. roku życia, byle wejść razem z nim w szkolny okres. Taką też dostali przed wakacjami kwalifikację, ale zaraz po nich powiedzieli, że urlop spędzili ze znajomymi mającymi 10-letniego syna, z którym świetnie się dogadywali, więc znowu przesunęli swoją granicę. A chwilę później w ośrodku pojawiła się dziewczynka... trzynastoletnia. Chwilę się zastanawialiśmy, czy im to dziecko proponować, ale w końcu zaryzykowaliśmy. Udało się.

Zdarzają się też niestety historie odwrotne, zakończone oddaniem dziecka (w 2024 r. było ich w Polsce 21). – Kandydaci na adopcję jednego z przebywających u mnie dzieci dostali tydzień przed wigilią postanowienie sądu o osobistej styczności, więc mogli zabrać dziecko do domu – opowiada Marzena Gabryś z Rybnika. – Dostawałam od nich setki zdjęć, jak jest cudownie, i jaki synek wspaniały. Między świętami a Nowym Rokiem zadzwoniła mama, że tata chce ze mną porozmawiać. Spotykamy się, a on mówi, że chce oddać dziecko. Nie chce go, bo wszystko w domu jest brudne, a on przewraca się o leżące na podłodze zabawki. Tak skrajnie niedojrzała motywacja oddania dziecka świadczy o fatalnym przygotowaniu i błędnej kwalifikacji kandydata.

Dzieci są, rodziców brak

Przysposobień w Polsce jest coraz mniej: o ile dziesięć lat temu do rodzin adopcyjnych trafiało 3,5 tys. dzieci rocznie, dziś jest to już niecałe 2,5 tys. Ten spadek, co istotne, nie jest wcale pokłosiem ogólnego krachu dzietności w Polsce: w 2024 r. do ośrodków adopcyjnych zgłoszono rekordowe 7015 dzieci, zaś kwalifikację do przysposobienia otrzymało mniej więcej tyle samo, co w poprzednich latach.

Kryzys wynika więc z deficytu kandydatów na rodziców: o ile kiedyś to dorośli, szturmujący tłumnie ośrodki, czekali na upragniony telefon z informacją o pojawieniu się wyczekiwanego dziecka, teraz w kolejce ustawiają się dzieci. W 2023 r. na przysposobienie czekało nieco ponad tysiąc kandydatów na rodziców i dwa razy więcej dzieci. Rok później przebitka była już 2,5-krotna (925 kandydatów, 2337 dzieci).



ARCHIWUM PRYWATNE

MARZENA GABRYŚ,
SZEFOWA POGOTOWIA RODZINNEGO:

Mam w ośrodku dzieci w wieku pięciu lat i słyszę, że są za stare na przysposobienie. A jeszcze niedawno pięciolatek był uważany za idealne dziecko do adopcji.

Te deficyty dostrzega w swoim ośrodku Magdalena Lesiak: – Żeby procesy adopcyjne w Polsce działały tak jak należy, ośrodki powinny mieć możliwość wyboru dla dzieci najlepszej możliwej rodziny. Tymczasem jeśli ja mam do dyspozycji sześcioro kandydatów, z których część zastrzega, że nie chce dziecka takiego czy innego, wyboru w zasadzie nie ma.

Część przyczyn takiego stanu rzeczy jest oczywista: kryzys adopcyjny wpisuje się w szersze zjawisko niechęci do posiadania potomstwa w ogóle. Coraz mniej też jest w Polsce małżeństw, co w połączeniu z restrykcyjnymi przepisami też może mieć znaczenie.

Według Magdaleny Lesiak kolejną przyczyną kryzysu może być paradoksalnie postęp medyczny (leczenie niepłodności, *in vitro*), ale i coraz większa wiedza o adopcji.

– Nie mówimy, że na dom czekają dzieci chore i zdrowe – mówi Lesiak. – Za dużo wiemy o traumie porzucenia i zaburzeniach więzi, by nie mieć świadomości, że dzieci zdrowych w tej grupie nie ma. Przyszli rodzice muszą wiedzieć, że za dzieckiem stoi trudna historia. Ktoś to dziecko porzucił, wcześniej nierzadko pił alkohol w trakcie ciąży, doświadczyło zaniedbania, czasami przemocy, trafiło do placówki lub rodziny zastępczej. W efekcie tych traum układ nerwowy dziecka od początku jest w stanie permanentnego alarmu, z którego człowiek może wyrwać się na trzy sposoby: walczyć, uciekać albo ulec zamrożeniu. W przypadku malutkiego dziecka możliwy jest tylko ten trzeci scenariusz: mały, porzucony człowiek ucieka w sen, nie je, choruje, nie utrzymuje kontaktu wzrokowego, nie płacze.

Na kryzysie systemu cierpią najbardziej dzieci starsze i najmocniej obciążone wadami, chorobami oraz niepełnosprawnościami. – Z ośrodków coraz częściej dochodzi komunikat: zgłaszajcie dzieci do trzeciego roku życia, starszych nie – mówi Marzena Gabryś. – Mam teraz dzieci, które są w wieku pięciu lat, i słyszę, że są za stare. A jeszcze pięć lat temu taki pięciolatek był uważany za idealne dziecko do adopcji.

Króliki przed dziećmi

Eksperci i praktycy w jednym są zgodni: nie ma magicznego zestawu działań, które doprowadzą nas do wyjścia z tego kryzysu, tak jak nie ma mocnych i mądrych, którzy wyprowadziliby Polskę z ogólnego krachu dzietności.

Katarzyna Bogołembska widzi nadzieję w ruchu pozarządowym: – Sami rodzice coraz częściej otwarcie mówią o adopcji, stowarzyszają się, zakładają fundacje takie jak nasza i wspierają się po orzeczonym przysposobieniu. Aktualnie systemowa pomoc jest niewystarczająca i niedopasowana do potrzeb rodzin po adopcji.

System chce reformować rząd, ale szykowana nowela ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej dotyczy głównie tymczasowej pieczy, też zresztą pękającej w szwach (dość wspomnieć, że niemal 2 tys. dzieci sądownie wysłanych do tego systemu pozostaje w zagrożonych rodzinach biologicznych – z powodu braku miejsc). Planowane zmiany dotyczące adopcji nie wyglądają na rewolucyjne: procedury mają zwiększyć bezpieczeństwo dzieci; te już przysposobione otrzymają dostęp do ochrony zdrowia poza kolejkami.

Swoje propozycje zmian przedstawiła Komisja Kodyfikacyjna Prawa Rodzin-

nego, która – piórem uznanych ekspertów i praktyków z tej dziedziny, czyli Anny Krawczak i Rafała Łukasiewicza – zaproponowała m.in. wprowadzenie tzw. adopcji wspieranych. Bo dzisiaj dziecko adoptowane – w odróżnieniu od tego z pieczy zastępczej – wraz z decyzją sądu o przysposobieniu znika z instytucjonalnych radarów. „To twoje dziecko, więc radź sobie sam" – zdaje się mówić państwu Kowalskim państwo polskie.

Problem w tym, że suma traum i schorzeń adoptowanych dzieci wymaga nie tylko nakładów finansowych, ale też czasu i specjalistów. To wszystko mógłby ułatwić wspierany model przysposobień.

„Rozwiązania tego typu sprawdziły się za granicą, m.in. w Australii (Nowa Południowa Walia) (...) Mogłyby być w szczególności zasadne w razie przysposobienia dziecka z orzeczeniem o niepełnosprawności lub równoczesnego przysposobienie trojga i więcej rodzeństwa" – napisali m.in. eksperci.

Na inne rozwiązanie mogące sprzyjać poprawie sytuacji, czyli otwarcie przysposobień dla par innych niż małżeńskie, nie ma co w Polsce na razie liczyć. Taką szansą byłyby związki partnerskie – skoro jednak dziś polska klasa polityczna nie jest gotowa na takie związki z przepisem o tzw. przysposobieniach wewnętrznych (jedno z partnerów bierze odpowiedzialność za biologiczne dziecko drugiego/drugiej), to jak wyobrazić sobie gotowość do wprowadzenia adopcji dla par jednopłciowych? I nieważne, że opór ten trąci hipokryzją: wedle szacunków tysiące takich par już dziś wychowuje w sposób nieformalny dzieci.

Łatwiejszą do pokonania barierą jest chyba ta komunikacyjna: potrzeba więcej kampanii pokazujących w dobrym świetle adopcje. Na razie, słyszę od ekspertów, łatwiej natrafić na te poświęcone zwierzętom niż dzieciom. Wie coś o tym wyszukiwarka Google, skoro po wpisaniu słowa „adopcje" podpowiada osiem fraz, z czego tylko dwie dotyczą dzieci. Pozostałe to m.in. „adopcje psów", „adopcje na cztery łapy", „adopcje królików", a także buldożków i labradorów.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ATTILA HUSEJNOW / FORUM

Protest rolników przeciwko umowie UE–Mercosur, Warszawa, 9 stycznia 2026 r.

Bitwa o żywność

MATEUSZ PEROWICZ

ROLNICTWO | W Polsce trwa dyskusja o zakupach broni, dostawach energii i bezpieczeństwie infrastruktury kolejowej. Warto jednak zapytać, czy w razie poważnego kryzysu międzynarodowego znajdziemy w sklepach podstawowe artykuły?

Obecna debata publiczna na temat rolnictwa popada w skrajny defetyzm. Ma nas wykończyć umowa stowarzyszeniowa Unii Europejskiej z Ukrainą oraz import tamtejszych produktów na rynek wspólnoty. Strach budzi również umowa Unii Europejskiej z krajami Mercosur – obawiamy się żywności, która trafi na rynek UE z Ameryki Południowej.

Wiele osób słusznie zauważa, że produkty te nie muszą spełniać tak wyśrubowanych norm i standardów, jakie narzucają europejskie instytucje rolnikom z krajów członkowskich. Pojawia się więc uzasadniona obawa, iż żywność sprowadzana z Ameryki Południowej okaże się znacznie tańsza, gdyż będzie ją można łatwiej, szybciej i prościej wyprodukować.

Nasi rolnicy przez dwie dekady inwestowali w swoje gospodarstwa, aby spełnić szereg unijnych wymogów, a dziś dowiadują się, że ktoś, kto tych warunków nie spełnia, będzie miał dostęp do europejskiego rynku. Unijni rolnicy są mocno zaniepokojeni, że nie dadzą sobie rady z tą konkurencją, wznawiają więc protesty, próbując rozpaczliwie zablokować plany UE.

Czy ten alarm jest uzasadniony? Spójrzmy na poprzednie problemy i konflikty wokół rolnictwa, a zwłaszcza na to, jak się one zakończyły.

Nie chcieli żadnej unii

Według badania CBOS z kwietnia 2003 r. tylko 38 proc. naszych rolników popierało integrację Polski z UE. Wówczas też straszono, że akcesja do europejskiej wspólnoty skończy się tragedią dla polskiego sektora rolnego. Tymczasem w ramach unijnego wsparcia finansowego na polską wieś i do rolników trafiło 78 mld euro, z tego 50 mld euro na dopłaty bezpośrednie. W wyniku akcesji wartość eksportu polskiego sektora rolno-spożywczego ↦

↦ wzrosła jedenastokrotnie i wynosi już 51,8 mld euro. Dodatnie saldo handlowe jest dziś czterokrotnie wyższe niż cały eksport rolno-spożywczy przed wstąpieniem do UE i wynosi 18,6 mld euro.

Z kolei z raportu „Polska Wieś i Rolnictwo 2025" wynika, że po dwóch dekadach od wejścia Polski do UE, aż 66,2 proc. rolników opowiada się za pozostaniem w Unii. Strach okazał się więc wyolbrzymiony, a cały sektor bardzo zyskał na dostępie do unijnego rynku.

Gdy Unia Europejska wprowadziła sankcje na Rosję z powodu aneksji Krymu w 2014 r., rolnicy również lamentowali. Odpowiedzią Kremla było bowiem embargo na polskie jabłka i inne produkty rolne. Straszono nas wtedy zapaścią z powodu zerwania relacji gospodarczych z największym odbiorcą polskich warzyw i owoców, a jednak nasi producenci szybko znaleźli inne rynki zbytu. Polskie jabłka i inne produkty trafiły na rynki Azji i Afryki.

Zamiast zapaści, obserwowaliśmy międzynarodowy sukces naszego sektora produkującego żywność. I tak naprawdę nie odczuliśmy zerwania relacji gospodarczych z Rosją.

Gigantyczny potencjał

Analogicznie było z umową CETA pomiędzy UE a Kanadą, znoszącą większość ceł. W 2016 r. przez Warszawę przetaczały się manifestacje przeciwko tej inicjatywie. I choć umowa nie została ratyfikowana przez wszystkie kraje UE, to część jej postanowień weszła w życie w 2017 r., w tym zapisy o dostępie kanadyjskich produktów do rynku europejskiego.

Czy ktoś to w ogóle zauważył? I czy umowy UE z Mercosur oraz Ukrainą nie okażą się kolejnym bezpodstawnym straszakiem? Może za parę lat wyjdzie na jaw, że polskiemu rolnictwu wyszło to na dobre? Otóż nie do końca. W obecnej niestabilnej sytuacji międzynarodowej musimy

Zaledwie 12 proc. rolników w UE ma mniej niż 40 lat. W Polsce ten odsetek wynosi 21 proc., ale to nie oznacza, że możemy odetchnąć z ulgą. **Nasza młodzież chce uciec ze wsi.**

stworzyć narzędzia, które zapewnią polskim rolnikom takie same warunki, jakie ma ich konkurencja. Polski rynek rolno-spożywczy ma gigantyczny potencjał, ale ma też wiele słabych punktów. Obowiązkiem instytucji publicznych jest zasypanie tych nierówności i zagwarantowanie równych szans na rynku.

Uzależnieni od sieci

Polska jest w czołówce producentów żywca wieprzowego, jabłek, buraków cukrowych czy mleka, a eksport niektórych produktów do UE i poza nią ma ogromną wartość gospodarczą. Jednak dane statystyczne nie oddają w pełni sytuacji polskich rolników. Bo z faktu, że rośnie eksport, wcale nie oznacza, że nasz rolnik zarobił na swojej pracy. Ogromna część zysku z jego wysiłku trafia dziś do pośredników i zagranicznych sieci handlowych kontrolujących rynek. Świadczą o tym dramatyczne apele rolników, by przyjeżdżać na ich pola i brać plony nawet za darmo, bo nie opłaca się ich zbierać. Inaczej trafią na śmietnik.

Zależność naszego kraju od importu części surowców rolno-spożywczych i koncentracja dystrybucji w rękach dużych sieci handlowych ogranicza faktyczną autonomię Polski. Nie możemy w pełni decydować o własnym rynku żywnościowym, bo po prostu przeoczyliśmy ten sektor. Uznaliśmy, że jest mniej ważny niż ten energetyczny czy transportowy (kolej, CPK). Tymczasem ostatnie wydarzenia na świecie dają dowody na to, że jest inaczej – infrastruktura dystrybucji żywności powinna być szczególnie chroniona. System magazynowania i transportu jest dziś poza kontrolą państwa, gdyż ludzie, którzy za to odpowiadają, są pracownikami międzynarodowych koncernów. Mogą więc zniknąć z Polski w pierwszych godzinach poważnego kryzysu.

Scenariusz pustych półek w sklepach wydaje nam się dziś irracjonalny i abstrakcyjny, trzeba jednak zdać sobie sprawę, że za ich zaopatrzenie często odpowiadają koncerny, które nie mają silnych związków z Polską. Nie dziwi więc, że ze strony resortu rolnictwa pojawiła się propozycja przejęcia jednej z dużych sieci.

Carrefour po polsku?

W listopadzie 2025 r. temat, który jeszcze niedawno wydawał się egzotycznym pomysłem, awansował do grona głównych debat: czy państwowa Krajowa Grupa Spożywcza (KGS) powinna przejąć sklepy i centra handlowe sieci Carrefour, skoro są na sprzedaż? Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi oficjalnie zarekomendowało ministrowi aktywów państwowych taką transakcję, argumentując, że może to wzmocnić pozycję polskich producentów i stworzyć krajową sieć o strategicznym znaczeniu. Chodzi o przejęcie około 750 sklepów, 40 centrów dystrybucji i ponad 30 stacji benzynowych, które francuska grupa mogłaby sprzedać w ramach restrukturyzacji swojego portfela aktywów w Europie Środkowo-Wschodniej.

Krytycy projektu alarmują, że pomysł ten mija się z ekonomiczną rzeczywistością. KGS – mimo że ma większościowy udział Skarbu Państwa – jest spółką o słabej kondycji finansowej. Ostatni rok zakończyła stratą rzędu 600 mln złotych. Do tego bilansu należy dodać wszystkich rolników, sadowników i producentów żywności, którzy walczą o utrzymanie się na powierzchni z powodu cen skupu.

W obronie tej transakcji pada jednak argument, że ma ona polegać nie tylko na efektywnym ekonomicznie zakupie spółki i maksymalizacji zysków, ale przede wszystkim na rozwiązaniu piętrzących się pokoleniowych problemów.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 861/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marzenie Annie Ryba, zmarłej w dniu 22 lutego 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Musimy bowiem zdać sobie sprawę z obecnej sytuacji i zadać ważne pytania.

Czy młodzi polscy rolnicy będą chcieli przejąć rodzinne gospodarstwo, widząc na własne oczy, że miesiące ciężkiej pracy ich rodziców nie przynoszą znaczących efektów? Czy jesteśmy gotowi na kolejne fale migracji ze wsi do miast? Jak to wpłynie na rozwój gospodarczy, na rynek pracy oraz na demografię? Nie chodzi więc o to, by rolnik dostał 40 groszy więcej za kilogram ziemniaków. Chodzi o rozwiązanie strukturalnych problemów, o zerwanie z obecnym, rodzącym patologie systemem utrzymywania kolejnych pokoleń rolników w ekonomicznej niepewności. Przed nami strukturalne wyzwania, na które należy odpowiedzieć.

Stary jak rolnik

Zaledwie 12 proc. rolników w UE ma mniej niż 40 lat (średnia to 57 lat). W Polsce ten odsetek wynosi 21 proc. i jest jednym z najwyższych wśród krajów członkowskich. Nie oznacza to jednak, że możemy odetchnąć z ulgą. Wystarczy spojrzeć na dane demograficzne i kierunki migracji ludności. Na alarm bije Europejski Fundusz Rozwoju Wsi Polskiej, który opublikował raport „Młodzież ucieka ze wsi. Sektor rolniczy mierzy się z wyzwaniami demograficznymi", potwierdzając w nim, że dzieci niekoniecznie chcą przejmować gospodarstwa od rodziców.

To niezwykle alarmujące dane, dlatego Komisja Europejska szykuje bezprecedensowe wsparcie w postaci Strategii odnowy pokoleniowej w rolnictwie. Tyle że młodzi polscy rolnicy w większości nie chcą dopłat i dofinansowań. Chcą, by produkcja rolna najzwyczajniej w świecie była opłacalna, żeby dało się uczciwie zarobić z uczciwej pracy.

Pomimo licznych mechanizmów wsparcia nie udało się do tego przez wiele lat doprowadzić. Konieczne są dziś rozwiązania niekonwencjonalne, wychodzące poza utarty schemat. Potrzebujemy takich działań, które wyprzedzą różnorodne międzynarodowe kryzysy, a nie rozpaczliwych prób reagowania na nie dopłatami.

Receptą na te bolączki może być spółdzielczość. To właśnie dzięki niej pozycja duńskich, włoskich czy francuskich rolników jest zupełnie inna na wspólnotowym rynku niż polskich. Osoby zrzeszone w spółdzielniach otrzymują większą część dochodów całej grupy kapitałowej. Wypracowane zyski dzielone są na całą społeczność, która przyczyniła się do wypracowania kapitału.

W Polsce warto odwołać się do ruchu spółdzielczego Społem, budowanego przez Romualda Mielczarskiego, do którego w 1926 r. należało ponad 850 stowarzyszeń, 1670 sklepów i 550 tys. członków. Cały ten dorobek zniszczyła wojna. Skoro odbudowujemy Pałac Saski, być może to narodowe dziedzictwo również powinniśmy odtworzyć? Czyli wrócić do modelu, w którym zyski trafiają nie do międzynarodowych korporacji, tylko do obywateli, którzy swoją ciężką pracą wytwarzają niezbędną nam żywność. Niestety, nie uda się tego zrobić bez interwencji państwa.

Załatwmy to franczyzą

Polscy przedsiębiorcy – nie tylko rolnicy – nie wykazują nadmiernej chęci do podejmowania współpracy. Z każdego raportu i konferencji poświęconej rolnictwu wynika, że należy się integrować, inwestować wspólnie w przetwórstwo i przesuwać się wyżej w łańcuchach marż. To jednak wciąż tylko słowa. Nie należy się łudzić, że dojdzie do znaczących oddolnych ruchów integracyjnych.

Nie mamy też czasu na kolejne dekady eksperymentów. Potrzebujemy instytucji, która weźmie na siebie najcięższe elementy prowadzenia zintegrowanej działalności, kwestie prawne, marketing czy sieć dystrybucji. W wielu miejscowościach nie znajdziemy bowiem osób gotowych wziąć odpowiedzialność za te procesy. Jeśli chcemy realnej zmiany, państwo powinno pomagać tworzyć spółdzielnie działające na zasadzie franczyzy. Franczyza polega właśnie na tym, że nie trzeba wymyślać biznesu od nowa i nie trzeba się martwić o marketing czy kwestie prawne, bo tym zajmuje się centrala.

Dlatego zakup Carrefoura może się okazać paradoksalnie najtańszym i najprostszym sposobem na rozwiązanie różnorodnych problemów na rynku rolno-spożywczym. Po przejęciu takiego podmiotu moglibyśmy łatwo odbudować strukturę spółdzielczości w Polsce. Potrzebujemy do tego nie tylko produkcji na wysokim poziomie, ale także sieci dystrybucji. Odkupienie od Francuzów spółki daje taką możliwość.

Jedno wiadomo na pewno. Bezpieczeństwo żywnościowe to tak samo ważny aspekt naszej suwerenności jak infrastruktura energetyczna, kolejowa czy sprawna i dobrze wyposażona armia. Bez znaczącej interwencji naszych władz w rolnictwo nie będziemy suwerenni.

© MATEUSZ PEROWICZ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

GLIWICE,
czwartek, 29 stycznia, godz. 18.00,
Stacja Artystyczna Rynek (Rynek 4/5),
spotkanie z udziałem prof. Barbary Płytycz, polskiej biolożki, profesorki nauk przyrodniczych, „Społeczne skutki kłamstwa w przestrzeni publicznej – spojrzenie biolożki".

GRUDZIĄDZ,
piątek, 30 stycznia, godz. 17.30,
Spichlerz 57, noworoczne spotkanie i wspólne kolędowanie.

KĘDZIERZYN-KOŹLE,
niedziela, 1 lutego, godz. 18.00,
Klub Kameleon (ul. Dworcowa 1a),
spotkanie autorskie z Beatą Dżon-Ozimek i Michałem Olszewskim wokół książki „Ptaki krzyczą nieustannie. Historia Günthera Niethammera, esesmana i ornitologa z Auschwitz".

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL
jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Północna dziewiątka

PIOTR OLEKSY, DAMIAN SZACAWA

OBRONNOŚĆ | Mapy polityczne mają swoją dynamikę. Polska odsuwa się od Europy Środkowej i robi zwrot na północ. Dołączamy do ośmiu krajów nordyckich i bałtyckich. Ma to uzasadnienie militarne i gospodarcze.

Twórcy serialu „Świat według Kiepskich" jakby przewidzieli tę sytuację – w swoim prześmiewczym i prześnym stylu – już prawie ćwierć wieku temu. Oto na początku odcinka pt. „Titanic", emitowanego po raz pierwszy w 2002 r., okazuje się, że za oknem mieszkania Kiepskich rozpościera się morze, a cała ich kamienica kołysze się na falach.

Po opanowaniu kryzysu wywołanego chorobą morską, jeden z sąsiadów wyjaśnia, że chwilę wcześniej w budynku pojawili się minister i ksiądz. Ten pierwszy ogłosił kamienicę „jednostką morską", a drugi ją poświęcił – i tak zaczęła się przygoda na falach.

Geopolityczny wstrząs

Słuchając polskich polityków i licznych analityków, można odnieść wrażenie, że w ostatnich latach Polska przesunęła się na mapie. Dotąd postrzegaliśmy się jako kraj Europy Środkowej (którą to formułę za rządów PiS-u próbowano rozszerzyć na Trójmorze: obszar między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem). Z Europą Środkową łączyła nas historia, a po 1989 r. także aspiracje.

Tymczasem teraz stajemy się przede wszystkim państwem bałtyckim, które swoje strategiczne interesy i szanse rozwojowe wiąże ze współpracą z regionem Europy Północnej. Naszą mapą geopolityczną wstrząsnęła Rosja – najeżdżając Ukrainę i prowadząc hybrydową agresję przeciw Europie.

W efekcie przyszło nam zweryfikować przeświadczenie o strategicznej bliskości z sąsiadami z Europy Środkowej: dziś cała trójka partnerów z Grupy Wyszehradzkiej – najpierw Węgry, potem Słowacja, a teraz Czechy – staje się coraz bardziej prorosyjska.

Natomiast na północy zaszedł proces odwrotny: Szwecja i Finlandia przystąpiły do NATO, zmieniając układ sił na Bałtyku, który stał się zasadniczą areną konfrontacji Zachodu z Rosją. Równocześnie zdaliśmy sobie sprawę, że znakomita część naszej infrastruktury krytycznej jest na Wybrzeżu, a Bałtyk ma kluczowe znaczenie dla polskiej energetyki. Ciekawy jest też fakt, że Północ przyciąga naszą uwagę już od dłuższego czasu również w wymiarze społeczno-kulturowym [patrz ramka – red.].

Bałtycki „gamechanger"

Po tym, jak w grudniu 2021 r. Kreml przedstawił ultymatywne żądania (dotyczyły nie tylko Ukrainy, ale też Europy Środkowej i Północnej), a w lutym 2022 r. uderzył na Ukrainę, zarówno Finlandia, jak i Szwecja – wcześniej stawiające na doktrynę niezaangażowania w czasie pokoju i neutralności w razie wojny – przystąpiły do NATO (Finowie wyprzedzili tu Szwedów, których członkostwu początkowo sprzeciwiały się Węgry i Turcja).

Zmieniło to sytuację i na Bałtyku, i w całej Europie Północnej, ograniczając możliwości działania rosyjskiej floty, za to zwiększając możliwości obrony Estonii, Litwy i Łotwy. Na dodatek Szwecja wniosła do Sojuszu „niezatapialny lotniskowiec", czyli Gotlandię (strategiczne położenie tej wyspy doceniano już w średniowieczu), a także rozwinięty przemysł obronny. Jego „twarzą" jest koncern Saab, zaś markami rozpoznawczymi myśliwce Gripen i okręty podwodne (w listopadzie 2025 r. Polska zdecydowała się na zakup trzech z nich).

Z kolei Finlandia szybko dała się poznać jako kraj zdeterminowany, również w kwestii obrony granic. Dla wielu Finowie są dziś przykładem w sferze ochrony ludności i społecznej odporności, a także obrony totalnej, opartej m.in. na licznych rezerwistach. Niezbędnej w sytuacji, gdy kraj o powierzchni większej od Polski ma 5,5 mln mieszkańców i nieliczną stałą armię (25 tys. żołnierzy).

Próba cieni

Rosja poddała próbie nowy układ sił, stosując dywersje i prowokacje. Podejrzewa się ją o co najmniej 11 akcji sabotażowych, wymierzonych w infrastrukturę energetyczną i telekomunikacyjną na Bałtyku. Scenariusz wszystkich wydarzeń był podobny: statek z rosyjską załogą ciągnął po dnie kotwicę przez kilkadziesiąt kilometrów, zrywając np. kable energetyczne łączące Finlandię i Estonię (w październiku 2023 r. i grudniu 2024 r.).

Po 2022 r. problemem szlaków transportowych na Bałtyku stała się również tzw. flota cieni. Tworzą ją zdezelowane tankowce, często rejestrowane w „rajach" podatkowych, które przewożą rosyjską ropę, omijając sankcje. Są one też narzędziem dywersji, służą działaniom szpiegowskim i są zagrożeniem dla zwykłej żeglugi, jak też dla środowiska morskiego.

W odpowiedzi na to bałtyccy członkowie NATO stworzyli wspólną operację pod nazwą „Strażnik Bałtyku" (*Baltic Sentry*). Walka z morską dywersją jest trudna, bo prawo zabrania zatrzymania i inspekcji statku na wodach międzynarodowych. W tej sytuacji o powodzeniu decyduje szybkość i sprawczość. Pokazali to Finowie, zatrzymując w grudniu 2024 r. tankowiec „Eagle-S", który przerwał kabel energetyczny EstLink2.

Ośmioro zaangażowanych

„Flota cieni" nadal jest dużym problemem – i to nie tylko z powyższych powodów. Wiele wskazuje na to, że drony, które zakłócały prace lotnisk w Danii i Norwegii we wrześniu 2025 r., startowały z pokładów tych statków.

Jednocześnie rosyjskie okręty wojenne poczynają sobie coraz śmielej: na początku października 2025 r. duński wywiad informował, że rosyjska jednostka symulowała kolizję z duńskim okrętem, kierując w jego stronę swoje działa i wysyłając na Duńczyków helikoptery.

Skala wyzwań na Bałtyku jest więc ogromna. Tym bardziej pocieszający jest fakt, że sojusznicy Polski z tego regionu



MAREK ŁADZIŃSKI / FORUM

Rok 2024 przyniósł rekordowe wyniki dochodowe trzech głównych portów transportowych: Gdyni, Gdańska i kompleksu Szczecin–Świnoujście. Na zdjęciu: Statek Zhen Hua z gigantycznymi suwnicami na pokładzie do obsługi kontenerów wpływa do terminal Baltic Hub w Porcie Gdańskim.

wyróżniają się na tle całego NATO decyzyjnością i zaangażowaniem. Wszyscy są też w pierwszej dziesiątce państw wydających największy procent PKB na obronność. Polska, Litwa, Łotwa, Estonia i Norwegia zajmują tu pierwsze pięć miejsc, Dania jest na siódmej pozycji, a Finlandia i Szwecja na dziewiątej i dziesiątej.

Nadrabianie zaległości

Dla Polski to sytuacja nowa. Po 1945 r. żelazna kurtyna odcięła nas także od północnych sąsiadów. Z kolei po 1989 r. Warszawa traktowała kraje nordyckie po macoszemu, widząc w nich – w najlepszym razie – partnerów gospodarczych i handlowych.

Rok 2022 kazał szybko nadrobić tę zaległość. Trudno w tym miejscu streścić wszystkie działania dyplomatyczne, które zintensyfikowały relacje z krajami bałtyckimi i nordyckimi. Dość wskazać, że premier Tusk i minister Sikorski uznali współpracę z nimi za priorytet rządu, a „północny wymiar" wspierali również prezydent Duda i marszałek Hołownia. Dlatego Polska uczestniczy dziś w pracach Rady Państw Morza Bałtyckiego (1 lipca 2025 r. Warszawa objęła w niej roczną prezydencję).

Organizacja ta przeszła po 2022 r. wielką zmianę. Powstała 30 lat wcześniej i długo była na drugim planie, jako przestrzeń dla tzw. miękkiej dyplomacji (skupiała się na ekonomii i ekologii). Po tym, jak w maju 2022 r. Rosja została z niej usunięta, Rada zajmuje się głównie bezpieczeństwem regionu.

Ponadto Polska stale konsultuje swoje działania na unijnej arenie z grupą NB8. To format współpracy regionalnej, zrzeszający pięć państw nordyckich (Dania, Finlandia, Islandia, Norwegia, Szwecja) i trzy bałtyckie (Estonia, Litwa, Łotwa). Wcześniej takie konsultacje odbywaliśmy głównie z Grupą Wyszehradzką.

W listopadzie 2024 r. premier Tusk został zaproszony na szczyt NB8. Przy tej okazji podpisał umowę o polsko-szwedzkim strategicznym partnerstwie.

Gdzie Polska ma „tułów"?

W trakcie dyskusji „Bałtyk w polskiej myśli strategicznej", która odbyła się 3 grudnia 2024 r. w Akademii Marynarki Wojennej, gen. Rajmund Andrzejczak (były Szef Sztabu Generalnego) przywołał przedwojenne „Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom" autorstwa Tadeusza Kutrzeby i Stefana Mossora. W opracowaniu tym wskazywano, że „tułów" państwa polskiego to Wielkopolska i Śląsk. W języku wojskowych planistów pojęciem „tułów państwa" określa się obszary, których utrzymanie jest warunkiem jego funkcjonowania. Wówczas Wielkopolska stanowiła istotne zaplecze żywnościowe, a Śląsk energetyczne.

Andrzejczak podkreślał, że dziś wygląda to inaczej: na mapie Polski pojawiły się dwa punkty, nazywane „węzłem szczecińskim" i „węzłem trójmiejskim". Oba kluczowe dla polskiej energetyki i transportu – czyli dla rozwoju państwa w czasie pokoju, a w czasie wojny dla jego obrony i przetrwania.

Strategiczne Wybrzeże

To przesunięcie jest efektem inwestycji realizowanych od kilkunastu lat. Obecnie niemal cały import gazu i ropy odbywa się poprzez porty i podmorskie rurociągi. Kluczowe są tu terminal gazu skroplonego LNG w Świnoujściu (przyjął już ponad 400 dostaw) i gazociąg Baltic Pipe, łączący polskie Wybrzeże z Norwegią (przez Danię). Z kolei terminal naftowy w Gdańsku (Naftoport) jest istotny dla różnicowania źródeł dostaw ropy.

Znaczenie wybrzeża dla sektora energetycznego będzie rosło. Wynika to z planów budowy elektrowni atomowej w gminie Choczewo, kolejnego terminala LNG (w Zatoce Gdańskiej) i farm wiatrowych na Bałtyku.

Rok 2024 przyniósł zaś rekordowe wyniki trzech głównych portów transportowych: Gdyni, Gdańska i kompleksu Szczecin–Świnoujście. Ich łączny zysk netto wyniósł prawie 552 mln zł (wzrost o 26 proc. rok do roku). Natomiast w 2023 r. przychody do budżetu z portowego VAT-u, ceł i akcyzy osiągnęły ponad 9 mld złotych.

Jak uniknąć błędów

Dawne porzekadło głosiło, że morze łączy, a ląd dzieli. Wracamy do niego dziś, gdy okazuje się, że podobna ocena zagrożeń, którą dzielimy z bałtyckimi sąsiadami, jest ważniejsza niż bliskość językowa i historyczna z Europą Środkową. „Zwrot północny" w polskiej polityce nie powinien jednak oznaczać zupełnego odwrócenia się od tradycyjnych kierunków. Nie powinno się powtarzać starych błędów, gdy zafiksowanie się na nowych perspektywach każe zapomnieć o dorobku przeszłości.

W części polskiego środowiska eksperckiego „kierunek północny" budzi ↦

↦ już ogromny entuzjazm. Pojawiają się głosy, że pozwoli to Polsce zbudować nową podmiotową pozycję w Europie. Warto jednak pamiętać, że do tanga trzeba dwojga, a do poloneza całej grupy, podążającej jednym rytmem w tym samym kierunku. Snując podobne wizje, warto spojrzeć na nie także z perspektywy np. Sztokholmu.

Warto więc zastanowić się, czy bliskość, którą odkryliśmy, jest podobnie odczuwana po innych stronach Bałtyku. Obecna polityka jest realizowana w trybie awaryjnym, a na pierwszym miejscu stawia się palące kwestie militarne i infrastrukturalne. Dobrze by było, gdyby w ślad za nimi podążyła ofensywa w sferze dyplomacji publicznej i kulturalnej.

Ponadto: waga Polski nie musi oznaczać konieczności przewodzenia w nowej grupie. Państwa nordyckie i bałtyckie mają silne poczucie wspólnej tożsamości i doświadczenie współpracy opartej na kompromisie. Tymczasem w przeszłości bywało, że ustawianie się przez Polskę w pozycji lidera skazywało nasze projekty na porażkę.

Ster i dryf

Rozwój relacji z krajami bałtyckim i nordyckim to szansa na wzmocnienie bezpieczeństwa Polski i jej pozycji w Europie. Niestety, trudnym sprawdzianem dla naszych relacji z północnymi partnerami może okazać się dążenie USA do aneksji Grenlandii. Skandynawskie media odnotowały wypowiedź premiera Tuska, że Polska nie wyśle na arktyczną wyspę swoich wojsk – na szczęście na razie nie wzbudziła ona tam fali krytyki.

Ale istotna będzie tu również dynamika w polskiej polityce wewnętrznej. Dlatego warto wrócić do lekcji ze wspomnianego na początku serialu komediowego. Gdy Kiepscy zrozumieli swoje nowe położenie, szybko doszli do wniosku, że trzeba zmienić kapitana. Walka o mostek podzieliła załogę na kilka frakcji, każda ciągnęła ster w swoją stronę. Ich „statek" groźnie dryfował, a na koniec rozbił się o górę lodową.

Państwo nie może pozwolić sobie na podobny scenariusz.

© PIOTR OLEKSY, DAMIAN SZACAWA

NATO JEST W GŁĘBOKIM KRYZYSIE. USA, najważniejszy gwarant porządku zrodzonego po II wojnie światowej, traktuje półkulę zachodnią jako swoją strefę wpływów: nie chce dalej zapewniać bezpieczeństwa Europie ani wspierać Ukrainy w jej walce z Rosją.

JAK POWINNA ZACHOWAĆ SIĘ POLSKA? Wciąż stawiać na Stany Zjednoczone, wierząc, że w momencie próby wypełnią swe zobowiązania? Skupić się na zacieśnieniu współpracy z europejskimi członkami NATO? Grać na czas, budując alternatywną koalicję państw, które – jak my – czują się zagrożone przez Rosję Putina?

NA ŁAMACH „TYGODNIKA" publikujemy debatę o polskiej strategii bezpieczeństwa rozpoczętą artykułem Zbigniewa Parafianowicza, publicysty i autora książki „Polska na wojnie".

Ciąg dalszy cyklu w kolejnych numerach „Tygodnika". Wszyskie materiały dostępne są w serwisie TygodnikPowszechny.pl/debata-bezpieczenstwo

PIOTR OLEKSY *pracuje na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie. Stały współpracownik „TP".*

DAMIAN SZACAWA *pracuje na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz w Instytucie Europy Środkowej.*

Ludzie szybsi od polityki

Gdy idzie o polski „zwrot na północ", dynamika społeczna oraz kultura wyraźnie wyprzedziły dyplomację i inwestycje.

Analizując relacje Polski z państwami nordyckimi, zapominamy często o więziach społecznych, tworzonych przez liczną emigrację. W Norwegii, Szwecji, Danii i Islandii oficjalnie mieszka 310 tys. Polaków.

NOWA EMIGRACJA | Faktycznie jest ich więcej, bo ta liczba nie obejmuje pracujących sezonowo i „na czarno". Najliczniejsza grupa, 130 tys., żyje w Norwegii. Do tego grona trzeba doliczyć trudną do oszacowania grupę tych, którzy tam pracowali i wrócili do Polski.

To inna emigracja niż ta sprzed 1989 r. Liczne połączenia lotnicze i promowe, a także internet powodują, że Polacy z Oslo lub Sztokholmu utrzymują bliskie relacje z krajem. Wszystko to sprawia, że nordycka rzeczywistość jest dziś znana ogromnej liczbie Polaków w stopniu większym, niż ma to miejsce w przypadku krajów Europy Środkowej.

LITERACKI KOMPAS | Już w 2015 r. Przemysław Czapliński – ceniony literaturoznawca, goszczący na łamach „Tygodnika" – zauważył, że Północ odgrywa coraz większą rolę w wyobraźni Polaków. O ile do niedawna była ona rozpięta na osi Wschód–Zachód (co wynikało z ostatnich 300 lat), o tyle, analizując współczesną literaturę polską, Czapliński stwierdzał, że układ ten został „osłabiony, poluzowany i pozbawiony swojej wyłączności ponieważ wzbogaciła go oś Północ–Południe". Stawiał tezę, że Północ stała się dla Polaków innym Zachodem – bliższym i bardziej przystępnym, gdyż relacja z nim pozbawiona jest traum czy kompleksów.

Tę refleksję wzmacnia rosnąca popularność nordyckiej kultury w Polsce – od literatury, przez filmy i seriale, a także motywy wikingowskie, widoczne w brandingu i ruchach rekonstrukcyjnych, aż po popularne hasła lifestyle'owe, jak *hygge* czy *sissu*. © PO, DS

OLGA

Drenda: *Chłop brzuchomówcy*



„Ale ludzie mają teraz proste plecy”, napomknęła kiedyś moja babcia w jesieni swojego życia. Było w tej konstatacji pozytywne zdziwienie – tym, że rzeczywistość tak mocno zmieniła się na jej oczach, ale też tym, że okazało się, iż można zdjąć klątwę, wyeliminować coś, co w czasach jej młodości wydawało się przeznaczeniem nie do odwrócenia, wyrokiem losu. Babcia dorastała w czasach, gdy tyle posępnym, co powszechnym zjawiskiem była gruźlica, krzywica, polio: choroby, których konsekwencje budziły strach, bo zabierały sprawność w realiach, w których wszyscy musieli dzielić to samo trudne życie.

Babcia, jako osoba o silnym poczuciu rzeczywistości, nie wspominała bezkrytycznie „starych, dobrych czasów”, a pod pewnymi względami cieszyła się, że już minęły. Podobnie wyrażali się zresztą ludzie, których głosy miałam okazję usłyszeć w teatralnym słuchowisku „Dziady” Nihila i Gaca, opartym na opowieściach napotkanych ludzi, zebrane w latach 70. przez aktorów teatru Gardzienice. Oczywiście, nostalgia bywa słodko-gorzka, ale relacje ludzi urodzonych na początku XX wieku miały wspólny mianownik – ulgę i satysfakcję, że coś się zmieniło w stosunku do świata, który sami znali z przeszłości. Swoim potomkom przekazywali życzenie-błogosławieństwo: „teraz żyjemy już lepiej”.

Jerzy Jedlicki pisał kiedyś w niedocenionej, a przydatnej dzisiaj książce „Świat zwyrodniały”, że piętno fatalizmu, może wrodzony pesymizm i poczucie istnienia w najgorszych czasach, wręcz pogarda dla obecnego życia, to element zachodniej myśli nowoczesnej, który jest w nią niejako wbudowany. Nie da się go do końca wyeliminować, nawet bywa pożyteczny, bo stosowany z umiarem skłania do zastanawiania się nad sobą, a może i poprawy. Malowniczość i być może nawet przyjemność tego osobliwego samobiczowania na ogół jednak więcej zdradza o upojonych swym kaznodziejstwem gardzących, niż przedstawia trzeźwy osąd. Przede wszystkim zaś pokazuje zawsze obraz może i w dobrej wierze, ale wypaczony.

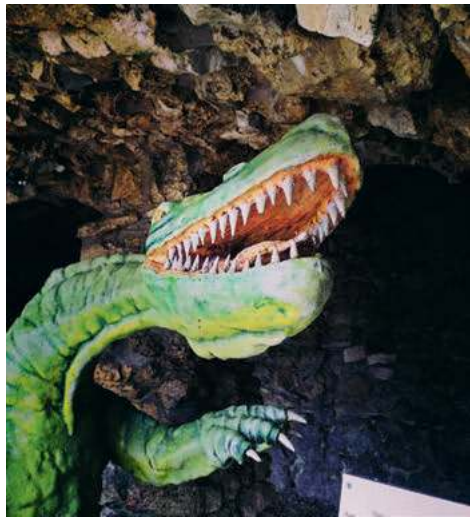

OLGA DRENDA

Warto być wdzięcznym za uzębienie

Warto przykładać tę miarę do dzisiejszych często spotykanych sądów o świecie. Jeremiada to bowiem lubiana dzisiaj rozrywka. Obserwuję czasami, że popularność badań przeszłości i zainteresowanie dziejami „ludowymi” w ostatnich latach przyniosły tendencję zupełnie jakby wyjętą z książki Jedlickiego – założenie, że wszyscy ludzie XIX czy XX wieku jakby z założenia powstali z lepszej gliny niż dzisiejsza. Figura dawnego chłopa polskiego służy do tego, by współczesnego Polaka rugać. Jest używany przez innych współczesnych Polaków (naturalnie tych „lepszych”) jako lalka brzuchomówcy. Zgodnie z taką perspektywą nasz praszczur, oczywiście nigdy o to nie zapytany, na pewno przewraca się w grobie, widząc dzisiejszą młodzież ze smartfonami, gry komputerowe, sztuczne paznokcie, psychoterapię czy cokolwiek, co ktoś chce uznać za kwintesencję próżności, nieróbstwa i mazgajstwa.

Kto żył w niewygodzie, na pewno wygodą się brzydził i nigdy o niej sam nie marzył – tak można podsumować krótko założenia tej argumentacji. Myślę sobie wtedy, że nie ma lepszego losu niż bycie anonimowym człowiekiem z fotografii sprzed stu, stu pięćdziesięciu lat. Oznacza to bowiem najbardziej wspaniałomyślne rozgrzeszenie. Wystarczy, że ktoś zarejestrował kiedyś naszą pozbawioną didaskaliów twarz i oto sto lat później w oczach potomnych stajemy się symbolami szlachetności, wytrwałości i godnego życia. Nawet człowiek o najbardziej paskudnym życiorysie może ulec w ten sposób przeanieleniu.

Zamiast jednak przeobrażać zwyczajnych ludzi w półbogów, lepiej zastanowić się, co sami mieliby do powiedzenia. Oczywiście jedynie jako ćwiczenie z wyobraźni, a dla nas samych antidotum na pokusę grzmienia ze świeckiej ambony. Co mamy takiego, co z chęcią przywitałby ten człowiek z fotografii sprzed stu lat? Czego by nam pogratulował i z czego by się ucieszył? Może z tego, że dzisiaj mamy zazwyczaj kompletne uzębienie i że zapalenie wyrostka robaczkowego, jeszcze nie tak dawno wielki zabójca, dzisiaj jest uleczalne? Może przecierałby oczy ze zdumienia, że mamy więcej niż jedną parę butów i że kurę jada się nie tylko od święta? A może najbardziej spodobałby mu się, o zgrozo, smartfon i zajadanie parówek? Kto wie, może nawet sojowych? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

ROZMOWA

DOBRY WIECZÓR, POLSKO

MARCIN URBANOWICZ, FOTOGRAF:

Dostaję wiadomości, że ktoś mieszka od lat za granicą, a gdy ogląda moje zdjęcia, marzy mu się, by wrócić.

ANNA GOC: Na ostatnich zdjęciach jest cmentarz w Lisowie, kilka grobów i stojak, na którym ktoś zawiesił plastikowe butelki do podlewania kwiatów, jak woreczki z kroplówką. Albo dom w Jeżewie Nowym z zaśnieżonym progiem, pootwieranymi drewnianymi okiennicami i opartymi o werandę oponami. Dlaczego skierowałeś obiektyw aparatu właśnie tam?

MARCIN URBANOWICZ: W pandemii szukałem miejsc, gdzie mógłbym chodzić z córką na długie spacery. Mieszkaliśmy w Legionowie pod Warszawą, więc jeździliśmy nad Jezioro Zegrzyńskie, gdzie po raz pierwszy mogłem jej pokazać sarny, lisy, a nawet łosia.

Zatrzymywaliśmy się też po drodze w mniejszych miejscowościach – w Wieliszewie, Zegrzu, Płońsku. Wysiadaliśmy z samochodu i spacerowaliśmy. Wtedy zacząłem zauważać prowincję.

Jaką?

Taką, która wymyka się schematom. Miejsca, które wyglądają jakby zatrzymały się w czasie. I właśnie tym nas zaskakują, bo przypominają te, które zapamiętaliśmy z dzieciństwa.

W 2020 r. przeprowadziliśmy się na Śląsk, w rodzinne strony mojej żony. Znów zacząłem jeździć po okolicy. Tym razem sam i znacznie dalej. „Co pan fotografujesz ten dziurawy płot?" – zapytał ktoś czasem. „Po co panu ta zniszczona huśtawka?".

Co odpowiadałeś?

Że chciałbym te miejsca zachować, bo jeśli wrócę tu za pół roku, ani tego płotu, ani tej huśtawki już nie będzie. Poza tym miałem poczucie, że nadaję drugie życie rzeczom pomijanym.

Pod jednym ze zdjęć ktoś skomentował, że utrwalam stereotyp polskiej wsi. Zdziwiło mnie to, bo przecież nie jeżdżę do małych miejscowości, by je obśmiewać w zdjęciach, nawet jeśli czasem znajduję tam tzw. śmieszności. Mam do tych miejsc mnóstwo ciepłych uczuć, a rzeczywistość, którą pokazuję, jest wielowymiarowa – jest i wesoło, i smutno, jak w życiu.

Jak mieszkańcy przyjmują nieznajomego z aparatem?

Przez pierwsze lata skutecznie unikałem ludzi. Wybierałem kolejne miejscowości, sprawdzałem godzinę wschodu słońca i wyjeżdżałem z domu, gdy było jeszcze ciemno, by być na miejscu o świcie. Najczęściej jeździłem w niedziele. Mieszkańcy pojawiali się dopiero wraz z pierwszymi mszami w kościele, więc przez większość czasu moja obecność nie kłuła w oczy.

Byłem w około siedmiuset miejscowościach – wsiach i miasteczkach kilkutysięcznych. Są miejsca, z których nie przywiozłem ani jednego zdjęcia, w innych robiłem ujęcia co kilkadziesiąt kroków.

„To mnie określa. Patrzę na te zdjęcia i czuję, że to ja. Moja tożsamość" – napisał Ziemowit Szczerek we wstępie do Twojej książki „Dzień dobry, Polsko", w której zebrałeś zdjęcia z podróży. I dalej: „Mogę patrzeć na te zdjęcia bez końca", i jeszcze: „Mój boże, powinniśmy sobie wszyscy takie ogrodzenia tatuować na plecach, tak bardzo są polskie". Coś w nas tymi zdjęciami chyba uruchomiłeś.

Jestem z pokolenia milenialsów, wychowywaliśmy się na podwórku bez telefonów komórkowych. Pamiętamy polską zimę, zapach dymu z kominów, światła z okien domów.

Nocna fotografia, którą zacząłem robić, wywołuje nostalgię za dzieciństwem. Za wieczorem na polskiej prowincji i nie tylko. Te fotografie niosą wartości, z którymi utożsamiają się również osoby z dużych miast. Dostaję wiadomości, że ktoś mieszka od lat za granicą, a gdy ogląda moje zdjęcia, marzy mu się, by wrócić do Polski. Taką ją pamięta. I za taką tęskni.

Choć tych miejsc, które naprawdę pamiętamy z dzieciństwa, już przecież prawie nie ma.





Fotografie **MARCIN URBANOWICZ**
Pludry, 2025 r.
Poniżej: Schodnia, 2025 r.

Cały cykl zdjęć poświęciłeś sieci sklepów Dino – pokazując także to, jak polska wieś się zmienia.

W niemal każdym miasteczku są co najmniej trzy nowe miejsca: Dino, Żabka i paczkomat. A tam, gdzie były nasze podwórka – parkingi.

Byłem ostatnio w miejscowości Kruszyna pod Częstochową, w której już kiedyś robiłem zdjęcia. W miejscu, gdzie była stara kwiaciarnia, zupełnie niepasująca do współczesności, stoi Biedronka.

Obserwujesz, jak sieci sklepów i dyskonty zmieniają społeczność?

Trudno mi powiedzieć, bo moje mikropodróże odbywam zwykle w niedziele, które nie są dniem handlowym. Ale jeśli tylko mogę, zawsze wchodzę do lokalnych sklepów, bo one są jak muzea. Jeśli jeszcze gdzieś zatrzymał się czas, to tam.

Miałem nawet pomysł na fotoreportaż z małych sklepów, ale panie, które tam pracują, zwykle nie zgadzały się na zdjęcia. Fotoreporter nie może zanonimizować bohatera jak reporter, zabiera jego wizerunek na zdjęciu.

Jednak ostatnio publikujesz także portrety, czasami z krótką wypowiedzią. „Na próbę idę, my z dziewczynami tworzymy Tykocińską Kapelę Trójki i gramy przy okazji lokalnych wydarzeń (...) w samochodzie mam taką, co cały czas dla mnie tańczy – pokażę panu" – mówi jeden z Twoich bohaterów, 84-letni mieszkaniec Tykocina.

Wybieram ludzi, którzy mnie czymś przyciągnęli. Nie robię jednak portretu socjologicznego mieszkańców prowincji. Interesuje mnie człowiek, który w jakiś sposób nie pasuje do współczesności i ta „osobność" mnie pociąga.

W ubiegłym roku jechałem robić zdjęcia ślubne pod Toruniem. Wyjechałem jak zawsze wcześniej, żeby mieć czas na zatrzymanie się w kilku miejscowościach po drodze. Zobaczyłem starszego pana, który siedział na ławeczce i wygrzewał się w słońcu. Zaparkowałem w zatoczce, podszedłem do niego: – Ale panu zazdroszczę! – zacząłem. – Czego? – zapytał. Błaha zaczepka zmieniła się w prawie godzinną rozmowę o jego życiu – o śmierci żony i o rodzinie, która mieszka daleko. ↦

↦ Wtedy pomyślałem, że chciałbym zrobić cykl o samotności mężczyzn na prowincji.

Zaskoczyła Cię ta sytuacja?

Niby wiemy, że jest coraz więcej osób samotnych. Niby mamy dane demograficzne, które to potwierdzają. Jednak dopiero te kilka rozmów, niezaplanowanych, ale przez to szczerych i mocnych, uświadomiło mi, jak poważny to problem.

Jak to jest, mieć 65 lat i być zupełnie samemu na świecie? Statystyki pokazują, że kobiety częściej wyjeżdżają do większych miast, kształcą się, mężczyźni zostają na wsiach. Coraz więcej jest też młodych samotnych, ale z nimi – takie mam doświadczenia – rozmawia się dużo trudniej niż ze starszymi. Niełatwo się mówi o trudnych rzeczach, zwłaszcza przy zupełnie obcej osobie.

Mężczyzna, który siedział w słońcu na ławeczce, wypłakał się obcemu chłopu. Ciężka to była rozmowa, ale po niej przyszła ulga. Powiedział, że prawdopodobnie uratowałem mu życie.

Zobacz, do tej pory głos mi się załamuje, gdy o tym opowiadam.

Spotkaliście się jeszcze kiedyś?

Nie, podziękował mi, że znalazłem dla niego czas, a potem odprowadził do samochodu.

Innym razem spotkałem na ulicy starszych państwa, oboje po osiemdziesiątce. Szli, trzymając się za ręce. Okazało się, że wracali ze mszy z okazji sześćdziesięciolecia ich małżeństwa. Odprowadziłem ich do małego, starego samochodu. Było w tym coś wyjątkowego. Spędzili ze sobą całe życie i było im ze sobą wciąż dobrze. Nie mogłem do nich nie podejść.

Zapytałeś, czy możesz im zrobić zdjęcie?

Tak, po pięciu minutach rozmowy dali mi adres, zapisali numer telefonu. Nie czuję się jednak komfortowo z tym, że ludzie potrafią mi tak zaufać. Odpowiadam, że chciałbym im tylko zrobić zdjęcie, tu, na ulicy, i – jeśli to możliwe – zapisać kilka słów z naszej rozmowy.

Zgodzili się?

Oczywiście, zrobiłem zdjęcie i powiedziałem, że odbitkę w ramce przywiozę i to będzie mój prezent na ich rocznicę. Gdy przyjechałem ze zdjęciem, zostałem zaproszony na obiad. Potem jeszcze kilka razy byłem u nich na kawie. Chciałbym mieć czas, by opowiedzieć o tej miłości, boję się tylko, żeby nie było za późno. Ciągle mam to z tyłu głowy.

W ubiegłym roku zrobiłem ponad 150 portretów. Jednak bardzo wiele osób, z którymi rozmawiam, jest pozamykana. Ciężko ich namówić na zdjęcie.

Więc jak to robisz?

Czasem może powiem, że ktoś ma ładnego wąsa.

O!

Ale nie wkupiam się w łaski! Nie ciągnę za język. Zdjęciem i tak naruszam ich strefę intymności. Porywam wizerunek. Dlatego nigdy nie wychodzę z inicjatywą, żeby mi coś o swoim życiu opowiedzieli. Jeśli się podzielą, jestem im za to wdzięczny.

Czasami mówię też, że fotografia jest dobra do tego, żeby ludzi zapamiętać. Chciałbym w dalekiej przyszłości stworzyć książkę z portretami – Polacy lat 20. XXI wieku, by bohaterowie moich zdjęć zostali na dłużej w pamięci, a nie tylko mignęli na jednym czy drugim profilu w social mediach.



ARCHIWUM PRYWATNE

MARCIN URBANOWICZ jest fotografem z Lublińca. Z wyróżnieniem ukończył szkołę fotograficzną Fotoedukacja w Katowicach, a następnie Fotografię prasową, reklamową i wydawniczą na UW. Z zawodu grafik i fotograf ślubny, z pasji dokumentalista. Jego fotografie zdobyły ponad 60 nagród na polskich i zagranicznych konkursach, m.in.: International Photography Awards, Grand Press Photo, Leica Street Photo czy Śląska Fotografia Prasowa. W 2024 r. ukazała się jego pierwsza książka fotograficzna „Dzień dobry, Polsko". Prowadzi profil na Instagramie prowincjonalny_fotograf.

Pytają o publikację?

Zawsze gram w otwarte karty – przedstawiam się z imienia i nazwiska, mówię, skąd jestem i że prowadzę profil na Instagramie. Powtarzam, że portretuję ludzi w dobrej wierze, nigdy w złym kontekście.

Jeśli mam kontakt z osobami, które zgodziły się na portret i mieszkają w pobliżu, wracam z odbitkami. W Lublińcu, gdzie teraz mieszkam, prawie codziennie widuję pana Zdzisława, który ma długie, siwe włosy. Zrobiłem mu jeden z pierwszych portretów i nie był to dobry portret. Wręczyłem mu go, ale za każdym razem, gdy go spotykam, myślę, że musimy zrobić kolejny, bo pan Zdzisław zasługuje na zdecydowanie lepszą fotografię.

Czego się dowiedziałeś o nas – o Polsce i Polakach – fotografując śluby?

Robię reportaże ślubne, bez ustawek i reżyserowania. Dowiedziałem się więc sporo, o specyficznej i wąskiej grupie ludzi – takich, którzy nie oczekują zdjęć ze ślubu idealizujących ten dzień.

A jakich?

Prawdziwych. – Mylcie się, gubcie się, pozwólcie sobie na „niewiedzenie", a ja to sfotografuję – mówię tym, którzy zamawiają mnie jako fotografa. Utrwalę ten dzień i pokażę, jaki on był. I znów – czasem będzie zabawnie, czasem smutno albo emocjonująco.

W momentach, kiedy obiektyw powinien być w tym miejscu, gdzie wszyscy by go oczekiwali, często odwracam go w inną stronę. Gdy młody pan zapina muchę, robię zdjęcie babci, która w tym czasie w kuchni je zupę. Złapanie tego momentu z tej perspektywy jest dla mnie tysiąc razy ważniejsze. Później z tych małych historii tworzę cały reportaż.

Gdy przychodzę do pary na przygotowania i widzę, że on gra na konsoli albo biega w gaciach, a ona otwiera drzwi makijażystce, to już wiem, że będę miał historię. Nie przychodzę na gotowe – gdy ludzie są już ładnie ubrani, uczesani i gotowi do wyjścia, a dom wysprzątany. Im więcej codzienności w tym niecodziennym dniu, tym lepiej.





Andrzej z Lublińca, 2025 r.
Marta i Krzysztof, Łódź 2024 r.

Są zadowoleni?

W ważnych momentach życia, przejścia, ludzie nie zawsze potrafią być sobą. Moim zadaniem jest pozwolić, by ta prawdziwość sama przyszła, nie wymuszać jej i nie wywierać presji.

Wesela się zmieniają?

Coraz mniej mamy „zabaw weselnych", więc chyba jednak nie uda mi się sfotografować pończochy na męskiej twarzy zakładanej w rytmie disco polo. Coraz więcej za to przyjęć: goście siedzą przy stołach i rozmawiają, mniej tańczą. Trudniej zrobić „efektowne" zdjęcie, kiedy z pozoru nic się nie dzieje. Myślę jednak, że to dobrze, bo od tych wszystkich „atrakcji" ważniejsze są relacje międzyludzkie i prosta rozmowa.

Często proszę pary, by wybrały kilka zdjęć, które są ich zdaniem najlepsze. Zazwyczaj są to zabawne klatki, ujęcia wieloplanowe, takie, gdzie się dużo jednocześnie działo. Jednak raz w top pięciu zdjęć dostałem prosty portret pana, który siedzi przy stoliku, jest wpatrzony w parkiet i lekko się uśmiecha.

Dobra, powiedziałem tamtej parze – to zdjęcie rozumiem, to i to też. Ale ten uśmiechnięty pan? A oni na to, że to zdjęcie ich bardzo wzruszyło, bo to jest wujek, który nigdy się nie uśmiecha. I mimo że był najbliższą rodziną panny młodej, ona nigdy nie widziała jego uśmiechu. To są niezwykłe bonusy, o których podczas fotografowania nie mam pojęcia.

A gdybyś miał wybrać najlepsze zdjęcia ze swojego życia, na których Ty jesteś?

Na pewno byłoby to zdjęcie z porodówki, gdy urodziła się moja córka, a ja trzymam ją zawiniętą w kocyk i mam łzy w oczach. I widzisz, do tej pory mnie ten moment wzrusza.

W podstawówce zacząłem zbierać pocztówki i do drugiej klasy liceum uzbierałem niezłą kolekcję, ze dwa kartonowe pudła. Pojechaliśmy z rodzicami w Bieszczady i tam były widoki, które mnie zachwyciły. Zapamiętałem wspaniałe widokówki z Tarnicy, Połoniny Caryńskiej, Wetlińskiej. Pomyślałem wtedy, że zbieram widokówki, a tak naprawdę mógłbym sam je robić.

Tak się zaczęło?

Najpierw musiałem jeszcze sprzedać gitarę, żeby mieć pieniądze na pierwszy aparat. Za tydzień minie równe 20 lat, odkąd go kupiłem – to był Kodak C330, małpeczka cyfrowa, cztery megapiksele i tylko automatyczny tryb.

Wsiadałem na rower i jeździłem z nim za miasto. I chyba już wtedy szukałem miejsc, które chciałem sfotografować. Po pierwszych kilku wyjazdach poczułem, że totalnie przepadłem. Takie prawdziwe zakochanie, podobne do tego, gdy zakochujesz się w dziewczynie. Przychodzi niespodziewanie, jest niespodzianką, nie wiedziałeś, że może aż tak kopnąć. A po jakimś czasie zdajesz sobie sprawę, że nie możesz już bez tego żyć.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

ZIMNO W CENIE

Zapowiadany kompromis w sprawie obecności wojsk USA na Grenlandii nie zakończył emocji wokół wyspy. Gdy nie wiadomo, o co chodzi, często chodzi o pieniądze. Tropy prowadzą do sponsorów kampanii Trumpa i jego rodziny.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Dziś wygląda to jak ironia. Grenlandia – miejsce, które może zaważyć o przyszłości relacji między Stanami Zjednoczonymi a Europą – nie pojawiła się ani razu w opublikowanej zaledwie trzy miesiące temu Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA. Także Arktyka traktowana jest w tym dokumencie po macoszemu. Choć przecież miał on wskazywać zagrożenia dla USA na najbliższe lata.

Jeśli dodać do tego, że już od 1951 r. Dania udziela wojskom USA nieograniczonego dostępu do Grenlandii, narracja Trumpa, że musi mieć na własność największą wyspę świata ze względu na bezpieczeństwo USA, nabiera charakteru dekoracyjnego.

KURS NA ZWARCIE | Równie dęty jest argument, że jeśli USA nie zajmą Grenlandii, zrobią to Rosjanie lub Chińczycy. Ani Trump, ani nikt z jego administracji nie przedstawił żadnego dowodu, że armie tych państw choćby zbliżyły się do wyspy.

Gdy zaś idzie o cały region arktyczny, aktywność Chińczyków w zasadzie nie wykracza poza to, co robią wszędzie na świecie, czyli poza zarabianie pieniędzy.



CARSTEN SNEJBJERG / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Infrastruktura komunikacyjna w Narsarsuaq, osadzie będącej bramą do południowej Grenlandii, gdzie znajdują się rezerwy pierwiastków ziem rzadkich. Maj 2025 r.

Ich zainteresowanie Północnym Szlakiem Morskim nie jest fanaberią – Chiny są uzależnione od handlu z Europą i byłaby to dla nich trasa najkrótsza i najtańsza. Z kolei rosyjskie siły arktyczne, mimo prób ich odbudowy, są w dużej mierze przestarzałe.

„Poprzedni prezydenci amerykańscy wiedzieli, że USA i NATO mają wyraźną przewagę w Arktyce, a przewidywania rosyjskiej agresji były głównie konstrukcjami teoretyków i politycznych grup interesu" – pisali w „Foreign Policy" we wrześniu 2020 r. prof. Robert D. English (były analityk Departamentu Obrony) i Morgan G. Gardner (z King's College).

Wtedy nikomu nie przyszłoby do głowy, że pewnego dnia Trump, pragnąc anektować Grenlandię, pójdzie na zwarcie z sojusznikami z NATO i sam podkopie strategiczną przewagę Zachodu.

Dlaczego Trump to zrobił? Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. Również w tym przypadku stare powiedzenie może być wskazówką co do możliwych pobudek, którymi kieruje się prezydent USA. Zwłaszcza że tropy prowadzą do hojnych sponsorów jego kampanii i do członków jego rodziny.

ROZMOWA Z INWESTOREM | Donald Trump i Ronald Lauder znają się od ponad 40 lat. W tamtym czasie Trump był wschodzącą gwiazdą nowojorskiego rynku nieruchomości, a Lauder, dziedzic fortuny Estée Lauder, aktywnym inwestorem.

John Bolton – doradca ds. bezpieczeństwa za pierwszej kadencji Trumpa, a dziś jego krytyk – ujawnił, że to właśnie Lauder w 2018 r. podsunął Trumpowi pomysł kupna Grenlandii.

Lauder już wcześniej tam inwestował. Duński dziennik „Politiken" opisuje, że ma on udziały w firmie zajmującej się rozlewem grenlandzkiej wody (chce sprzedawać ją jako towar luksusowy), a także zaangażował się – przez konsorcjum inwestycyjne – w projekt budowy hydroelektrowni na największym grenlandzkim jeziorze.

Lauder inwestował także w Trumpa. W 2024 r. przekazał 5 mln dolarów na MAGA Inc., komitet wspierający jego kampanię wyborczą.

W wywiadzie dla brytyjskiego „Guardiana" Bolton przyznał, że wkrótce po rozmowie Trumpa i Laudera z 2018 r. w Białym Domu rozpoczęto analizy, jak zwiększyć wpływy USA w Arktyce. Bolton dodaje, że sposób działania prezydenta sprzyja wywieraniu na niego wpływu przez takich ludzi jak Lauder. „Strzępy informacji, które Trump słyszy od znajomych, bierze za prawdę i nie da się już zmienić jego zdania" – dowodził Bolton.

Z czasem pomysł kupienia Grenlandii przestał być jednorazowym impulsem. Zwłaszcza że sponsorów Trumpa, którzy są zainteresowani bogactwami tej wyspy, jest więcej.

KUSZĄCE SUROWCE | KoBold Metals to firma, która specjalizuje się w poszukiwaniu złóż naturalnych. Na Grenlandii jest czego szukać. Może tam występować 25 z 34 minerałów uznanych przez Komisję Europejską za krytyczne (łącznie 1,5 mln ton), a także złoża ropy (szacowane na 15-20 mld baryłek) i gazu (szacowane na 4-6 bln metrów sześciennych).

To jednak dane z ocen geologicznych. Co oznacza, że te zasoby przynajmniej na razie są hipotetyczne.

Zyski z tych hipotetycznych zasobów okazały się jednak na tyle kuszące, że w KoBold zainwestowały fundusze powiązane z czołowymi postaciami Doliny Krzemowej, jak Sam Altman, Mark Zuckerberg, Jeff Bezos i Marc Andreessen. Darowizny, które przekazali na ceremonię inauguracji Trumpa w styczniu 2025 r., wynosiły co najmniej 6 mln dolarów.

W 2021 r. firma KoBold objęła 51 proc. udziałów w projekcie eksploracyjnym w regionie Disko-Nuussuaq na zachodniej Grenlandii. Mogą tam być ropa, gaz, nikiel, miedź i kobalt. Firma ma też odrębną licencję na poszukiwanie złóż na wyspie Disko (możliwe ropa i gaz).

MAGICZNE ZŁOŻE | W tym roku inwestycje na Grenlandii – w Tanbreez na południu wyspy, gdzie zlokalizowano metale ziem rzadkich – planuje też Critical Metals Corp. W spółkę tę zainwestował zaś fundusz Cantor Fitzgerald, którym do lutego 2025 r. zarządzał Howard Lutnick. Zrezygnował z tej posady, gdy objął stanowisko sekretarza (ministra) handlu w rządzie Trumpa.

Trzy miesiące później amerykański Bank Eksportu i Importu wydał list intencyjny, w którym zadeklarował gotowość ↦



↦ rozważenia pożyczki na 120 mln dolarów dla Critical Metals Corp. na sfinansowanie kopalni Tanbreez (jej łączny koszt szacowany jest na 290 mln). Jeśli wniosek zostanie zatwierdzony, będzie to pierwsza zagraniczna inwestycja górnicza administracji Trumpa.

W Tanbreez są potwierdzone złoża metali ziem rzadkich, głównie neodymu i prazeodymu (wykorzystywane do produkcji magnesów trwałych, bez których nie działa większość technologii) oraz cyrkonu i niobu (energetyka jądrowa, przemysł chemiczny, lotniczy i kosmiczny).

Jednak na drodze do tych wszystkich hipotetycznych skarbów stoją władze Grenlandii. Od 2021 r. nie wydają nowych licencji na wydobycie ropy i gazu, bo uznały, że to za bardzo niszczy przyrodę.

W przypadku metali ziem rzadkich sytuacja jest bardziej skomplikowana. Wprawdzie zakazano jedynie wydobycia uranu, ale metale ziem rzadkich często z nim współwystępują. To sprawia, że potencjał zysków z surowców wyspy jest mglisty.

WIZJE „PO DEMOKRACJI” | Ambitne plany technooligarchów idą dalej – i dotyczą nie tylko zdobycia dostępu do grenlandzkich surowców.

W kręgach amerykańskich libertarian – ludzi, dla których świętością jest nieskrępowany rynek, a rządowe ograniczenia traktują z pogardą – Grenlandia od lat funkcjonuje jako potencjalna przestrzeń dla eksperymentów ustrojowych. Nie widzą jej jako państwa czy kolonii, lecz terytorium do testowania, jak miałby wyglądać świat „po demokracji”.

Około 2020 r. wśród ludzi z otoczenia Trumpa pojawił się pomysł ustanawiania specjalnych stref autonomicznych, określanych roboczo jako „miasta wolności”. Agencja Reuters twierdzi, że ta idea była omawiana przez osoby z administracji, w tym Kena Howery’ego (dziś ambasadora w Danii), a także przez Petera Thiela, miliardera i współzałożyciela serwisu PayPal, sympatyzującego ze skrajną prawicą (więcej o nim napiszemy w jednym z najbliższych numerów „TP”). Przed drugą kadencją Trump wpisał „miasta wolności” do swojego programu wyborczego.

Thiel, współzałożyciel także Palantir Technologies (firmy zajmującej się analizą danych na potrzeby inwigilacji zlecanej przez rządowe agencje i wojsko), był jednym z pierwszych bogaczy z Doliny Krzemowej, którzy poparli Trumpa. W 2016 r. wsparł jego kampanię, a później był patronem politycznej kariery J.D. Vance’a, rekomendując go na stanowisko wiceprezydenta.

TAJEMNICZY PROJEKT | Thiel od dawna publicznie wyraża pogląd, że „wolności nie da się pogodzić z demokracją”, a ratunkiem jest ucieczka z tradycyjnych państw. Stąd jego fascynacje quasi-państwami, których nie ograniczają niemal żadne prawa.

Ogromna i słabo zaludniona Grenlandia idealnie wpisuje się w tę wizję. W ostatnich latach publicznie popierali ją związani z Doliną Krzemową inwestorzy Marc Andreessen i Joe Lonsdale (były pracownik PayPal, jeden z fundatorów Palantira), a także Patri Friedman, wnuk Miltona Friedmana, finansujący „miasta wolności” na świecie.

W wizjach libertarian arktyczna wyspa miałaby stać się laboratorium dla sztucznej inteligencji, autonomicznych pojazdów, mikroreaktorów jądrowych i infrastruktury cyfrowej, działającej poza – jak to ujmują – „krępującą biurokracją” państw narodowych.

W tym kontekście dwa lata temu głośno było o projekcie spółki Praxis, finansowanej m.in. przez Thiela, Andreessena i Altmana, która zebrała deklaracje inwestycji na pół miliarda dolarów. Jej prezes Dryden Brown dwa lata temu przyjechał do Nuuk, stolicy Grenlandii, z pomysłem założenia tam wolnego miasta-państwa.

Reakcja Danii i Grenlandii była jednoznaczna: stanowczo odrzuciły pomysł. Brown przyznał później, że jego propozycję uznano za protekcjonalną. Projekt nie ruszył, ale smród pozostał.

RADIATOR | Kolejnym powodem, dla którego inwestorzy z branży Big Tech interesują się Grenlandią, jest jej klimat. Wyspa jest dla nich kusząca, bo ponad połowę kosztów eksploatacji wielkich centrów przetwarzania danych pochłaniają rachunki za energię, głównie na chłodzenie.

W Arktyce takie koszty byłyby znacznie niższe. Stąd w najróżniejszych amerykańskich analizach Grenlandia od lat pojawia się jako naturalny „radiator”, który odprowadza nadmiar ciepła z układów elektronicznych.

Dlatego równie cennym zasobem wyspy jest energia. Liam Wright, redaktor naczelny portalu CryptoSlate, wyliczył, że grenlandzkie elektrownie wodne i farmy wiatrowe mogłyby zasilić całą światową sieć Bitcoina. Ich potencjał przekracza obecne zapotrzebowanie energetyczne „koparek kryptowalut” co najmniej siedmiokrotnie.

Kapitał powiązany z rodziną Trumpa sonduje już ten sektor. Firma Hut 8, jedno

Kto inwestuje na Grenlandii

RONALD LAUDER – spadkobierca fortuny koncernu kosmetycznego Estée Lauder. Jego majątek szacowany jest na 4,7 mld dolarów. Członek konsorcjum budującego na Grenlandii największą hydroelektrownię. Zainwestował też w firmę butelkującą grenlandzką wodę.

HOWARD LUTNICK – sekretarz handlu w rządzie Trumpa, były prezes grupy kapitałowej Cantor Fitzgerald, która inwestuje w firmę górniczą Critical Metals Corp. W połowie stycznia spółka ogłosiła, że we współpracy z Arabią Saudyjską zbuduje zakład przetwarzający metale ziem rzadkich z kopalni Tanbreez na Grenlandii (na potrzeby m.in. zbrojeniówki w USA).

JEFF BEZOS, BILL GATES, MICHAEL BLOOMBERG, SAM ALTMAN – miliarderzy, którzy zainwestowali w KoBold Metals. To spółka, która za pomocą analizy big data i sztucznej inteligencji szuka surowców. Poza Grenlandią inwestuje m.in. w Zambii i Demokratycznej Republice Konga.

PETER THIEL – pomysłodawca PayPal i Palantir Technologies (firma zarabia głównie na kontraktach dla armii i służb bezpieczeństwa). W 2021 r. zainwestował w startup Praxis, który chciałby stworzyć na Grenlandii „zaawansowane technologicznie miasto wolności”.

z największych przedsiębiorstw „kopiących" kryptowaluty, nawiązała współpracę z American Bitcoin, spółką założoną przez Erica i Donalda Jr. Trumpów, synów prezydenta. Liam Wright twierdzi, że Hut 8, która zarządza potężną infrastrukturą, mogłaby zostać przeniesiona – w całości lub częściowo – na Grenlandię.

To hipoteza Wrighta, publicznie o takich planach nie było dotąd mowy. Do tego wyspa nie ma krajowej sieci energetycznej i „kopanie" tu kryptowalut oznaczałoby konieczność ogromnych inwestycji.

Przejście Grenlandii pod jurysdykcję USA pozwoliłoby na traktowanie jej jako zunifikowanej amerykańskiej „strefy rozbudowy energetycznej". To zmieniłoby warunki inwestowania i umożliwiło wykorzystanie dotacji od rządu USA.

DWIE PRZESZKODY | Najpotężniejszą przeszkodą dla wszystkich tych wizji „grenlandzkiego Eldorado" – poza oczywistym faktem, że wyspa do Amerykanów nie należy – jest zmiana klimatu.

Już dziś Arktyka doświadcza katastrofalnej degradacji środowiska. Topniejąca pokrywa lodowa sprawia, że na morzach pojawiają się potężne, nieprzewidywalne prądy i powstają gwałtowne burze, a tundra nie przestaje płonąć przez okrągły rok.

Same koszty napraw infrastruktury w topniejącej wiecznej zmarzlinie byłyby astronomicznie wysokie. A jeśli w regionie doszłoby do rywalizacji militarnej, to – jak ujął rzecz kanadyjski generał Mike Nixon – „szybko przerodziłaby się w największą operację poszukiwawczo-ratowniczą, jaką świat kiedykolwiek widział".

Donald Trump zmiany klimatu nazywa „oszustwem". Grozi, że Grenlandia będzie należeć do USA, nawet jeśli miałby zdobyć ją siłą. Ze zmianą klimatu nie zrobi dealu ani jej nie zastraszy. Ona natomiast może brutalnie zweryfikować jego imperialne urojenia.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA



Gdy w każdą sobotę żydowscy osadnicy odbywają pielgrzymkę uliczkami Starego Miasta w Hebronie, żołnierze izraelscy usuwają z ulic Palestyńczyków. Hebron, 13 września 2025 r.

Schemat przemocy

TEKST I ZDJĘCIA JAN POCHEĆ
Z UMM AL KHAIR I HEBRONU (AUTONOMIA PALESTYŃSKA)

BLISKI WSCHÓD | Żydowscy osadnicy siłowo rozszerzają swój stan posiadania na Zachodnim Brzegu Jordanu. Mają w tym poparcie władz Izraela. Są bezkarni nawet wtedy, gdy zabijają.

Khalil Hathaleen jest wciąż w żałobie. – Żydowscy osadnicy nie znają żadnych granic, pół roku temu zabili mojego brata – opowiada. Jego brat Awdah jest jednym z ponad tysiąca Palestyńczyków, którzy w ostatnich dwóch latach zginęli z rąk żydowskich osadników na terenie Zachodniego Brzegu Jordanu.

Awdah Hathaleen zginął w wiosce Umm Al Khair 28 lipca 2025 r. Zastrzelił go żydowski osadnik Yinon Levi.

ZABÓJSTWO | Opowiada mi o tym jego brat. – Tego dnia osadnik wjechał buldożerem w gaj oliwny, niszcząc nasze drzewka. Chcieliśmy powstrzymać tę dewastację, wtedy osadnik uderzył młotem buldożera Ahmada, jednego z mieszkańców naszej wsi – wspomina Khalil.

Mieszkańcy zaczęli obrzucać buldożer kamieniami. Wtedy obecny na miejscu inny osadnik – był nim Yinon Levi – oddał strzał w tłum. Jak się okazało, śmiertelny.

Levi był już objęty sankcjami przez Unię Europejską i USA (za kadencji Joego Bidena) za wcześniejsze wielokrotne ataki na bezbronnych Palestyńczyków.

Opowiada Khalil: – Nie mogliśmy odzyskać ciała brata. Armia izraelska żądała, by pogrzeb odbył się w nocy, i aby mogło w nim uczestniczyć maksymalnie 15 osób. Tyle nie liczy nawet nasza rodzina.

Nie zgodzili się i odwołali do izraelskiego sądu. Ten orzekł na korzyść rodziny i nakazał bezwarunkowo oddać ciało. Khalil: – Jednak armia pogwałciła postanowienie sądu. Wprawdzie wydali ↦



Schemat jest następujący: osadnik przejmuje ziemię, ogradza, a po jakimś czasie prosi rząd o włączenie jego posesji do osiedla. Na zdjęciu: instalacja symbolizująca świecznik chanukowy na działce osadnika, który zamieszkał w pobliżu osiedla. Zachodni Brzeg, 30 grudnia 2025 r.

↦ ciało brata, ale zamknęli drogi dookoła wsi, uniemożliwiając bliskim i znajomym przybycie na pogrzeb.

Zabójca nie poniósł konsekwencji. Izraelski sąd zgodził się z jego interpretacją, jakoby działał w samoobronie. Tymczasem nagranie pokazuje, że nikt prócz Leviego nie był uzbrojony, a jego życie nie było zagrożone.

Dla osadników to sygnał: że podejmując coraz brutalniejsze działania wobec Palestyńczyków, mogą liczyć na bezkarność.

OSIEDLA | Żydowskie osadnictwo na Zachodnim Brzegu – tym, który według porozumień pokojowych z 1993 r. miał być podstawą dla stworzenia państwa palestyńskiego – stale się rozrasta. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego osiedla są nielegalne, ale rząd Izraela je wspiera. Ich mieszkańcy często intencjonalnie wchodzą w konflikty z Palestyńczykami, by przejąć ich ziemię.

Osiedla zaczęły powstawać wkrótce po 1967 r. – po wygranej Izraela w wojnie sześciodniowej, po której przejął on kontrolę nad Zachodnim Brzegiem Jordanu, Strefą Gazy, Wzgórzami Golan i całą Jerozolimą.

Dziś mieszka w nich ok. 700 tys. osadników (wliczając mieszkańców wschodniej Jerozolimy, która jest po izraelskiej stronie muru, oddzielającego Autonomię Palestyńską od Izraela). Obok nich na Zachodnim Brzegu żyją 3 mln Palestyńczyków.

Osiedla na Zachodniego Brzegu – jest ich 141, tych oficjalnie uznanych przez izraelski rząd – przecinają terytorium przyszłego państwa palestyńskiego. Są rozrzucone po całym Zachodnim Brzegu. Scenariusz, w którym mogłyby one zostać kiedyś zlikwidowane – tak jak Izrael uczynił z osiedlami z Gazy, likwidując je w 2005 r., przed oddaniem władzy nad Gazą Palestyńczykom – wydaje się dziś niemożliwy.

Rząd Izraela wspiera osadników także w ten sposób, że utrudnia życie ludności palestyńskiej. Widać to zwłaszcza tej zimy, gdy często pada deszcz. To oznacza wilgoć w domach i przeciekające dachy. Są w tak złym stanie, gdyż na terenie pod kontrolą Izraela Palestyńczykom nie wolno budować w zasadzie niczego. Często jest tak, że prąd w domu mają nielegalnie, ponieważ na legalny nie dostali pozwolenia.

INTEGRACJA | Odwiedziłem jedno z takich osiedli – Kirjat Arba niedaleko Hebronu. Dobrze widać, że jest ono w pełni zintegrowane z Izraelem.

Specjalne drogi umożliwiają dotarcie stąd do Jerozolimy w mniej niż 50 minut. Ta sama podróż, gdyby jechać przez palestyńską część, zajmuje niemal dwie godziny.

Strzeżone osiedle ma kształt małego miasteczka, a życie w nim sprawia wraże-

Kim są żydowscy osadnicy, co ich motywuje?

Mówi **MICHAŁ WOJNAROWICZ, ANALITYK DS. IZRAELA I PALESTYNY Z POLSKIEGO INSTYTUTU SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH:**

Osadnicy to społeczność zróżnicowana. Można podzielić ich na tych, którzy zamieszkali na Zachodnim Brzegu z powodów ekonomicznych, i tych, którzy robią to z pobudek ideologicznych, chcąc przywrócić tu żydowską obecność. Głównie ta druga grupa odpowiada za fizyczne ataki na Palestyńczyków i ich mienie, pobicia, niszczenie gajów oliwnych.

Państwo izraelskie aktywnie wspiera rozbudowę osiedli, zapewnia im m.in. prąd, kanalizację, wodę i co najważniejsze – wojskową ochronę.

Wśród osadników licznie reprezentowani są *hardalim*. To skrajnie nacjonalistyczny nurt religijnego syjonizmu, którego najbardziej znanymi przedstawicielami są Itamar Ben Gvir (minister bezpieczeństwa narodowego) i Becalel Smotricz (minister finansów). Środowiska te odrzucają pokojowe współistnienie z Palestyńczykami, mówią o aneksji Zachodniego Brzegu Jordanu. Grupa ta uległa dodatkowej radykalizacji po ataku Hamasu z 7 października 2023 roku.

Osadnictwo od dawna jest największą przeszkodą w ewentualnym procesie pokojowym. Formalne włączenie osiedli do Izraela wiązałoby się z „poćwiartowaniem" terytorium przyszłego państwa palestyńskiego. Choć już dziś Izrael sprawuje *de facto* kontrolę nad tymi terenami: osiedla są w pełni zintegrowane z Izraelem przez specjalne drogi oraz sukcesywnie rozbudowywane.

Obecna sytuacja jest korzystna dla premiera Netanjahu, który wykorzystuje groźbę aneksji jako kartę przetargową np. w relacjach z państwami arabskimi, co nie zapowiada zmiany *status quo* na Zachodnim Brzegu.

© Wysłuchał JAN POCHEĆ

nie sielanki. Krajobraz wypełniają spójne architektonicznie bloki. Są przystępne cenowo – na tyle, że na zamieszkanie w jednym z nich byłoby stać przeciętnego Izraelczyka. Wspomniany dobry dojazd do Jerozolimy zachęca Izraelczyków do przeprowadzki.

Jednak obraz tej sielanki burzy wszechobecna broń – oraz nieufność mieszkańców wobec obcych. Przystanków autobusowych pilnują żołnierze, którzy tak samo jak osadnicy gorliwie wypytują przybysza o powód wizyty. Odradzają mi odwiedzenie kolejnych osiedli, gdyż, jak mówią, nie jest to bezpieczne.

„NAWRÓCONY" | Po stronie izraelskiej są tacy, którzy na osadnictwo patrzą krytycznie.

Jego monitorowaniem zajmuje się izraelska organizacja Pokój Teraz. Za cel stawia sobie dialog z Palestyńczykami oraz osiągnięcie sprawiedliwego i trwałego pokoju. Podobne działania podejmuje Żydowskie Centrum Bez Przemocy.

W tę drugą inicjatywę zaangażowany jest od 2019 r. Bob Suberi. Urodzony w 1948 r. w Kalifornii – w rodzinie Żydów z Jemenu, którzy emigrowali do Palestyny, a stąd do USA (jeszcze przed powstaniem Izraela) – mieszka w amerykańskim St. Louis, ale ma podwójne obywatelstwo, USA i Izraela. Ma tutaj także liczną rodzinę i odwiedza Izrael regularnie.

Jednak, co podkreśla, nigdy nawet nie rozważał odwiedzenia Zachodniego Brzegu. Suberi: – Wszystko zmieniło się u mnie 10 lat temu, gdy w St. Louis odbywał się festiwal palestyńskiej kultury. Zaciekawiła mnie, zacząłem wgłębiać się w historię i poczułem, że stoję po jej złej stronie.

W 2019 r. pojechał z grupą izraelskich aktywistów na Zachodni Brzeg, aby zobaczyć realia, w jakich żyją Palestyńczycy.

– Uważam siebie za „nawróconego" syjonistę – mówi mi Bob. – Odwiedzam Palestynę kilka razy w roku, czas spędzam zwłaszcza we wsi Umm Al Khair. Wspieram tę społeczność, dowożę dzieci do szkół. Moja obecność we wsi sprawia, że osadnicy są mniej agresywni i nie mogą pozwolić sobie na wszystko. Staram się stawać między nimi a Palestyńczykami i rozwiązywać konflikty. Wiem, że dzięki temu ludzie z tej wsi czują wsparcie.



KHALIL HATHALEEN *pół roku temu stracił brata, zastrzelił go żydowski osadnik. Wieś Umm Al Khair, 30 grudnia 2025 r.*

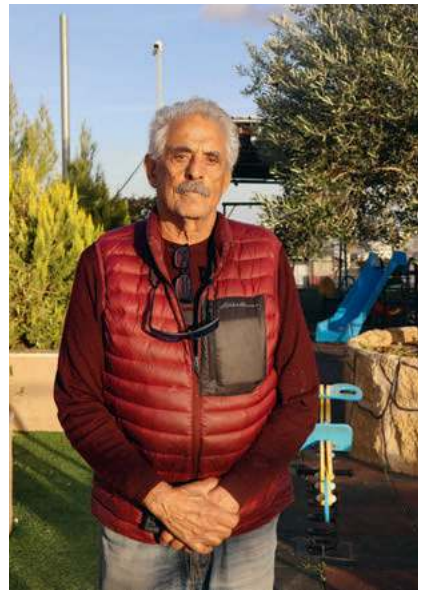

BOB SUBERI, *obywatel USA i Izraela, krytycznie patrzy na żydowskie osadnictwo. Hebron, 30 grudnia 2025 r.*

HEBRON | Schemat jest następujący. Przejmowanie ziemi przez osadników odbywa się przez tworzenie „outpost", przyczółka. Osadnik kupuje (bądź w inny sposób przejmuje) ziemię położoną w pobliżu już ustanowionego osiedla. Wprowadza się, ogradza działkę drutem kolczastym, a po jakimś czasie prosi rząd Izraela o włączenie jego posesji do osiedla, uzasadniając to względami bezpieczeństwa. Tak powiększają się już istniejące osiedla.

Niedługo taki schemat może zostać zastosowany w Hebronie.

Tutaj, u wejścia do Starego Miasta, swój sklep prowadzi Bader Al Tamimi. Kilkanaście metrów dalej jest brama, która kiedyś prowadziła do ulicy Al Shuhada. Dziś nosi imię króla Dawida, choć Palestyńczycy i organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka nazywają ją „ulicą apartheidu".

Po masakrze, której w 1994 r. w hebrońskiej Grocie Patriarchów dokonał izraelski osadnik, ówczesny rząd Icchaka Rabina zamknął tę ulicę z obawy przed odwetem na innych osadnikach. Nie została otworzona do dziś. To znaczy: dla Palestyńczyków. Bo jest dostępna dla Izraelczyków i turystów.

POŻAR | W Hebronie, mieście ważnym dla obu religii, judaizmu i islamu, mieszka 215 tys. Palestyńczyków i około tysiąca osadników; jest też silnie obecna armia izraelska.

Odwiedziłem to miejsce we wrześniu i grudniu 2025 r. Na Starym Mieście wojskowe punkty kontrolne są mniej więcej co 100 metrów. Prawie każdy osadnik nosi karabin. Są podejrzliwi, wypytują, co tu robię.

Al Tamimi opowiada, jak wygląda prowadzenie biznesu w sąsiedztwie osiedla. I tak, jeszcze przed 7 października 2023 r. – gdy Hamas zaatakował Izrael, a ten odpowiedział odwetem wobec Gazy – jego sklep był dwukrotnie podpalany. Ostatnio w 2022 roku.

Wtedy to, dzień przed podpaleniem, przyszli do niego żołnierze izraelscy i poprosili, by nie otwierał sklepu. Jednak gdy przyszła do niego dziewczynka, by kupić tornister i szkolne przybory, zrobił dla niej wyjątek. Krótko potem żołnierze odwiedzili go ponownie. Usłyszał: „Wyraziliśmy się jasno, że miałeś nie otwierać sklepu".

Tej nocy sklep spłonął. Bader odbudował go, otworzył na nowo.

RYTUAŁ | To nie jest jedyny jego problem. Co sobota, w szabas, do Starego Miasta w Hebronie zjeżdżają z okolicy osadnicy, aby odbyć pieszą pielgrzymkę po jego uliczkach.

Wychodzą tym samym także na palestyńską stronę, a więc żołnierze izraelscy ↦

↦ zamykają wtedy wszystkie sklepy na ich drodze, a mieszkańców Palestyńczyków proszą o zamknięcie się w domach.

Obserwowałem ten swoisty rytuał we wrześniu 2025 r. Żołnierze weszli do sklepu, z którego podjąłem próbę udokumentowania przemarszu osadników. Obrażając mnie oraz uderzając w kamerę, wymusili zaprzestanie nagrywania.

Przemarsz kończy się tuż przy sklepie Badura, żołnierze zwykli więc wchodzić do jego sklepu, by go skontrolować. Denerwowały ich wiszące w nim palestyńskie flagi.

Badur: – Każda taka wizyta wiąże się ze stresem, nigdy nie wiem, jak się zachowają.

Dodaje: – Nie chcę zamknąć sklepu. Wiem, jak jest ważny dla lokalnej społeczności. To, że go tutaj prowadzę, traktuję także jak przekazanie wiadomości: jesteśmy tu i nie zamierzamy się wynieść. To nasza ziemia, której będziemy bronić.

PRZYSZŁOŚĆ | Jednak kres istnienia jego sklepu może nadejść szybciej, niż mu się wydaje. Kilka miesięcy temu nad jego sklepem zaczęto organizować klasę dla żydowskich dzieci ze szkoły, która znajduje się tuż za murem. Pojawia się pytanie: czy Izrael zdecyduje się połączyć tę salkę lekcyjną np. mostkiem z już istniejącą szkołą i w ten sposób *de facto* rozszerzy obszar osiedla, zamknięty dla Palestyńczyków?

Palestyńczycy z Hebronu, z którymi rozmawiałem, nie mają wątpliwości. – Zrobią to, nie mieli oporu, zamykając dla nas całą ulicę Al Shuhada, to czemu mieliby postąpić teraz inaczej? – słyszę od jednego z nich.

Pesymizm ten podziela wielu młodych Palestyńczyków; nie widzą dla siebie przyszłości na Zachodnim Brzegu. Gdy tylko mają taką możliwość, wyjeżdżają do Europy w poszukiwaniu lepszego życia.

Bez ludzi młodych Autonomia Palestyńska nie ma przyszłości. Z kolei w izraelskim rządzie narastają tendencje skrajnie prawicowe – perspektywa aneksji Zachodniego Brzegu staje się coraz bardziej prawdopodobna. © JAN POCHEĆ

Jak prawicowa rewolucja zmienia latynoski świat

MAGDALENA BARTCZAK

AMERYKA ŁACIŃSKA | Niedawne wybory prezydenta Chile przyniosły kolejny sukces polityka prawicy na kontynencie południowo- i środkowoamerykańskim. Co sprawia, że w ostatnich latach przechyla się on radykalnie na prawo?

Skończył 60 lat, nie jest więc nowicjuszem w chilijskiej polityce. Przeciwnie: jest w niej obecny od końca lat 80. XX stulecia. W tamtym czasie w Chile toczyła się dyskusja o tym, jak pokojowo zakończyć dyktaturę Augusta Pinocheta – generała, który w 1973 r. obalił lewicowy rząd i odtąd rządził twardą ręką.

Był on wtedy zwolennikiem przedłużenia dyktatury. Nie przebił się z tym poglądem – Chile stało się krajem demokratycznym. Potem przez kolejne lata działał w Niezależnej Unii Demokratycznej (ultraprawicowej partii związanej ze środowiskami wokół Pinocheta), a parę lat temu stanął na czele własnej formacji, Partii Republikańskiej.

Prywatnie ma dziewięcioro dzieci, ironiczne poczucie humoru i niezmienną wiarę w neoliberalizm – całkowicie wolny rynek, bez zbędnych ingerencji rządowych.

José Antonio Kast, wybrany w grudniu 2025 r. w głosowaniu powszechnym na prezydenta – bo o nim mowa – nie ukrywa, że sympatykiem Pinocheta pozostaje do dziś.

Rekordy Joségo Kasta

Pierwszymi politykami, którzy w powyborczy wieczór pospieszyli mu z gratulacjami, byli sekretarz stanu USA Marco Rubio i prezydent sąsiedniej Argentyny Javier Milei. Jednak José Antonio Kast przyznaje, że znacznie bliżej mu do Giorgii Meloni niż do Donalda Trumpa czy Javiera Milei.

Z szefową rządu Włoch łączy go bez wątpienia jedno: podobnie jak ona, podczas kampanii Kast skwapliwie unikał wątków historycznych i światopoglądowych – aby nie zrazić do siebie umiarkowanych wyborców. Strategia okazała się udana: w drugiej turze lider chilijskiej ultraprawicy pokonał swoją lewicową kontrkandydatkę Jeannette Jarę, uzyskując 58,16 proc. poparcia. Poparło go ponad 7 mln Chilijczyków.

W ten sposób Kast został prezydentem wyłonionym największą liczbą głosów w dziejach chilijskiej demokracji. Co więcej, jako pierwszy dotąd polityk w Chile zwyciężył te wybory we wszystkich regionach kraju – od pustynnej północy po Patagonię i Antarktydę.

Antysystemowa rewolucja

Chile to kolejny kraj Ameryki Łacińskiej, gdzie władzę przejęła prawica lub skrajna prawica. W ostatnich latach stało się tak w Argentynie, Boliwii, Ekwadorze, Kostaryce, Panamie, Paragwaju, Peru i Salwadorze. Teraz dołączył Honduras: 27 stycznia władzę objął tam 67-letni Nasry Asfura, przedsiębiorca i lider ultraprawicowej Partii Narodowej, wspierany przez Trumpa.

Przyczyny sukcesów polityków prawicowych lub ultraprawicowych są różne, zależą od specyfiki każdego kraju. Mają jednak wspólny fundament. Jaki? O to zapytałam Emmanuelle Barozet, francuską profesorkę socjologii związaną z Universidad de Chile i Centrum Badań nad Konfliktami i Spójnością Społeczną (COES) w Santiago.

Barozet: – Oczywiście można to tłumaczyć tzw. efektem Trumpa, który inspiruje innych populistycznych liderów. Jego powrót do Białego Domu dał dodatkowy impuls światowej prawicy. Ale nie jest to jedyne wytłumaczenie.



TOMAS CUESTA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

José Antonio Kast, prezydent elekt Chile podczas wizyty w Argentynie. Buenos Aires, 16 grudnia 2025 r.

– W wielu państwach widzimy naturalny dla demokracji przechył wahadła w przeciwną stronę – uważa Barozet. – Po dłuższym bądź krótszym okresie rządów lewicy następuje moment rozczarowania lub przesytu, więc władza trafia w ręce opozycji.

Ale jest tu coś jeszcze. Barozet: – To ilustracja zjawiska, które widać na całym świecie: bunt, gniew czy społeczne niezadowolenie coraz częściej są przejmowane przez prawicowe ruchy. Paradoksalnie to lewica wydaje się mieć dziś rys konserwatywny: stoi po stronie politycznych reguł gry i społecznych zdobyczy. Prawica zaś przejmuje retorykę rewolucyjną, antysystemową.

Argentyńska lekcja

Modelowy przypadek to Argentyna. W 2023 r. do głosowania na Javiera Milei skłoniła Argentyńczyków inflacja, kryzys i zmęczenie rządami tzw. kirchnerystów. Tak określa się centrolewicowy ruch, którego twarzami było małżeństwo Néstora i Cristiny Kirchner. Kolejno sprawowali oni urząd prezydenta w latach 2003-2015. Wprawdzie potem nastał prezydent z centroprawicy, ale kolejnym był znów kirchnerysta: Alberto Ángel Fernández, zaufany Néstora i Cristiny.

Milei, wcześniej ekscentryczny ekonomista i gość *talk shows*, prezentował się jako polityczny outsider. Krytykował establishment i zapowiadał „rozprawę z kastą rządzącą". Wpisał się w bunt i antysystemowość, o których mówi Barozet. Wielu Argentyńczykom, zdesperowanym i zniechęconym, jawił się jako recepta na problemy kraju.

Dziś, po dwóch latach urzędowania Milei, ciężko uznać jego libertariańską rewolucję za sukces. Rządowi udało się zbić inflację, ale radykalne obcięcie wydatków państwa i likwidacja wielu programów społecznych przyniosły zapaść w finansowaniu edukacji i publicznej służby zdrowia, spadek zatrudnienia i pogorszenie sytuacji finansowej emerytów.

Polityka „piły łańcuchowej" – tak ją nazwano, gdyż Milei chętnie korzystał z tego rekwizytu – najmocniej uderzyła w najbiedniejsze warstwy. Choć pod koniec 2025 r. wskaźniki zaczęły się nieco poprawiać, w szczytowym momencie reform Milei poziom ubóstwa przekroczył aż 52 procent.

Boliwia: zmiana warty

Do równie gwałtownej rewolucji nie dojdzie najpewniej w sąsiedniej Boliwii. Choć i tutaj – po dwóch dekadach rządów Ruchu na Rzecz Socjalizmu – społeczeństwo zapragnęło radykalnej zmiany. Na fali najgłębszego od ponad 40 lat kryzysu i społecznej frustracji, której wyrazem były w ubiegłym roku potężne protesty, wybory 19 października 2025 r. wygrał polityk centroprawicy, 57-letni Rodrigo Paz.

Ten urodzony w Hiszpanii syn Jaimego Paza Zamory (prezydenta Boliwii z lat 90. XX w.) ma spokojniejszy i pojednawczy styl oraz bardziej umiarkowane poglądy na ekonomię niż Milei. Ale tak jak on zyskał zaufanie, kreując się na kogoś spoza elit.

Wygrał nieoczekiwanie. Gdy stawał do wyborów, sondaże dawały mu 2 procent. Jego popularność gwałtownie wzrosła, gdy kandydatem na swojego wiceprezydenta ogłosił Edmana Larę, byłego policjanta, który zdobył popularność na haśle walki z korupcją.

Wygrana Paza przypieczętowała klęskę lewicy. Od dawna podzielona, traci ona poparcie w głównym dotąd elektoracie, jakim byli rdzenni Boliwijczycy i mieszkańcy wsi.

Hasła Paza, obiecującego „kapitalizm dla wszystkich", zmniejszenie wydatków publicznych, obniżenie podatków i ponowne otwarcie kraju dla inwestorów z USA przekonały 54,53 proc. głosujących. Zwłaszcza nową klasę średnią, która wyrosła przez ostatnie dekady. Wraz z nią urosły nowe społeczne tożsamości, pragnienia i aspiracje.

Chile: nowe podziały

Wracając do Chile: hasłem, które często wracało tu podczas kampanii prezydenckiej, było *clivaje* – to hiszpańskie słowo oznacza kruchość, łamliwość. W geologii jest używane dla określenia podatności skał na wewnętrzne pęknięcia; skłonność do złamań, po których kolejne fragmenty układają się liniowo obok siebie.

David Altman, politolog z Pontificia Universidad Católica w Santiago, używa tego terminu dla opisania polaryzacji. Twierdzi, że o ile wcześniej Chilijczyków dzielił stosunek do Pinocheta, o tyle w ostatnich latach doszło do zmiany: na tamte historyczne podziały zaczęły się nakładać kolejne konflikty i pęknięcia.

Nową osią podziału stał się jego zdaniem stosunek do *estallido social*, protestów przeciw nierównościom i elitom politycznym, które wybuchły w 2019 r. i okazały się największymi manifestacjami w chilijskiej historii.

Jak pisze Altman na portalu El Mostrador, oś polaryzacji rozpina się dziś „między pragnieniem budowy czegoś nowego [*refundación*] a przywiązaniem do dawnego porządku [*restauración*]. Dla zwolenników zmian protesty z 2019 r. były uzasadnioną erupcją niezadowolenia. ↦



EL SALVADOR'S PRESIDENCY PRESS OFFICE / AFP / EAST NEWS

Członkowie wenezuelskiego gangu Tren de Aragua w ośrodku dla terrorystów w Tecoluca. Zdjęcie udostępnione przez biuro prasowe prezydenta Salwadoru, marzec 2025 r.

↦ Tymczasem dla obozu restauratorskiego stanowiły przykład zburzenia porządku publicznego, groźnego w skutkach chaosu i rozpadu dotychczasowego świata".

Bezpieczeństwo, głupcze!

Bez względu na to, na ile ten podział opisuje rzeczywistość Chile, jedno jest pewne: zaważył on na tonie debaty publicznej ostatnich lat i wyniku grudniowych wyborów.

Nie byłoby zwycięstwa Kasta bez wydarzeń z 2019 r. To wtedy zaczął on budować największą popularność, a dla wielu: wiarygodność. Wyrósł na jednego z głównych krytyków ówczesnego prezydenta Sebastiána Piñery, zarzucając mu zbyt łagodną reakcję na protesty i domagając się pacyfikacji demonstrantów.

W kolejnych latach hasło „przywracania porządku" zapisało się na dobre w słowniku i programie Kasta. Zapowiedź surowej walki z przestępczością i utworzenia „rządu nadzwyczajnego" (*gobierno de emergencia*) na trudne czasy, który „posprzątałby" po rządach lewicy, stanowiła filar jego kampanii – i trafiła w społeczne oczekiwania.

Symbolicznym gestem było tu spotkanie Kasta z Gustavem Villatoro, ministrem bezpieczeństwa Salwadoru. Prezydent tego kraju, Nayib Bukele, jest regularnie oskarżany o łamanie praw człowieka i autorytarne zapędy. Zarazem jest chwalony za rozprawienie się z pospolitym bandytyzmem.

Idol z Salwadoru

Bukele stał się istotnym punktem odniesienia, niemal idolem dla wielu prawicowych polityków w Ameryce Łacińskiej.

Inspirując się niektórymi jego metodami, Kast obiecywał zaostrzenie kar za przestępczość zorganizowaną, rozszerzenie uprawnień policji (m.in. do użycia broni) i zbudowanie kilku więzień pod specjalnym nadzorem – na wzór słynnego salwadorskiego megawięzienia Centrum Odosobnienia Terroryzmu w Tecoluca.

Obietnice Kasta trafiły na podatny grunt. Choć Chile nadal jest jednym ze spokojniejszych państw regionu, to dla wielu mieszkańców wzrost przestępczości stał się w ostatnich latach zauważalnym problemem.

Jak wskazuje raport Narodowego Badania Bezpieczeństwa w Obszarach Miejskich (ENUSC), aż 87,7 proc. respondentów przyznało, że czuje niepokój w związku z narastającym brakiem bezpieczeństwa. Z kolei wedle sondaży chilijskiego oddziału Ipsos co trzeci mieszkaniec chce, by władze potraktowały walkę z przestępczością jako priorytet. Oceniając tym samym, że działania rządzącego dotąd Gabriela Borica z lewicy nie były pod tym względem wystarczające.

Gang destabilizuje kontynent

Strach wśród Chilijczyków budzi zwłaszcza taka przestępczość, której wcześniej nie było w ich kraju – jak handel ludźmi, przemyt narkotyków na dużą skalę, porwania i drastyczne zabójstwa. Za większością z nich stoi wenezuelski gang Tren de Aragua, który w ostatniej dekadzie stał się największą grupą przestępczą w Ameryce Południowej.

Jednym z najgłośniejszych przykładów jego brutalnej działalności na terenie Chile było porwanie i zamordowanie Ronalda Ojedy – wenezuelskiego emigranta i przeciwnika Nicolása Maduro, który znalazł azyl w Chile. Śledztwo wskazuje, że był to mord na zlecenie z Caracas.

Od kilku lat gang ten destabilizuje także inne kraje, przede wszystkim Peru i Kolumbię. Stał się też jednym z powodów wzrostu antyimigranckich nastrojów, także w Chile.

– Niechęć wobec migrantów zawsze była w Chile, kraju dość zamkniętym i nieprzyzwyczajonym do większej liczby przyjezdnych, silna – opowiada mi Paola Palacios, Afrokolumbijka mieszkająca od siedmiu lat w Santiago. Jest założycielką fundacji Kilombo Negrocentricxs, która promuje kulturę o korzeniach afro, i współpracowniczką organizacji zrzeszającej migrantów La Coordinadora Nacional de Inmigrantes.

– Jako czarnoskóra osoba mówiąca z innym, „obcym" akcentem, często to czułam – dodaje Palacios. – Jednak w ostatnich latach to się nasiliło. Wszyscy zaczęliśmy być wrzucani do jednego worka. Bez względu na to, co tu robimy: czy studiujemy, czy pracujemy, czy mamy rodziny, jesteśmy coraz częściej traktowani jak potencjalne zagrożenie.

Deportacje na dzień dobry

Jak wszędzie na świecie, także w Chile antyimigranckie nastroje stały się pożywką dla populistycznych haseł. Podczas kampanii Kast zapowiadał militaryzację granic i budowę specjalnych fortyfikacji – trzymetrowych rowów i pięciometrowych ogrodzeń pod napięciem – w najbardziej newralgicznych punktach pogranicza Chile z Peru i Boliwią.

„Chile nie może przyzwyczajać się do strachu, nie może przyzwyczajać się do ognia. Chile znów będzie wolne od przestępczości" – mówił Kast w wystąpieniu po ogłoszeniu wyniku wyborów. Po czym powtórzył inną obietnicę: że gdy obejmie urząd prezydenta, od pierwszego dnia zacznie deportacje z Chile wszystkich nielegalnych imigrantów.

Czy to zrealizuje? O tym Chile dowie się 11 marca, w dzień inauguracji Kasta.

© MAGDALENA BARTCZAK

ELIZA

Kącka:
Proszę wilka o sen



Pociąg z Warszawy do Działdowa. Kolejka do toalety, bo trzy z rzędu wyłączone z użytku. Matka z dzieckiem: „Nie obrazi się pani, jak pierwsi pójdziemy siusiu?”. „E, gdzie tam”. Rotujemy w kolejce. Mały do mnie: „Też idziesz siusiu?”. Matka: „To pani sprawa, co idzie!”. Przyszła babcia. Do mnie: „Widzi pani, Pawełek od dziecka tak dużo pyta. On chce wszystko wiedzieć”. Poklepała małego po głowie: „Bystry taki”. Pawełek: „U mnie w przedszkolu, jak ktoś chce kupę, to idzie na koniec”. Matka: „Matko!”. Pawełek do dwójki za nami: „My sikamy. Kupa musi poczekać”. Panowie w śmiech. Rodzina Pawełka skorzystała kolektywnie, wyszli: „Niech pani uważa, bardzo mokra podłoga”. Staję przy zlewie, gdy pociąg wchodzi w zakręt. Spoiny w dachu jęczą i raptem twarz zalewa mi woda. A, więc to tak. Obsuszam się, wychodzę. Gość spod drzwi: „Omamo, podziwiam, ja bym nie mył w pociągu”. Drugi: „Daj spokój, może pani ma problemy”.

Po jednym ze spotkań autorskich podchodzi chłopiec z torebką prezentową. Wyciąga zawiniątko, rozpakowuje, a tam dwie serwetki haftowane: na jednej pingwin, na drugiej lis. „To zwierzątka z pani książki”. „A tak, poznaję”. „Może pani sobie wybrać”. „O, miło”. „Niech pani sobie wybierze, ale pingwin jest dla Rudej”. „Ulala, no to wybieram lisa”. Zadowolił się: „Dobry wybór”. „Piękny lis”. „Sam haftowałem. To jest zwierzę opiekun”. „Aha”. „Babcia mówi, że zwierzę nie może się opiekować, bo nie jest aniołkiem”. „U, może sobie nie wchodzą w drogę”. Rozpromienił się: „Tak! Ja codziennie mówię paciorek. Ale wie pani, ja tak pomyślałem, że aniołka śle Bóg, nie?”. „Aha”. „Jak nie zapomni. Modlę się, to mu przypominam. Ostatnio poszedłem spać bez pacierza i dziadek miał zawał”. „Ej, nie wiń się”. „Babcia tak powiedziała. A ja myślę, że Bóg ma za dużo na głowie, i zacząłem Mu pomagać”. „Nono”. „Robię ludziom zwierzątka. Pani też zrobiłem. I córce”. „Dzięki”. „Bo jak anioł zapomni, to mój lis przybiegnie”. „Na pewno”. „Często nie mogę spać z nerwów i proszę wilka o dobry sen. To mój opiekun”. „I jak?”. „Zasypiam. I śni mi się las często”. „A, to wilcza sprawka”. „O sen chyba nie można się modlić. Aniołek się tym nie zajmuje. Ale mojego wilka mogę prosić o wszystko”.

Pociąg z Jędrzejowa. Siadam blisko pana z grubsza siedemdziesięcioletniego. Czyta gazetę, trze oczy, odkłada. „Nie trzeba tak długo żyć, hehe, widzi pani, nawet przyjemności z czytania nie mam, oczy nie te”. „Uhm”. „A i gazety nie te. Pani stąd?”. „Z Warszawy?”. „A co też pani robiła w mieście zegarów słonecznych, hę?”. „Miałam spotkanie autorskie”. „No, to pani jest autorką! Rzadko rozmawiam z autorami. Chociaż co ja tam wiem: teraz podobno wszyscy piszą”. „Haha”. „No właśnie, jedzie człowiek do okulisty, a bada go autor. Idzie do warzywniaka po kartofle od autorki”. „Ano”. „Niech się pani nie przejmuje moim gadaniem”. Pauza. „A ja też nie stąd, ale kawał życia już tu. Żona się ze mnie śmieje, że zostałem w mieście zegarów, bo mam problem z punktualnością”. „Aha”. „A kiedyś próbowałem zatrzymać czas!”. „O?”. „Wsadziłem ojcu zegarek do lodówki. Nie chciałem do przedszkola”. „I co?”. „Nic nie wskórałem. Dostałem w skórę, a czas nie stanął”. „Łachudra”. „Czas? Ależ oczywiście. Nigdy się nie lubiliśmy. Ale do dziś mnie fascynuje, że chciałem go ukatrupić zegarkiem starego”. „Ano, jak Dawid Goliata. Ten rozmach”. „Ba, więcej. Nienawidziłem przedszkola, chciałem, żeby wszystkie stanęły. Szach mat. Tylko przedszkola. A ja bym w łóżku dorósł do szkoły”.

Metro, dwóch nastoletnich. „To lepsze od terapii. Matka mnie zapisała do psycholożki, nic mi to nie dało”. „Kiepska?”. „Nie, nie umiem być szczery z ludźmi”. „Wolisz GPT?”. „Mniej ściemniam. Matka mówi, że ściemniam. Dlatego terapia, żebym się otworzył. Ona płaci”. „To w sumie...”. „Ja w to nie wierzę. Na nastrój chcę tabletki. Nie chce mi się obcym mówić, że mam problem z matką. Idę na wizytę i coś wymyślam”. „Głupio”. „Dlatego wolę czata”. „Ja ciągle mam problem, że to nie człowiek”. „A ja nie. Ludzie osądzają. I grają”. „Ale GPT ci nie pomoże”. „Człowiek też, heloł”.

Z tatą w szpitalu, czekamy na przyjęcie. „Ja cię bardzo przepraszam”. „Nie masz za co przepraszać”. „Trzeba mnie wysłać do Lidzbarka”. „Nie przejmuj się”. Przyszła lekarka, zagadała, poszła. Próbujemy usiąść. „Nie szarpać”. „Nie szarpię”. „Czy to już Lidzbark?”. „Nie, tato”. Bierze mnie za rękę: „Niech mi pani powie, jak dojedziemy”. Znów lekarz, wywiad. „Oni mi przeszkadzają. Gdzie jest moja czapka?”. „W domu, jesteśmy w szpitalu”. Obruszył się: „Za dużo miejsc”. Niepokój. „Sam dojadę”. „Czekamy na lekarza”. „Nie mogę czekać. Pani czeka”. Położył się, osłabł: „Za chwilę będę w domu”.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, żyje pani?”. „Owszem”. „Upewniam się. Bo mi się pani nie śni”. „A śniłam się?”. „Tak, była pani bardzo zdyscyplinowana. A tu raptem cisza, nie pochwalam”. „Hm, postaram się wrócić”. „Uprzejmie proszę. Co prawda mówi się, że pośmiertnie ludzie nawiedzają sny bliskich, ale po pani spodziewam się czegoś zupełnie odwrotnego”. „Że po śmierci odczepię się od społeczeństwa, hehe?”. „Nieee, znajdzie pani sobie coś ciekawszego od zwiedzania snów starych ludzi. A na razie proszę wpadać od czasu do czasu”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).

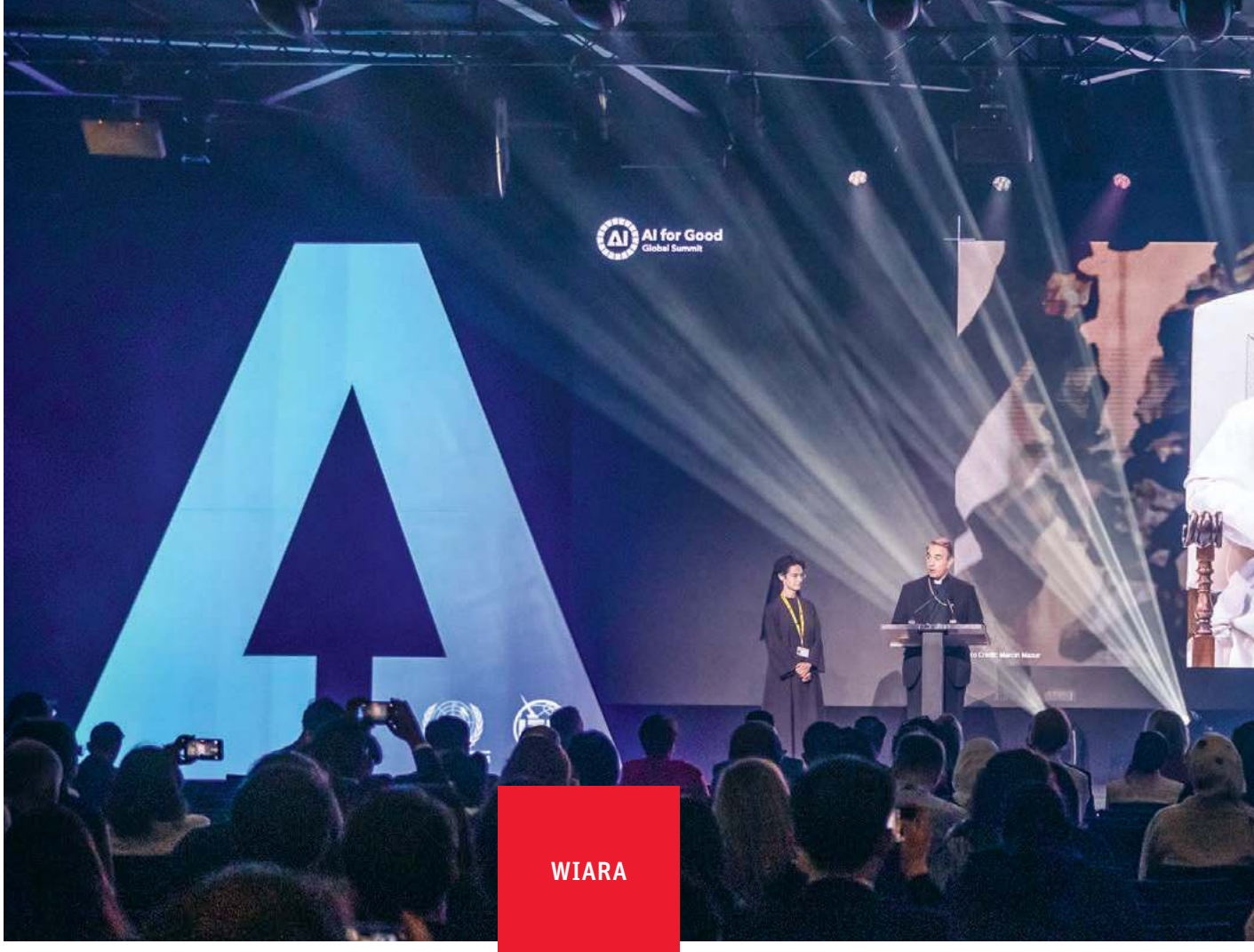

WIARA

KRZEMOWY CIELEC

RON IVEY, KONSULTANT WATYKANU DS. NOWYCH TECHNOLOGII:

W Dolinie Krzemowej wierzą, że budują boga. Są przekonani, że mogą stworzyć superracjonalny byt. A także – że to wymaga ofiar.

SYLWIA CZUBKOWSKA: Jak sobie radzi Kościół w czasach rewolucji?

RON IVEY: Mówi pani o rewolucji cyfrowej? Tak, nowe technologie, nie tylko AI, ale też deep tech, robotyka czy inżynieria biologiczna to największe dziś wyzwanie dla ludzkości na poziomie humanistycznym. Papież Leon XIV już w pierwszych tygodniach pontyfikatu podkreślał, że Kościół ma moralny obowiązek zaoferować wiernym odpowiedź na rewolucję, która właśnie zachodzi. Nie tylko technologiczną. Zmienia się przecież natura naszego odnoszenia się do siebie nawzajem i do samych siebie. Zmienia się sposób, w jaki myślimy, oraz to, jak nasze ciała wchodzą w interakcję z technologią.

Mamy do czynienia z nowymi zjawiskami, do których musimy stosować stare narzędzia Kościoła, filozofii i nauki, by ocenić, czy te nowości są dobre dla człowieka. Albo jak powinny być projektowane w sposób dobry dla ludzi. Dlatego dziś tak ważne są odpowiedzi na fundamentalne pytania: kim jest człowiek? Czym jest godność człowieka? Czym jest życie społeczne?

Uważam, że to duża szansa dla Kościoła.

Tylko czy katolicy potrzebują jego głosu w tej kwestii? Czy Kościół ma wciąż jeszcze taki autorytet, by ludzie zwracali się do niego z nowymi rozterkami?

Głos Kościoła wciąż ma znaczenie. Wciąż potrafi gromadzić ludzi tak, jak żadna inna instytucja na świecie.



INTERNATIONAL TELECOMMUNICATION UNION

Papież Leon XIV przemawia do uczestników szczytu AI for Good Global w Genewie, 10 lipca 2025 r.

Dziś, gdy przyglądamy się neuronauce i zdrowiu poznawczemu, uświadamiamy sobie, że istnieją w nas sposoby rozumienia rzeczywistości, które nie są tylko naukowe, racjonalne czy analityczne, ale także oparte na intuicji, wyobraźni i żywych tradycjach, z których Kościół jest jedną z najważniejszych.

Audytorium, które takiej perspektywy szuka, liczy dziś miliard osób. Świat technologii nazwałby ich „użytkownikami". My oczywiście nie chcemy myśleć o sobie w tak zredukowany sposób. Ale skala ma znaczenie, więc już sama obecność Kościoła sprawia, że jego głos jest słyszalny na całym świecie.

Jaki to ma wpływ na pojedynczego wiernego, pojedynczego „użytkownika"?

Dziś niemal codziennie musimy podejmować decyzje, jak korzystać z nowych technologii. Czy powinienem używać ChatGPT do mojej pracy, czy nie? Czy powinienem rozwijać relację z AI-dziewczyną albo AI-chłopakiem? Czy moje dzieci powinny stykać się z tymi systemami i wchodzić z nimi w interakcję?

Gdy jednostka sama próbuje nieustannie podejmować takie decyzje, staje się to dla niej dużym ciężarem. Natomiast kiedy jest częścią wspólnoty – czy to masowej jak Kościół, czy małej, jak grupa przyjaciół – ma szansę na wspólne rozeznanie i tym samym odciążenie decyzyjne.

Kościół ma wielowiekowe doświadczenie praktykowania i ułatwiania takiego wspólnotowego rozeznawania. Tego nie zastąpi przeczytanie nawet wielu artykułów ani nawet przestudiowanie długich badań, choć dziennikarze i badacze są równie ważni, jako przewodnicy po świecie technologii.

Co więcej, Kościół katolicki bywa postrzegany jako zaskakująco progresywny w tych tematach. Wiem, bo rozmawiam o tym z przedstawicielami różnych wspólnot wyznaniowych i środowisk świeckiego humanizmu.

Na czym ten progresywizm polega?

Przykładem jest choćby watykańska nota „Antiqua et nova" z początku 2025 r. o relacjach między sztuczną inteligencją a inteligencją człowieka. Dokument podkreśla, że AI ocenia nas tylko na podstawie pracy i rezultatów, a przecież nie można pomijać godności człowieka. Watykan za mylące uznaje też użycie słowa „inteligencja" w odniesieniu do AI, twierdząc, że to przecież produkt ludzkiej inteligencji, a nie osobny byt.

Mnie w „Antiqua et nova" uderzyło szczególnie ostrzeżenie przed wiarą w technosolucjonizm, czyli przekonaniem, że technologia zbawi nas od wszystkich zagrożeń i wyzwań.

Powiem więcej, w Dolinie Krzemowej rozwija się coś na kształt ruchu religijnego. Ludzie wierzą, że budują boga – superinteligencję czy wręcz osobliwość. Rozmawiałem z osobami, które przekonywały, że mogą stworzyć superracjonalny byt, nową formę świadomości, i że w tym celu powinniśmy być gotowi na ofiary.

Te koncepcje brzmią jak przekonania religijne. Owszem, ci ludzie posługują się językiem racjonalizmu, a zwłaszcza efektywnego altruizmu, czyli czynienia dobra ↦

↦ w sposób maksymalnie skuteczny, mierzalny i oparty na dowodach. Ale w gruncie rzeczy są to przekonania religijne: że jeśli stworzymy tę nową formę świadomości, to w pewnym sensie stworzymy „bogów". To jedna strona problemu tech-bałwochwalstwa.

Drugą jest to, że podejmowane na dużą skalę decyzje mogą mieć potężne konsekwencje dla wielkich grup społecznych w sferze pracy i relacji. Dzieje się tak dlatego, że wąska grupa bardzo bogatych i wpływowych osób jest tak podekscytowana wizją stworzenia „boga", że nie zastanawia się, jak wpłynie to na ludzkość. Nietrudno narysować tu paralelę z dawnymi bożkami i z tym, jak ludzie poświęcali swoją godność dla rzeczy, które sami budowali. Mówi o tym na przykład Greg Epstein, kapelan MIT i Harvardu, który jest świeckim humanistą.

Kolejną stroną są ludzie wrzuceni w ten świat. Jeśli masz technologię, która potrafi odpowiedzieć na każde pytanie, a ty możesz rozmawiać z nią bez końca, łatwo dojść do wrażenia, że wszystko wie i wszystko widzi. Wtedy bardzo łatwo zacząć ją idolizować. To już się dzieje.

Ostrzegałem przed tym, patrząc na rozwój chatbotów AI i towarzyszy społecznych AI. Gdy masz naprawdę samotnych ludzi, którzy zmagają się z utratą sensu lub celu w życiu, i dajesz im taką technologię, to – bazując na badaniach moich kolegów z Harvard Medical School – rośnie ryzyko doświadczeń urojeniowych i trudności z oceną rzeczywistości. Media coraz częściej opisują takie historie, są już blisko nas. Niedawno dostałem wiadomość od przyjaciela: jego znajomy tak uzależnił się od chatbota, że spędzał 12 godzin dziennie na interakcji; ukrywał to przed bliskimi, a potem przeżył załamanie psychiczne.

Obserwujemy więc mieszankę idolizacji i szukania w technologii mechanizmów na wypełnienie pustki, którą mogą wypełnić tylko inni ludzie, wspólnota i Bóg. To naprawdę przerażające.

W dodatku te technologie są celowo wyposażone w mechanizmy skłaniające do uzależnień. Nie bez powodu chatboty są tak pochlebcze. Zawsze udzielą odpowiedzi, zawsze pochwalą, są empatyczne. Jeśli dołożymy do tego wspomniany kryzys samotności, mamy przepis na łatwy substytut wymagających relacji międzyludzkich.

W swoim życiu doświadczyłem kilku typów relacji, które uważam za ważne. Miałem grupę przyjaciół, z którymi dzieliłem tę samą wiarę. W Ewangelii Mateusza jest mowa o tym, by napomnieć kogoś, gdy robi coś złego – najpierw sam na sam, a jeśli to nie pomoże, z przyjacielem. I umówiliśmy się, że będziemy się konfrontować, jeśli ktoś z nas zrobi coś głupiego i krzywdzącego.

Drugi rodzaj ważnych relacji to relacje mentorskie. Mam mentora, który zresztą jest mi też przyjacielem, ale potrafi być wobec mnie ostry, wymagający, a jednocześnie życzliwy. Takie relacje mentor–uczeń czy ksiądz–wierny są czymś niezwykle cennym.

A teraz nagle przemysł technologiczny zaczął promować AI jako mentora czy jako substytut rozwiązania kryzysu samotności. W „Antiqua et nova" najbardziej cenię to, że pokazuje różnicę pomiędzy prawdziwą relacją, jaką mamy z rodzicem, małżonkiem, przyjacielem, księdzem, a tym, co daje generatywna AI. W małżeństwie trzeba przepracować mnóstwo trudnych spraw i przejść przez różne tarcia. Podobnie w roli rodzica. Obawiam się, że im więcej będzie pseudorelacji z AI, tym mniej ludzie będą ćwiczyć umiejętność radzenia sobie z konfliktem i odpowiedzialnością.

Dolina Krzemowa jest środowiskiem technologiczno-inżynierskim, które najwyżej w hierarchii stawia użyteczność. **Człowiek jest dla niej tylko użytkownikiem.**

Czy to oznacza konieczność drastycznego ograniczenia technologii? Przecież Kościół i księża też w nich tkwią. Ewangelizują w mediach społecznościowych, korzystają z narzędzi AI.

Nie chodzi o wycinanie technologii, tylko o refleksję, do czego jej stosowanie może prowadzić. Widzę coraz więcej aplikacji tworzonych z myślą o codziennej pracy duszpasterskiej. Oczywiście – są wygodne. Jednak istnieje realne ryzyko, zgodnie z tym, co mówi „Antiqua et nova", że ludzie zaczną otrzymywać moralne wskazówki od czegoś, co nie ma żadnego moralnego autorytetu.

Sherry Turkle z MIT ma świetne spostrzeżenie: chatboty nie umierają, nie mają ciała, nigdy nie doświadczyły śmierci bliskiej osoby. Nie zrobiły czegoś złego, by poczuć winę, ani czegoś dobrego, by poczuć radość. Nie rozumieją życia moralnego człowieka.

Owszem, potrafią pobierać i porządkować treści, jedne lepiej, inne gorzej. Dlatego mogą być ciekawym narzędziem. Na przykład dawać szeroki dostęp do encyklik i nauczania Kościoła. Sam z nich korzystam. Kluczowy jest jednak sposób ich projektowania – tak, by nie udzielały rad. Narzędzia muszą pozostać narzędziami, a nie udawać osoby.

Nie tylko sięganie po cyfrowych doradców jest atrakcyjne. Mamy też wizje transhumanizmu. Obietnice pokonania natury i osiągnięcia długowieczności w świetnym zdrowiu i większej wydajności ciała.

Coraz więcej ludzi zwraca się ku transhumanizmowi. Ale jednocześnie obserwuję trend odwrotny: pęd do samodoskonalenia zmusza ludzi do zadawania fundamentalnych pytań. Co to znaczy być człowiekiem? Jaki jest mój cel? Co jest źródłem godności człowieka? Pytania o tożsamość i rozwój są dziś skarbnicą refleksji religijnej, filozoficznej i literackiej. To niezwykła szansa dla Kościoła, by odpowiedzieć na te pytania w sposób przekonujący, pozytywny, a jednocześnie intelektualnie bogaty. Stąd te zwroty ku wierze, choćby we Francji, gdzie rosną liczby chrztów.

Kościół, który naucza, że człowiek ma się upodabniać do Boga, stanowi przeciwwagę dla transhumanizmu, który próbuje dokonać przebóstwienia przy pomocy technologii. Tymczasem akcent powinien być położony na rozwoju duchowym – rozwoju w Bogu. Takie „poprawianie siebie" jest dostępne dla wszystkich, nie tylko dla miliarderów. Transhumanizm to ich nowa, elitarna religia, ale stworzona tylko dla nich. Kiedy oni mówią o biohackingu, nie wyjaśniają, w jaki

sposób kierowca ciężarówki w Oklahomie ma dostać nowe ciało i stać się „bogiem".

Oczywiście nie wszyscy ludzie technologii tak myślą. Są wśród nich także pobożni katolicy, są świeccy humaniści troszczący się o ekologię i pracowników, są Żydzi kierujący się głębokimi zasadami etycznymi. Ale są też bardzo wpływowi ludzie, którzy promują techno-utopizm wymieszany z ambicjami stania się nowymi bóstwami. W swoich wizjach łączą klasyczne idee Platona czy Bacona z filozofią obiektywizmu Ayn Rand. Do tego dochodzi quasialchemiczny nurt w stylu Bryana Johnsona, inwestora testującego na sobie transhumanistyczne idee, by osiągnąć długowieczność.

Język alchemii czy magii to strategia. Budowanie narracji, że mamy do czynienia z tak skomplikowanymi rzeczami, których zwykły człowiek nie jest w stanie pojąć.

Najbardziej niepokoi mnie jednak ideologia, która za najwyższe dobro uważa rozwój technologii dla technologii. Czyli materialny postęp, który oznacza ogromny majątek, choćby za cenę utraty pracy przez wiele osób. Widziałem to we wpisach Sama Altmana, prezesa OpenAI, że „czekają nas trudne lata, będzie dużo zamieszania". Odwaga, z jaką mówi się o kosztach społecznych, jest zdumiewająca.

Może więc powinniśmy zacząć od obnażania mitów, jakimi ta nowa tech-religia nas karmi?

Częścią tego, co czyni ich produkty tak atrakcyjnymi, jest aura magii. Powinniśmy uchylić tę zasłonę i pokazać, że to, co zbudowali, jest owszem imponujące, nawet niesamowite i może mieć wspaniałe zastosowania, ale to wciąż dzieło mózgu i rąk człowieka, a nie żadna magia. Nie jestem katastrofistą czy doomerem. Dlatego też doceniam, że Kościół patrzy na wyzwania obustronnie: pokazuje zagrożenia technologii, ale mówi też, że możemy projektować technologie inaczej, przyjmując inną filozofię.

Co to znaczy?

Jeśli chodzi o generatywną AI, to wciąż nie wiem, czy te rozwiązania jako całość są dla nas dobre, czy nie. Ale możemy je oceniać indywidualnie, pytając: czy to narzędzie rozwija twoje zdolności, czy je degraduje? Jeśli ich nie rozwiniesz – jak mówił za Arystotelesem Tomasz z Akwinu – nie możesz rozkwitać, nie możesz być szczęśliwy. To sedno: pewne technologie wzmacniają nasze zdolności, inne je osłabiają.



RONIVEY.COM

RON IVEY – doradca papieży Franciszka i Leona XIV ds. AI, były doradca Białego Domu. Na Harvardzie prowadzi badania nad więziami społecznymi i poczuciem przynależności. Współtworzy projekt Humanity 2.0 przy Papieskiej Akademii Nauk. Założył organizację non-profit Noasis Collaborative.

Które osłabiają najbardziej?

Wiem na pewno, że AI-dziewczyny i AI-chłopcy osłabiają nasze społeczne i emocjonalne zdolności, szczególnie u dzieci. Ja mam 47 lat, w tym 20 lat życia sprzed ery cyfrowej, mogę więc porównać te światy. Społeczna AI to nowe media społecznościowe. Nie straćmy kolejnego pokolenia, tak jak straciliśmy poprzednie na rzecz mediów społecznościowych.

Przykład: Mattel wprowadza na rynek lalki Barbie z AI dla dzieci w wieku mojej córki. Nawet jeśli nie będę chciał, by moje dziecko miało taką zabawkę, jest duże prawdopodobieństwo, że ktoś w sąsiedztwie ją kupi. Czyli i tak będzie miało z nią kontakt. Nie da się samodzielnie w pełni ochronić dzieci. Trzeba to robić na poziomie wspólnoty. Dlatego tak ważna jest choćby mała parafia. Równie ważna jak szczyty hierarchii. Zwykli księża są w samym środku wspólnoty, jaką jest lokalny Kościół. Widzą, co dzieje się tu i teraz, w konkretnej parafii. W Kościele zaczyna się ruch, by szybko tworzyć materiały dla księży i kleryków, które pomogą im odnaleźć się w nowej rzeczywistości. To także priorytet dla papieża Leona.

Imiennik obecnego papieża Leon XIII ogłosił w 1891 r. encyklikę „Rerum novarum" o katolickiej nauce społecznej na czas rewolucji przemysłowej. Czy potrzebujemy teraz nowej encykliki poświęcone AI?

Z mojej perspektywy – po rozmowach z badaczami AI, naukowcami społecznymi i ekonomistami – myślę, że tak. Oczywiście, można wykorzystywać na nowo bogactwo wcześniejszych encyklik, ale nie odpowiadają one na wszystkie współczesne pytania. Na razie jednak mamy „Antiqua et nova". Już sam tytuł tego dokumentu – „Dawne i nowe" – podkreśla nowość sytuacji: to, że nasz język i umysł wchodzą dziś w bezpośrednią interakcję z technologią.

Św. Augustyn mówił o *ordo amoris*, czyli porządku miłości, przejawiającym się w kochaniu właściwych rzeczy, we właściwy sposób i we właściwej hierarchii. Współczesny neuronaukowiec Iain McGilchrist widzi to w funkcjonowaniu mózgu: lewa półkula odpowiada za użyteczność i efektywność, a prawa za holistyczne spojrzenie na świat, empatię i symbole. Technologie i AI świetnie działają w obrębie tego, co robi „lewa półkula". Potrzebujemy natomiast zrozumienia, jak systemy, a zwłaszcza generatywna AI, wpływają na porządek miłości.

Widać chęć takiego zrozumienia wśród twórców AI?

Niepokoi mnie, że Dolina Krzemowa jest środowiskiem z natury technologiczno-inżynierskim, które najwyżej w hierarchii stawia użyteczność. Wszystko jest narzędziem, a każdy człowiek jest użytkownikiem. Jeśli dzięki chatbotowi mogę natychmiast otrzymywać odpowiedzi i stać się potężniejszym, to jak będę teraz patrzeć na drugiego człowieka? Jak będę go cenić? Jak mogę go kochać albo nienawidzić?

Dlatego nowa encyklika byłaby bardzo pomocna, żeby przepracować te kwestie, koncentrując się na najwyższych wartościach, jak miłość, prawda, piękno, cnota i świętość. To zupełnie inny poziom wyzwań niż fabryki z XIX wieku. Tamta rewolucja nie wchodziła w sam rdzeń naszego języka. Czyli w to, co fundamentalne dla bycia człowiekiem.

© Rozmawiała SYLWIA CZUBKOWSKA



DOMENA PUBLICZNA

SWAMI WIWEKANANDA
(1863-1902) – indyjski mistrz duchowy, propagator filozofii hinduistycznej (jogi i wedanty) na Zachodzie, jeden z głównych przedstawicieli renesansu bengalskiego.

TO TRZECIA CZĘŚĆ cyklu o historii medytacji. W poprzedniej (nr 50/2025) pisaliśmy o nowojorskim Towarzystwie Teozoficznym, bez którego nie da się zrozumieć dziejów i popularności medytacji w XX wieku, o Helenie Bławatskiej, która należała do czwórki jego założycieli, i o tym, jak teozofowie, łączący duchowość i nauki ścisłe, przyczynili się do rozwoju badań nad medytacją i neuronauką.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy o Soyenie Shaku, buddyjskim mnichu, który uważał, że medytację należy praktykować pośród codziennych zajęć, oraz o Nyanatiloce Mahatherze, byłym niemieckim benedyktynie, który przeszedł na buddyzm. Czyli o wkładzie buddyzmu zen w popularyzację medytacji na Zachodzie.

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Medytacja zmienia sens

MACIEJ BIELAWSKI

MEDYTACJA | To on sprawił, że w powszechnej świadomości medytacja i joga zostały ze sobą ściśle powiązane. Proponując drogę, która przez szereg ćwiczeń medytacyjnych prowadzi do zjednoczenia z Bogiem.

Swami Wiwekananda miał zaledwie trzydzieści lat, gdy 30 czerwca 1893 r. poleciał z Kalkuty do Chicago, by wziąć udział w tak zwanym Parlamencie Religii Świata, zdarzeniu skądinąd brzemiennym w skutki dla współczesnego dialogu między religiami (tym samym także dla duchowości, a więc i medytacji). Wystąpienie Wiwekanandy w Chicago wzbudziło wielki entuzjazm i otworzyło mu podwoje na salony Nowego Świata. Potem jego popularność i sława już tylko rosły.

Filozof i asceta

Spotykały się z nim wybitne osobistości amerykańskiej polityki, finansjery, kultury i nauki, jak choćby przedsiębiorca John Davison Rockefeller czy filozof James Williams, co zawsze było odnotowywane i nagłaśniane w gazetach.

W tym młodym, lekko otyłym i astmatycznym Hindusie było coś wyjątkowego. Obok niewątpliwego osobistego uroku i egzotycznego wyglądu, widać było w nim żar wizjonera i spokój osoby uduchowionej. A każda jego wypowiedź osadzona była w szerokim kontekście spotkania Wschodu i Zachodu, chrześcijaństwa i hinduizmu, współczesnej nauki i odwiecznej mądrości. Dodatkowo młody swami zapraszał swych słuchaczy do praktyki medytacji, której sam z zamiłowaniem często się oddawał. Zaobserwowano też, że w podróży zawsze miał na podorędziu „Bhagawadgitę" i „O naśladowaniu Chrystusa". Skąd mu to przyszło?

Wiwekananda, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Narendranath Datta, pochodził z Kalkuty, miasta – można rzec – stworzonego przez brytyjskich kolonialistów. Jego ojciec był adwokatem, a pradziadek – badaczem starożytnych pism hinduskich i mnichem (którym został już w podeszłym wieku). Młody Narendranath otrzymał staranne wykształcenie: był biegły w filozofii indyjskiej i europejskiej, znał sanskryt, muzykę i, podążając śladami ojca, miał zrobić karierę adwokacką. Jednak w wieku 18 lat zetknął się z wpływowym w jego środowisku ascetą i mistykiem Ramakrisznią Paramahansa (1836-1886), stając się wpierw jego uczniem, a potem zagorzałym propagatorem jego duchowości.

Upokorzenie i zwycięstwo

W tym momencie trzeba słów kilka powiedzieć o klimacie kulturowym, w którym to wszystko się wydarzało. Czyli o fenomenie tak zwanego „bengalskiego renesansu", jednego z głównych zarzewi rozwoju i rozprzestrzeniania się hinduizmu, w tym i medytacji, we współczesnym świecie. Upraszczając niemalże do przesady, można by powiedzieć, że podbój kolonialny Indii z jednej strony upokorzył tą wielowiekową i wspaniałą kulturę, lecz z drugiej strony także ją rozbudził i odnowił. Wyzyskiwani Hindusi, z pomocą Brytyjczyków, od-

grzebali z popiołów swoje dawne mądrości i pisma (nieco je tylko w swoich interpretacjach retuszując), po czym doszli do przekonania, że ich tradycja i kultura nie tylko w niczym nie ustępuje brytyjskiej, ale niejednokrotnie jest od niej wybitniejsza. Tak zrodziło się w ich sercach przekonanie o szczególnej misji przekazania tych wartości, nade wszystko religijnych i filozoficznych, Zachodowi.

I tak oto w hinduskim Bengalu, z największym miastem Kalkutą na czele, zrodził się prąd, w którym mieszało się stare i nowe, Wschód i Zachód, mistyka i współczesna nauka. A Ramakriszna stał się dla wielu symbolem wielkości i wyzwolenia duchowego, także dlatego, że łączył w swoim doświadczeniu i nauczaniu tradycje hinduizmu, chrześcijaństwa i islamu. Był medytującym ekstatykiem, który głosił, że „aby medytować, należy wycofać się w siebie, w jakiś zaciszny kąt lub do lasu. I zawsze należy rozróżniać między tym, co rzeczywiste, a tym, co nierzeczywiste. Tylko Bóg jest rzeczywisty, Wieczna Substancja; wszystko inne jest nierzeczywiste, czyli nietrwałe. Rozróżniając w ten sposób, należy strząsnąć z umysłu nietrwałe obiekty".

Lekarstwo dla świata

Młody Wiwekananda dostrzegł w tych ideach lekarstwo na bolączki współczesnych Indii i świata, dlatego uznał, że należy je wcielić w życie i rozpowszechnić. Po śmierci mistrza zaczął podróżować po Indiach, głosząc jego nauki, które oczywiście po swojemu dopracowywał. W dość krótkim czasie stał się postacią na tyle znaną, także dla obcokrajowców, że zaproszono go na wspomniany już Parlament Religii Świata w Chicago. Dodajmy jeszcze, dla biograficznej całości, że na kilka lat przed swą przedwczesną śmiercią założył The Ramakrishna Mission – rodzaj zakonnej organizacji, która dość szybko rozlała się po świecie, propagując neohinduizm, a w tym także praktykę medytacji.

Po trzech latach amerykańskich podbojów, wiosną 1896 r., Wiwekananda zatrzymał się na kilka tygodni w Nowym Jorku, gdzie na podstawie materiałów przygotowanych na potrzeby konferencji i kursów medytacji zredagował i wydał książkę „Raja Yoga", w której napisał, że „stan medytacyjny jest najwyższym stanem egzystencji" („*The meditative state is the highest state of existence*"). Chyba nikt wcześniej nie wypowiadał się o medytacji w takich superlatywach. Zdanie to zasługuje na kilka słów komentarza. Podobnie zresztą jak sama książka, która do dziś jest publikowana i tłumaczona, a w obrębie subkultury współczesnej jogi uznawana za klasyczną.

Wiwekananda o medytacji:

Stan medytacyjny to najwyższy stan egzystencji. Dopóki istnieje pragnienie, nie może nadejść prawdziwe szczęście. Jedynie kontemplacyjne, niczym obserwacja, badanie przedmiotów przynosi nam prawdziwą radość i szczęście. Zwierzę czerpie szczęście ze zmysłów, człowiek ze swojego intelektu, a Bóg z duchowej kontemplacji. Tylko dla duszy, która osiągnęła ten stan kontemplacji, świat staje się naprawdę piękny. (...)

Ten, kto porzucił wszelkie przywiązania, wszelki strach i wszelką złość, ten, którego cała dusza zwróciła się ku Panu, ten, kto znalazł schronienie w Panu, którego serce zostało oczyszczone, jeżeli z jakimkolwiek pragnieniem przyjdzie do Pana, dostanie to. Dlatego czcij Go poprzez wiedzę, miłość lub wyrzeczenie.

Swami Wiwekananda „Raja Yoga: Conquering the Internal Nature"

Kłopoty ze słowem

Zacznijmy od angielskiego słowa *meditation*. Gdy Wiwekananda się nim posługuje, ma na myśli sanskryckie *dhayana*, które etymologicznie wiąże się z patrzeniem. Swami te dwa słowa używa zamiennie i często zapisuje jedno obok drugiego, stawiając między nimi znak równości. Tym samym z jednej strony sankcjonuje takie tłumaczenie i od tej pory przyjmie się, że sanskryckie *dhayana*, jego chińska wersja *chan* oraz jego japońska translacja *zen* będą tłumaczone jako medytacja. Z drugiej zaś strony ten filologiczny zabieg zabarwił łacińskie *meditatio*, stojące u podstaw wszystkich jego zachodniojęzycznych wersji, nowym znaczeniem. Odtąd bowiem medytacja powoli przestanie być rozmyślaniem i refleksją, a zacznie stawać się doświadczeniem wykraczającym poza procesy myślowe, jak też ich wyciszaniem lub wygaszaniem.

Dodajmy, że nie był to wymysł Wiwekanandy, bo u podstaw jego propozycji stała dość długa i żmudna praca wielu filologów i badaczy myśli wschodniej, która takie właśnie znaczenie słowa *dhayana* proponowała w słownikach i tłumaczeniach. Była to cicha filologiczna rewolucja, która z kolei znalazła swoje odbicie w praktyce medytacji i życiu osób oddających się tej praktyce. Człowiek po części żyje na miarę języka, którym dysponuje.

Joga a medytacja

Drugim ważnym aspektem pracy Wiwekanandy było ścisłe powiązanie medytacji z jogą. Duża część jego książki zawierała angielskie tłumaczenie (czy raczej parafrazę) i komentarz do 193 aforyzmów przypisywanych starożytnemu Patandżalemu, a znanych jako „Jogasutry". Tekst ten został wydobyty z kalkuckich archiwów w połowie XIX wieku i stopniowo się rozpowszechnił, stając się w XX wieku kanonicznym tekstem współczesnej subkultury jogi. Wiwekananda sprawił, że w powszechnej świadomości medytacja i joga zostały ze sobą powiązane tak ściśle, że jeśli dziś myślimy joga, widzimy oczyma wyobraźni postać medytującą w pozycji lotosu. Dla wielu osób praktyka medytacji jest tożsama z praktyką i teorią jogi.

Wiwekananda uważał, że medytować – to usiąść w miejscu odosobnionym, skoncentrować się na oddechu, uspokajając tym samym ciało i umysł, aby móc bez przeszkód skupić się na przedmiocie medytacji, którym mogą być rzeczy zewnętrzne, wrażenia zmysłowe czy subtelne procesy umysłu. Takie ćwiczenie się w uważności powinno się kontynuować aż do chwili, gdy między przedmiotem medytacji i medytującym dojdzie do zjednoczenia. Przejście od przedmiotów zewnętrznych do wewnętrznych prędzej czy później ma jednak doprowadzić do zjednoczenia z Panem całej rzeczywistości (Puruszą lub Iśwarą), którego zachodni czytelnicy „Raja Yoga" utożsamiali z Bogiem.

Wiwekananda proponował drogę, na której przez kolejne ćwiczenia medytacyjne przechodziło się przez szereg stanów świadomości, osiągając w końcu wyzwalające zjednoczenie z Bogiem. Takie jest mniej więcej znaczenie jego wypowiedzi głoszącej, że „stan medytacyjny jest najwyższym stanem egzystencji". ©

Nie z głowy, lecz z serca

DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

DUCHOWOŚĆ | Wiara to nie zbiór zasad i obowiązków. Zamieńmy „chodzenie do kościoła” w autentyczne spotkanie z Bogiem w swoim sercu i w drugim człowieku.



Pewna siostra zakonna podczas jednego z synodów w Watykanie zapytała azjatyckiego biskupa, jak sądzi, dlaczego w Europie kościoły pustoszeją. Odpowiedział: „Macie puste kościoły, bo doprowadzacie ludzi do sakramentów. A my w Azji doprowadzamy ich do spotkania z żywym Jezusem. I ludzie pozostają z nim w relacji już na zawsze”.

Pewnie sprawa jest nieco bardziej złożona, niemniej myślę, że w tej obserwacji biskup stawia trafną diagnozę. Do sakramentów dodałbym jeszcze moralność. W Kościele europejskim zbyt słabo wprowadzamy ludzi, już u zarania drogi wiary, w doświadczenie żywego Boga. A jeśli tego doświadczenia zabraknie lub pozostaje ono na poziomie słów, a nie praktyki, wtedy nieuchronnie katolicyzm zamienia się w „chodzenie do kościoła” i moralizm. Zbawienie przesuwa się na „czas po śmierci” i uzależnione jest całkowicie od naszego postępowania, co notabene przejmujemy bezwiednie z oświeceniowego deizmu.

Kij i marchewka

W centrum duszpasterstwa i kaznodziejstwa pojawia się grzech i jego zwalczanie, a także zafiksowanie na ludzkiej seksualności. Przyjmowanie sakramentów staje się pustym rytuałem, a moralność, czyli podążanie drogą Ewangelii, nie jest odpowiedzią na miłość, lecz nakazem – przymusem motywowanym strachem i innymi formami religijnej manipulacji. Na scenę wkracza nieraz surowość i rygoryzm moralny. Ewangeliczne „czy chcesz” zamienione zostaje na „musisz, powinieneś, trzeba”. Ważniejszy staje się nasz dar ofiarowany Bogu niż jego dary, którymi nas bezinteresownie obsypuje. W takiej aurze zamiast wzrostu miłości kwitnie raczej metoda kija i marchewki. W zależności od sytuacji mówi się albo o karach, które czekają za nieposłuszeństwo Bogu, albo o nagrodach za dobre prowadzenie się, co nazywam w katolicyzmie „mentalnością zasługi”. Nic dziwnego, że wiele osób nie chce być w takim Kościele.

Trzeba przyznać, że stosunkowo młode Kościoły azjatyckie nie są obciążone „europejskością” chrześcijaństwa, a więc monarchią, feudalizmem, walką z reformacją, filozofią kartezjańską i różnymi herezjami, nie wspominając już o całej serii wyniszczających wojen, które „wsączają się” do praktyki Kościoła i radykalnie oddzielają to, co ludzkie, od tego, co boskie.

Sam przeżyłem kiedyś mały szok podczas mszy w Bostonie dla wspólnoty Koreańczyków. Zdumiało mnie, że ich dzieci były formowane w wierze przez rodziców, którzy uczyli ich także, jak rozumieć i przeżywać mszę. Potem dowiedziałem się, że Kościół w Korei przetrwał prawie 200 lat bez obecności jakiegokolwiek księdza. U nas przez całe wieki wiarę wspierała *civitas christiana*, która była próbą połączenia kultury, władzy, religii i porządku społecznego. Ten eksperyment, choć w przeszłości jakoś się sprawdzał, dziś nie zdaje egzaminu. Nawet jeśli niektórzy chcieliby go restaurować.

Banicja mistyki

Pytamy coraz częściej, nie tylko w Polsce, dlaczego młodzi, ale też i starsi ludzie odchodzą od praktyk religijnych, a nawet od wiary. Szukamy winnych w sekularyzacji, konsumpcjonizmie, zaniku poczucia grzechu, w tzw. cywilizacji śmierci. Myślę jednak, podobnie jak biskup z Azji, że jednym z głównych powodów tego kryzysu jest wypchnięcie mistyki z wiary i brak pozytywnego doświadczenia wspólnoty w Kościele. Mistykę rozumiem, za Katechizmem Kościoła Katolickiego, jako „postęp duchowy [który] zmierza do coraz większego zjednoczenia z Chrystusem” (p. 2014).

Nie ma tu mowy o żadnym elitaryzmie. Mistyka to doświadczenie Boga w naszym konkretnym człowieczeństwie i we wspólnocie. Mistyka to nie zbiór jakichś nadzwyczajnych przeżyć i prywatnych doświadczeń, lecz poznawanie Boga we wspólnocie. Mistycy piszą przede wszystkim o miłości Boga do człowieka, posługując się często językiem zaczerpniętym z małżeństwa. Uczą, jak można Go doświadczyć i w jaki sposób Bóg przeprowadza transformację ludzkiego serca, aby uczynić je podobnym do siebie.

Społeczno-kulturowe motywacje do wiary w Europie już dogorywają, zarazem pustka zostawiona po nich obnaża prawdę, że nie ma, poza nimi, innych motywów wiary. Jak młody człowiek ma nie nudzić się na Eucharystii, jeśli nie doświadczył dotknięcia Boga w swoim życiu? Nie przeszedł też prawdziwej inicjacji, a jedynie wdrożenie w religijne obowiązki. Jako dzieci uczymy się pacierza



BRICOLAGE / SHUTTERSTOCK

i na tym etapie pozostajemy często w dorosłości, wychodząc z błędnego założenia, że głębsza modlitwa, medytacja, *lectio divina* czy kontemplacja są tylko dla wybranych.

Lekcja ze Szwecji

Głębia i siła wiary nie zależą od zewnętrznych okoliczności. Nigdy nie istniały i nie zaistnieją idealne warunki do życia Ewangelią. Odwrotnie: Jezus zapowiada przeciwności i prześladowania. Kard. Anders Arborelius ze Sztokholmu podczas konferencji „Cisza, modlitwa i kontemplacja w zsekularyzowanym społeczeństwie" nazwał aktualne procesy społeczne „ciemną nocą wiary" i szansą dla Kościoła. Dlaczego? W szwedzkim społeczeństwie i kulturze (powoli widać to i u nas) nie można już się uchwycić religijnych znaków, symboli, marszów oraz wszelkich instytucjonalnych i kulturowych podpórek dla wiary, bo ich po prostu nie ma. Aby wierzyć w takim „pozbawionym" Boga klimacie, trzeba iść w głąb – wchodzić do swego serca, by tam spotykać żywego Boga.

Katolicy stanowią zaledwie 1 proc. populacji Szwecji. Są to głównie imigranci. Typową katechistką w szwedzkim Kościele – mówił kardynał – jest Polka, która wyszła za mąż za niewierzącego Szweda. Pochodząc z katolickiego kraju, musi całkowicie przestawić zwrotnice swojej wiary: troszczyć się o wewnętrzne doświadczenie Boga.

Kiedy to usłyszałem, pomyślałem, że nawet w Europie żyjemy w innych Kościołach. Arcybiskup Sztokholmu rozpoznaje w zsekularyzowanym społeczeństwie znak czasu, który umożliwi odszukanie Boga na nowo. U nas jest dokładnie odwrotnie. Tam, gdzie szwedzki kardynał dostrzega światło nadziei, my widzimy katastrofę i dekadencję. Z pewnością jedną z przyczyn skupienia kard. Arboreliusa na doświadczeniu Boga w jego diecezji jest to, że Kościół nie ma tam żadnych wpływów, nie otrzymał niczego od państwa i nie ma nic do stracenia. Nawet budynki i miejsca do odprawiania mszy świętej musi wynajmować. My wciąż jesteśmy na etapie obrony instytucji i majątku, co oznacza, że inne ważne sprawy schodzą w cień.

Wiara w rozum

Ale jest jeszcze inny wyróżnik europejskiego chrześcijaństwa. Jean Corbon, prezbiter Kościoła melchickiego, który opracował czwartą część Katechizmu Kościoła Katolickiego (robił to często w bejruckich schronach), pisze w książce „Liturgia. Źródło wody życia", że „człowiek modli się tak, jak żyje, a żyje tak, jak kocha". Modlitwa jest tu połączona nie z wiedzą, ale z miłością i życiem. Nie mam wątpliwości, że chrześcijaństwo europejskie zostało zdominowane przez przesadną wiarę w rozum. Wydaje nam się, że niemal wszystko zależy od wiedzy, to znaczy od głowy, upraszczając sprawę. Naiwnie myślimy, że dzieci będą wierzyć, jeśli wykują na pamięć regułki. Prawda jest taka, że jeśli gdzieś po drodze nie doświadczą sercem tego, czego zostały nauczone, do praktyk będzie je mobilizować tylko obowiązek narzucony przez starszych.

Co więcej, dostęp do materiałów w internecie utwierdza nas również w przekonaniu, że wysłuchanie podkastu, konferencji lub komentarza do czytań nakarmi wiarę. Owszem, solidna wiedza jest potrzebna, ale to nie wszystko. Jean Corbon ma rację. Fundamentalne dla życia chrześcijanina są relacje i miłość, nie sam rozum ani moralność. Wiedza jest tylko medium pozwalającym nawiązać relację, ale jej pogłębienie zależy od spotkań i ich jakości. Moralność chrześcijańska bez doświadczenia miłości jest tylko kolejnym systemem moralnym w świecie.

Rehabilitacja serca

Mam wrażenie, że posoborowi papieże dokonują stopniowej „rehabilitacji" człowieczeństwa, przywracając mu należne miejsce na drodze wiary. Jan Paweł II pisał w swej pierwszej encyklice, że „człowiek jest drogą Kościoła". Benedykt XVI, również w swoim pierwszym dokumencie „Deus caritas est", afirmuje erosa, czyli miłość ludzką, która stała się ofiarą manichejskiej podejrzliwości. Została oddzielona, także w Kościele, od boskiej miłości – *agape*, tak jakby istniały dwie przeciwstawne miłości. Franciszek w swojej ↦

↦ ostatniej encyklice „Dilexit nos” już na początku apeluje do Kościoła, aby „znów mówić o sercu” (9), ponieważ nastąpiła poważna „dewaluacja wewnętrznego centrum człowieka” (11). W Kościele używamy często wezwania, by „otworzyć nasze serca”, ale czy nie stało się ono pobożnym sloganem, z którym tak naprawdę nie wiemy, co mamy zrobić?

Serce jest tym w człowieku, co łączy różne jego „części” w jedno: rozum, uczucia, pragnienia, wolę, wyobraźnię. Dla nas samych jest tajemnicą, nieuchwytną dla rozumu. To raczej misterium, które odsłania się nam w doświadczeniu. Jean Corbon pisze we wspomnianej książce podobnie jak Franciszek: „Wszystko zależy od obszaru, na którym [człowiek] zwykle się skupia i który wyznacza sens wszystkiego: jego »ja« biologiczne lub »ja« społeczne, to, co wyrozumowane lub idealne, superego lub marzenie. We wszystkich tych peryferyjnych mieszkaniach człowiek jest jakby z wizytą – nie jest u siebie, jeszcze się nie odnalazł. Tylko w sercu jesteśmy sobą i takimi się stajemy. Serce jest miejscem autentycznego spotkania z sobą samym, z drugim człowiekiem, ale nade wszystko z żywym Bogiem”.

Droga do wnętrza

Dlatego wejście do swojego serca i patrzenie na siebie, na świat oraz innych ludzi z głębi serca chroni przed wszelkimi formami jednostronności i redukcji. W Ewangelii według św. Łukasza spojrzenie, zakorzenione w sercu Jezusa, dostrzega dobre pragnienie Zacheusza. Dlatego Jezus idzie do niego w gościnę, dostrzegając w nim człowieka, nie celnika. Z głębi serca Jezus modli się za Piotra, aby po doświadczeniu upadku umacniał braci w wierze (por. Łk 22, 32). Apostoł wspomniał na słowa Jezusa po swoim zaparciu dopiero wtedy, gdy „Pan obrócił się i spojrzał” na niego (Łk 22, 61).

Natomiast moralizm wyraża się w spojrzeniu zupełnie przeciwnym: najpierw w formie pretensji faryzeuszów, że Jezus przyciąga „nieczystych”: „Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi” (Łk 15, 2), a potem w szemraniu, że się wprosił do domu Zacheusza: „Do grzesznika poszedł w gościnę” (Łk 19, 7). Człowiek zredukowany zostaje do grzechu, staje się bezimienną częścią tłumu.



BRICOLAGE / SHUTTERSTOCK

Chrześcijaństwo europejskie zostało zdominowane przez przesadną wiarę w rozum i wiedzę. **Myślimy, że dzieci będą wierzyć, jeśli wykują na pamięć regułki.**

Franciszek pisze, że Jezus „zawsze poszukuje, zawsze jest blisko, nieustannie otwarty na spotkanie” (35), a przy tym papież dodaje, że „tego wszystkiego jako człowiek nauczył się od Maryi (...), która od najmłodszych lat uczyła Go, wraz ze św. Józefem, bycia uważnym” (42). W „Dilexit nos” znajdziemy wskazówki, jak „wchodzić” do naszego serca. Dzieje się to, gdy w ciszy stawiamy „pytania, które mają znaczenie”: o naszą tożsamość, o to, czego tak naprawdę szukamy w życiu, co jest naszym najgłębszym pragnieniem itd. Otwieramy serce dla nas samych w kontemplacji, prostej obecności przed Bogiem.

Spojrzenie miłości

Z tego samego powodu mistyczne spojrzenie z poziomu serca inaczej niż moralizm postrzega ludzki grzech. W tekstach znanych mistyków, jak św. Jan od Krzyża, Teresa z Ávili, św. Teresa z Lisieux, a także bł. Jan Duns Szkot i św. Ignacy Loyola, uderza przekonanie, że to nie grzech jest największym problemem człowieka. On jest już skutkiem. Mistycy skupiają się na tym, co może do niego prowadzić, a są to przywiązania, pożądania i nasze upodobania, zwykle zabarwione mocno uczuciami.

Moralizm upatruje źródeł ludzkiego grzechu głównie w pysze, egoizmie i buncie człowieka. Natomiast katechizmowa definicja czerpie z doświadczenia mistyków: „Grzech jest brakiem prawdziwej miłości względem Boga i bliźniego z powodu niewłaściwego przywiązania do pewnych dóbr” (KKK, 1849). Wielokrotnie zadawałem ludziom pytanie podczas różnych rekolekcji, co jest powodem ludzkiego grzechu. Nikt nie odpowiedział, że przywiązanie do dobrych rzeczy. Bogaty młodzieniec z Ewangelii zachowywał przykazania i pragnął czegoś więcej, ale nie wiedział, że jest przywiązany do bogactw. Franciszek pisze, że „był pełen ideałów, ale bez siły, aby zmienić swoje życie” (39). Odszedł smutny nie dlatego, że był złym człowiekiem. Jezus „spojrzał na niego z miłością”. Może po pewnym czasie, dzięki temu spojrzeniu „odwiązał się” od bogactwa?

Jeśli w Kościele nie zaczniemy od małego uczyć postawy kontemplacji i uważności, jeśli nie odwrócimy uwagi od nieszczęsnego moralizmu i grzechu, i nie zobaczymy wpierw dobroci człowieka, także tego, który się zmaga, gubi, jest ślepy, smutny, samotny i odrzucony – to pozostaną nam tylko krzyczące ambony napominające puste ławki. Kto bowiem będzie chciał w kółko słuchać, jaki to jest grzeszny, nieczysty, niegodny, niezasługujący na miłość. Skoro o złu tego świata może codziennie przekonać się w mediach.

© DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

O. WACŁAW

Oszajca: *Groźny zaimek*



„Jesteście szczęśliwi, gdy was znieważają, prześladują i oczerniają z mojego powodu. Cieszcie się i radujcie, bo wielka jest wasza zapłata w niebie. Tak samo przecież prześladowano proroków, którzy byli przed wami". Jeśli czujemy się właśnie tak, że jesteśmy prześladowani, i to bardzo niesprawiedliwie, i dłużej już tej niesprawiedliwości znieść nie możemy, a obiecane niebo to rzecz niepewna, to jak najszybciej pomyślmy: dlaczego te prześladowania na nas spadły? Może się bowiem okazać, że jest akurat odwrotnie, że jesteśmy prześladowcami, a nie prześladowanymi. Że tak może być, przekonać się można w celi więziennej z zablendowanymi oknami.

Tam osadzony może dojść do przeświadczenia, że jego niedoli nie jest winien sędzia, adwokat, żona czy kochanka itd., ale on sam. A jeśli już czymś zgrzeszył, to tym, że spartaczył robotę i dał się złapać. Poza murami więzienia też bywa podobnie. Tyle tylko, że na wolności taka postawa względem ludzi i rzeczy przybiera formę, i tylko formę, bezgranicznej czułości, życzliwości, misyjności, wreszcie ewangelizacyjnej gorliwości wynikającej z głębokiej wiary, ideowości – np. patriotyzmu. W imię tych wartości żąda się od innych poświęcenia, ofiar, samozaparcia aż do samozatracenia. Świadczy o tym tragiczny los wielu wspólnot kościelnych i świeckich.

Liderzy tych tzw. wspólnot – ale i małżonkowie, rodzice, nauczyciele, duszpasterze – wmawiają swoim i obcym, że ich szczęście bezwzględnie zależy od uszczęśliwiania innych. Przede wszystkim liderów. Reszta świata, łącznie z Bogiem, właściwie może nie istnieć. Dlatego w tych grupach unika się jak ognia zaimka pytajnego „dlaczego", słusznie podejrzewając, że to małe słówko potrafi burzyć wszelkie falsyfikaty, w tym, jak to ktoś powiedział, pluszowe krzyże cierpiętników. Co nie znaczy, że nie cierpią oni naprawdę i nie wymagają pomocy. Spróbujmy więc tym razem odczytać osiem błogosławieństw, biorąc jako klucz interpretacyjny ów zaimek pytajny „dlaczego". Dlaczego ci, którzy mieliby więcej niż prawo do bycia nieszczęśliwymi, mogą być i są szczęśliwymi? Szczęśliwymi w każdym czasie i miejscu. Nie wbrew nieszczęściom, ale dzięki nieszczęściom. Oksymoron? Nie, Ewangelia. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Daj nam króla!*



Dzięki liturgii dane nam jest w ostatnich tygodniach uczestniczyć w historii Izraela, opisanej w 1. i 2. Księdze Samuela. Dobrze jest sobie przypomnieć, że to także nasza historia. Uczestniczymy w niej, gdy – poddając się w liturgii Duchowi Świętemu „Dokonawcy" – odnosimy ją do naszego tu i teraz. Ósmy rozdział 1. Księgi Samuela pokazuje nam starszyznę izraelską przychodzącą do Samuela z żądaniem: „Ustanów nam króla, aby nami rządził, tak jak to jest u innych narodów (...) Król będzie nad nami, abyśmy byli jak wszystkie narody, aby nas sądził nasz król, aby nam przewodził i prowadził nasze wojny" (1 Sm 8, 4-20).

Oto Samuel się zestarzał i przekazał misję sędziego w Izraelu swoim dwóm synom. Ci jednak szybko okazali się nie na miarę swojego ojca, dopuszczając się wielu niegodziwości i nadużyć. Ustanowiony przez Boga porządek przestał „działać" – tak mają prawo myśleć starsi żydowscy: to niewątpliwie piękna idea mieć samego Boga za Króla – oprócz Niego zaś jeszcze sędziego, który jedynie z mandatu Boga, wsparty, ale też i ograniczony Jego autorytetem, wydaje polecenia... Cóż, kiedy najwyraźniej ten model nie działa? Może okazał się zbyt wymagający? Zbyt idealistyczny? Skoro tak, to trzeba sięgnąć po to, co „sprawdzone" u sąsiadów i co tak po prostu, „po ludzku" działa. Nie widzą problemu w tym, że rezygnują z tego, co właśnie czyniło ich innymi („Nie tak będzie między wami" – zob. Mk 10, 43). Mieli być inni – nie by się wywyższać, ale by pokazywać kierunek i ideał. Jak pisał Miłosz: „ponad to, jak jest, wskazywać, jak być powinno".

Wiele razy stajemy przed tą pokusą: skoro ideał okazał się „za trudny" (w sensie: ktoś mu się sprzeniewierzył), trzeba zrezygnować z ideału i dostosować się do „normalności" panującej w świecie. Rady ewangeliczne (ubóstwo, posłuszeństwo i czystość) – ktoś jeszcze jest przekonany do ich sensu? Czy nie będzie lepiej po prostu przestać o nich mówić? Pokój i rezygnacja z przemocy? Podczas gdy cały świat zbroi się po zęby? Miłosierdzie? Gościnność wobec migrantów? Jest tyle chrześcijańskich wartości i postaw, które się wymykają myśleniu i działaniu w kategoriach skuteczności i oczywistości według praw rynku i realnej polityki. Nie rezygnujmy z nich tylko dlatego, że świat nas uzna za „cudaków" lub hipokrytów. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

ATOMOWA POLISA

Szwajcaria, Szwecja, Tajwan, RPA czy Australia: po 1945 r., w czasie globalnej konfrontacji z komunizmem, wiele krajów przymierzało się do pozyskania bomby atomowej. Dlaczego im się nie udało?

JACEK STAWISKI

Wszystko zaczęło się w roku 1945. Wraz z końcem II wojny światowej ruszył globalny wyścig o to, który kraj – prócz Stanów Zjednoczonych – będzie posiadać broń atomową. Już pod koniec lat 40. miał ją Związek Sowiecki. Wielka Brytania stała się mocarstwem atomowym w 1952 r., Francja w 1960 r., a komunistyczne Chiny w 1964 r.

W roku 1968 tych pięć państw podpisało traktat ONZ o nierozprzestrzenianiu broni atomowej (zwany traktatem NPT). Zakładał, że inne kraje nie mogą wejść w posiadanie broni atomowej, zaś kraje już ją posiadające zobowiązują się, że nie zaatakują państw, które jej nie mają. Jak wiele takich umów, także traktat NPT okazał się pobożnym życzeniem: w latach 70. XX w. broń atomową pozyskały Indie, Pakistan i Izrael, a w latach 90. Korea Północna.

Co nie znaczy, że inne nie próbowały – traktując posiadanie bomby atomowej jako najlepszy sposób na odstraszanie możliwych agresorów, zwłaszcza Moskwy i Pekinu.

To będzie opowieść o nich.

IMPULS DLA SZWAJCARII | Dziś może brzmieć zaskakująco: w tamtym czasie, w apogeum zimnej wojny, wysiłki na rzecz zdobycia bomby atomowej podjęły kraje, których byśmy o to raczej nie podejrzewali: Szwecja i Szwajcaria. Oba kulturowo i gospodarczo związane z Zachodem, ale neutralne (poza NATO), postrzegały Moskwę jako zagrożenie.

Tymczasem przekonanie o rychłym wybuchu nowej wojny w Europie rosło już w latach 50. XX w. Konfrontacja stawała się coraz bardziej namacalna i USA zdecydowały się rozmieścić swoją broń atomową w Europie Zachodniej. Dla Szwajcarii był to ważny sygnał.

– W latach 50. dowództwo armii szwajcarskiej było przekonane, że taktyczna broń jądrowa wkrótce stanie się częścią standardowego arsenału wojsk na całym świecie, i że rozprzestrzenianie broni atomowej na świecie stało się niemożliwe do zatrzymania – mówi „Tygodnikowi" szwajcarski historyk Michael Fischer.

W końcu dekady lat 50. rząd Szwajcarii, chcąc osłonić kraj przed inwazją ze strony komunistycznego imperium, opowiedział się za posiadaniem „najskuteczniejszej broni, aby zachować naszą niepodległość". Wszystko oficjalnie pod hasłem obrony neutralności.

Fischer podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem", że choć Szwajcaria zachowywała neutralność, to potajemnie współpracowała z USA i innymi krajami Zachodu – na wypadek gorącej wojny między NATO a blokiem wschodnim.

Szwajcarskie władze i wojskowi rozważali nawet zakup broni nuklearnej. Lotnictwo szwajcarskie miało zostać wyposażone we francuskie samoloty Mirage, zdolne dolecieć do Moskwy i zrzucić bomby atomowe na terytorium Układu Warszawskiego – sojuszu krajów Europy Wschodniej podporządkowanych Moskwie.

TAJNY PROGRAM | Plany te nie zostały zrealizowane. W końcu lat 60. Szwajcaria podpisała traktat NPT (choć ratyfikacja nastąpiła dopiero w 1977 r.). Fischer podkreśla, że przystąpienie do NPT postrzegano jako wymuszone, pod naciskiem. Jednak tajny program zbrojeniowy prowadzono dalej i zakończono go dopiero w 1988 r., gdy zimna wojna zaczęła dobiegać końca.

Szwajcarski rozdział w tej historii nie został jednak całkiem zamknięty. W 2017 r. w ONZ podpisano nowy traktat o zakazie broni atomowej. Ma on znaczenie symboliczne – nie przystąpiły do niego kraje oficjalnie mające tę broń (USA, Rosja, Chiny, Francja, Wielka Brytania), jak też te faktycznie ją posiadające (Izrael, Pakistan, Indie, Północna Korea).

Nie podpisała go także Szwajcaria. W grudniu 2025 r. grupa 130 tys. Szwajcarów sygnowała petycję, domagającą się od swojego rządu przystąpienia do tego układu. Jednak rząd federalny jest temu przeciwny. Oficjalnie argumentuje, że zobowiązania w ramach traktatu NPT i tak nie pozwalają na podjęcie wysiłków na rzecz uzyskania broni nuklearnej.

NUKLEARNA SZWECJA? | Także rząd w Sztokholmie rozważał budowę własnej broni atomowej, już od lat 40. XX w. Władze cywilne i armia zlecały studia o warunkach technologicznych i finansowych budowy takiego arsenału wobec zagrożenia z Moskwy.



DOMENA PUBLICZNA

Test amerykańskiej bomby atomowej na poligonie w stanie Newada, 1958 r.

Również Szwecja, mimo neutralności, w czasie zimnej wojny współpracowała w sprawach wojskowych z USA i NATO. Amerykanie byli świadomi, że Szwecja może zdobyć broń nuklearną, co – jak pisze historyk Thomas Jonter z Uniwersytetu w Sztokholmie – byłoby zachętą dla innych państw, by zbudować własny arsenał atomowy, choćby minimalny.

Waszyngton liczył się z tym, że skoro nawet pokojowa Szwecja, otwarta na współpracę poza blokami wojskowymi, rozważa zabezpieczenie się w tak radykalny sposób, to inne kraje mogą nie mieć skrupułów.

W pewnym momencie zimnej wojny szwedzkie analizy zakładały, że na wyposażeniu armii będzie nawet 100 taktycznych głowic jądrowych. Jednak w dekadzie lat 60., gdy mocarstwa posiadające broń atomową zaczęły uszczelniać system jej rozprzestrzeniania i rosła niechęć opinii publicznej do atomu, naciski USA na Szwecję sprawiły, iż jej rząd podpisał traktat NPT.

KWESTIA WNIOSKÓW | Z sytuacji, która powstała w Europie po inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r., Szwecja i Szwajcaria wyciągnęły odmienne konkluzje. Szwedzi porzucili neutralność i zdecydowali się, wraz z Finlandią, na wstąpienie do NATO. Obecność w Sojuszu daje im – jak na razie – protekcję nuklearną ze strony Stanów. Natomiast Szwajcaria pozostaje neutralna i nie zamierza integrować się z NATO.

Taką postawę popiera prawie 90 proc. Szwajcarów. Mimo to w kraju wyczuwa się atmosferę niepewności i zagrożenia. W ostatnich dniach 2025 r. szef sztabu armii Thomas Suessli powiedział, że neutralność nie gwarantuje dziś Szwajcarii bezpieczeństwa. Neutralność musi – jego zdaniem – być oparta na zdolności do obrony. ↦



EVANS / THREE LIONS / GETTY IMAGES

Spodziewając się wojny atomowej w Europie, Szwedzi pracowali nad własną bombą i równocześnie budowali system ochrony dla ludności. Na zdjęciu: budowa schronu przeciwatomowego przeznaczonego dla 20 tys. osób. Okolice Sztokholmu, 1955 r.

↦ Tymczasem, dowodził Suessli, dziś kraj nie byłby zdolny do odparcia dużej agresji i dlatego konieczne jest znaczące podniesienie wydatków na armię.

TAJWAŃSKI ZDRAJCA | W przeszłości broń atomową usiłowały zdobyć (bądź to rozważały) także kraje spoza kontynentu europejskiego – w tym Tajwan, Australia i Południowa Afryka.

Na Tajwanie prace takie były wręcz zaawansowane, co niepokoiło Amerykanów. Wiedzieli o nich, gdyż jeden z głównych tajwańskich ekspertów atomowych Czang Hsien Ji podjął współpracę z CIA i w latach 80. ujawnił sekrety programu nuklearnego. Potajemnie wywieziony z Tajwanu przez CIA, osiadł w USA. W 2025 r. mówił w wywiadzie dla CNN, że nie czuje się zdrajcą, i że postąpił słusznie.

Jednak część Tajwańczyków uważa, że Czang Hsien Ji zdradził swój kraj i pozbawił go najlepszego sposobu na obronę przed inwazją Pekinu. Naciski USA w końcu zimnej wojny wymusiły bowiem na Tajwanie zakończenie programu nuklearnego. Pamięć o nim jest jednak żywa, a dyskusja o nim wraca dzisiaj – w obliczu narastającego zagrożenia ze strony Chin.

ARSENAŁ Z PRETORII | Po II wojnie światowej Republika Południowej Afryki była wprawdzie krajem zorientowanym politycznie i gospodarczo na Zachód, ale od lat 60. znajdowała się w coraz większej izolacji – za sprawą systemu apartheidu. Zakładał on, że władza zawsze będzie w rękach białej mniejszości kosztem czarnej większości.

Zarazem RPA bała się komunizmu – wpływy Moskwy rosły w wielu krajach Afryki, wybijających się na niepodległość po czasach kolonializmu – i czuła potrzebę zapewnienia sobie bezpieczeństwa na własną rękę. Zwłaszcza od lat 70. zagrożenie to było realne: w krajach otaczających RPA, Angoli czy Mozambiku, władzę objęły siły prosowieckie.

Rząd w Pretorii pracował więc potajemnie nad budową broni atomowej, prawdopodobnie wspólnie z Izraelem. Są przesłanki, że oba kraje przeprowadziły w 1979 r. próbę atomową na południowym Atlantyku (historycy nie są pewni, czyja to była próba – czy wspólna, czy też izraelska, a wsparta logistycznie przez RPA).

Po zakończeniu zimnej wojny i rozpoczęciu przemian demokratycznych w RPA, prezydent Frederik de Klerk, inicjator odejścia od systemu segregacji rasowej, potwierdził istnienie niewielkiego arsenału atomowego i jego likwidację. RPA stała się przykładem państwa, które odeszło od broni atomowej. Od 1991 r. kraj jest sygnatariuszem układu NPT.

NA ANTYPODACH | Po 1945 r. Australia znalazła się w trudnym położeniu. Wcześniej silnie związana z Wielką Brytanią, czuła się bezpieczna. Jednak z II wojny światowej Londyn wyszedł osłabiony, brytyjskie imperium się rozpadało – i Australia stała się zależna w kwestiach bezpieczeństwa od USA. Nie nastąpiło to jednak od razu.

Zagrożeniem dla kraju-kontynentu była ekspansja komunizmu w Azji i na Dalekim Wschodzie. Australijska historyczka Christine Leah mówi „Tygodnikowi", że po 1945 r. w kraju panował pogląd, iż powinien on mieć zdolności odstraszania atomowego. W tej kwestii Canberra współpracowała z Londynem, ale Brytyjczycy korzystali tu ze wsparcia Amerykanów. Stany zaś zablokowały im możliwość przekazywania dalej wrażliwych danych.

Christine Leah zauważa też, że w początkach zimnej wojny broń atomowa była postrzegana inaczej niż dziś – traktowano ją jako rozszerzoną broń konwencjonalną (zmieniło się to w latach 60.).

Prowadząc badania nad bronią nuklearną, Australijczycy jednocześnie zacieśniali relacje w sferze bezpieczeństwa z USA. Ostatecznie w latach 70., po amerykańskich naciskach, zrezygnowali z tych prac. W australijskiej doktrynie strategicznej wygrała opinia, że Australia powinna polegać na parasolu nuklearnym USA. – Australia tak deklaruje, a Amerykanie temu nie zaprzeczają – mówi Leah.

POLISA | Dziś, w sytuacji niestabilności w świecie i zmieniających się sojuszy, wiele krajów, które boją się o swoje bezpieczeństwo, może odczuwać pokusę zdobycia dla siebie broni atomowej – jako najmocniejszej „polisy ubezpieczeniowej".

Najbardziej drastycznym dla nich przykładem jest los Ukrainy. Po rozpadzie Związku Sowieckiego odziedziczyła ona część jego arsenału atomowego, po czym oddała go Rosji – w zamian za gwarancje bezpieczeństwa od zachodnich mocarstw atomowych i od Moskwy. Rosyjska agresja – najpierw od 2014 r. na Krymie i w Donbasie, a od lutego 2022 r. już przeciwko całej Ukrainie – pokazała papierowy charakter tych gwarancji.

Można sądzić, że wiele państw wyciąga dziś własne wnioski z tej sytuacji.

©℗ JACEK STAWISKI

NAUKA

KTO CZUJE BEAT

Do przełomu w naszym rozumieniu umysłów zwierząt czasem może doprowadzić śmieszny film udostępniony na YouTubie.

KATARZYNA DZIADOWICZ



Snowball w tańcu. Nagrania tej papugi stały się jednym z hitów internetu

IRENA SCHULZ / BIRD LOVERS ONLY RESCUE SERVICE INC. / AFP / EAST NEWS

Jego życiorys jest znany badaczom tylko częściowo – kiedy go poznali, miał 11 lat i za sprawą filmiku umieszczonego na YouTubie właśnie stawał się gwiazdą. W tle nagrania słychać przebój „Another One Bites The Dust", a na pierwszym planie Snowball prezentuje swoje taneczne umiejętności. Tupie w rytm muzyki i z wyczuciem kiwa głową, na której sterczy żółty grzebień przypominający irokeza – cecha charakterystyczna kakadu żółtoczubej, papugi w naturze zamieszkującej Australię i okolice. Snowball należy do podgatunku Eleonora, a jego prezencja przydaje mu popularności. Jedno z nagrań zdobyło 8,5 mln wyświetleń.

Kiedy poprzedni właściciel oddawał papugę do ptasiego azylu, przekazał nowym opiekunom, że Snowball lubi tańczyć. Zauważył to tuż po kupnie ptaka, kiedy Snowball miał około sześciu lat i kiwał głową w rytm piosenek Backstreet Boys. Właściciel razem z córką zaczęli regularnie tańczyć z papugą. Naukowcy spekulują, że ich ruchy rękami mogły zainspirować Snowballa do włączenia unoszenia stóp do repertuaru swoich rytmicznych ruchów.

Tańczył, jak mu zagrali

Jeszcze zanim około 2007 r. w sieci pojawił się filmik ukazujący intrygujące zdolności Snowballa, psycholog Aniruddh Patel z Tufts University zwracał uwagę, że choć przetestowaliśmy różnorakie umiejętności zwierząt w wielu badaniach, to nadal zbyt ↦

↦ mało wiemy o tym, czy potrafią synchronizować swoje ruchy z rytmem muzyki.

Potem Patel wraz ze współpracownikami zobaczyli nagranie popularnej papugi – i postanowili przeprowadzić eksperymenty. Aby przekonać naukowców, Snowball musiał pokazać, że potrafi dopasować ruchy do rytmu utworów o różnym tempie. Bo może w czasie nagrania tylko naśladuje rytmiczne ruchy kogoś, kto stoi za kamerą? A może autorzy nagrania dobrali piosenkę na tyle zręcznie, że ruchy papugi po prostu wyglądają na zsynchronizowane?

W ściśle kontrolowanych warunkach badacze odtwarzali Snowballowi 11 wersji fragmentu piosenki Backstreet Boys „Everybody", którą Snowball dobrze znał. Każda wersja miała nieco inne tempo. Snowball pomyślnie przeszedł test – badacze ustalili, że potrafił dostosować ruchy do 9 fragmentów o różnym tempie – wyłączając dwa najwolniejsze. Podkreślili także, że kiedy Snowball już zsynchronizował swoje ruchy z rytmem muzyki, to robił to z dużą precyzją – moment najniższego wychylenia głowy przypadał dokładnie na uderzenia rytmiczne.

Również zainspirowani popisami Snowballa Adena Schachner ze współpracownikami na podstawie własnych eksperymentów z ptakami oraz systematycznego przeglądu filmów z YouTube'a udokumentowowali zdolność do tańca w rytm muzyki u 14 gatunków papug i jednego słonia. Ich artykuł ukazał się w tym samym numerze czasopisma „Current Biology" z 2009 r., co publikacja zespołu Petela. Pląsający Snowball zdobił okładkę.

Strategiczne połączenie

Z jednej strony umiejętność Snowballa ludziom może wydawać się niezbyt imponująca – w końcu swoje ruchy z rytmem potrafi zsynchronizować większość z nas. Z drugiej – to zdolność, która wielu badaczom wydawała się wyróżniać nas w królestwie zwierząt i zdecydowanie nie jest w nim powszechna. Dopasowanie ruchu do rytmu muzyki wymaga wyekstrahowania go ze złożonego bodźca słuchowego, przewidzenia, jak będzie przebiegał w przyszłości, i dostosowania ruchów do tych przewidywań – to złożony proces.

Jeszcze zanim Patel zobaczył filmik tańczącego Snowballa, spekulował, że jednym z czynników, które mogły sprzyjać pojawieniu się u ludzi tak rozwiniętej zdolności dotrzymywania muzyce rytmu, może być umiejętność tzw. wokalnego uczenia – czyli naśladowania nowych, zasłyszanych dźwięków. Bez tej umiejętności nie moglibyśmy się uczyć mówić ani śpiewać – moglibyśmy generować jedynie wrodzone dla naszego gatunku repertuary dźwięków.

Nasze poczucie rytmu jest efektem dorastania w kulturze, w której dzieci są powszechnie poddawane treningowi – np. w rytmicznych grach.

Opanowanie tej umiejętności wymaga słuchania dźwięków i modyfikowania ich artykulacji na bieżąco w taki sposób, by rozbieżności pomiędzy tym, jak brzmimy, a tym, ja powinniśmy brzmieć, stawały się coraz mniejsze. Według Patela ten proces u ludzi (np. dzieci uczących się mówić) jest możliwy lub łatwiejszy dzięki połączeniom w mózgu obwodów neuronalnych odpowiedzialnych za wykonywanie ruchu z obwodami odpowiedzialnymi za przetwarzanie dźwięków.

Zdaniem badacza to samo przystosowanie umożliwia zsynchronizowanie swoich ruchów z rytmem muzyki – dlatego Patel postawił hipotezę, że tylko gatunki, które opanowały zdolność wokalnego uczenia się, będą w stanie poruszać się w rytm muzyki. To zawęża grono kandydatów na rytmicznie tańczące zwierzęta do niektórych ptaków (ptaków śpiewających, papug, kolibrów) i nielicznych ssaków (człowiek, walenie, niektóre płetwonogie).

Udokumentowanie tej zdolności u papug w 2009 r. wspierało hipotezę Patela. Ale wtedy pojawiła się Ronan.

Do lwa?

Lwy morskie są chętne do współpracy, łase na przysmaki otrzymywane za wykonanie zadania i... nie papugują. Dotychczas nie udowodniono, że są zdolne do wokalnego naśladowania zasłyszanych dźwięków. Stąd Ronan, samica lwa morskiego, wydała się badaczom z zespołu Petera Cooka odpowiednią kandydatką do badań – gdyby udało się wykazać, że jest ona zdolna do kiwania głową w rytm muzyki, hipoteza Patela zostałaby podważona.

Ronan najpierw była nagradzana rybą za kiwanie głową podczas prezentacji bodźców wizualnych, a następnie odtwarzano jej proste dźwięki (jeszcze nie piosenki). W ten sposób mogła się nauczyć, jakiej reakcji się od niej oczekuje. Później dostawała smakołyk za reakcje jak najbardziej zsynchronizowane z uderzeniami rytmicznymi, a następnie stopniowo podwyższano oczekiwania – otrzymywała rybę dopiero za 20 rytmicznych kiwnięć z rzędu.

Samica robiła systematyczne postępy. Po półrocznym treningu (90 sesjach treningowych) nauczyła się synchronizować swoje ruchy nawet z nowym, niećwiczonym wcześniej rytmem. W końcu wzięła udział w sesjach, które miały przygotować ją do poruszania się w rytm piosenek. W fazie testowej usłyszała lubianą przez Snowballa „Everybody" oraz „Boogie Wonderland" (zespołu Earth Wind and Fire).

Choć wyniki Ronan nie dorównywały ludziom pod względem precyzji czy stabilności, to zdaniem autorów spełniają kryteria zsynchronizowania ruchu z rytmem muzyki.

Muzyczna szkoła życia

Poza sukcesami Ronan na niekorzyść hipotezy Patela działały także m.in. ptaki śpiewające. Mimo posiadania zdolności do uczenia wokalnego, nie prezentują one umiejętności zsynchronizowania ruchu z rytmem, nawet jeśli miały dużą styczność z muzyką. W świetle tych wszystkich doniesień psycholog z Tufts University osłabił swoją hipotezę – przyjął, że przystosowanie mózgu do uczenia się wokalnego jest konieczne (choć niewystarczające), by pojawiła się spontaniczna zdolność wyczuwania rytmu w dźwiękach i poruszania się zgodnie z nim. Zatem niektóre gatunki nieuczące się wokalnie mogą nauczyć się trafiania w rytm – ale nie będą skłonne do robienia tego spontanicznie, jak np. ludzie i papugi.

Przez dwanaście lat, które upłynęły od pierwszego eksperymentu, Ronan wciąż (choć nieregularnie) uczestniczyła w treningu poruszania głową do rytmu. W tym czasie rozwinęła się także metodologia badań nad zwierzętami. Pojawiły się np. sugestie, że jeśli chcemy porównywać

wyniki zwierząt i ludzi, to powinniśmy lepiej dobierać ruchy, którym się przyglądamy. Osoby badane zwykle prosi się, by wystukiwały rytm palcami – a to dla ludzi ruchy mniej podatne na zaburzenia i łatwiejsze w kontroli niż np. ruchy szyi i głowy o dużym zakresie, wykonywane przez lwa morskiego. Zaproponowano więc, że porównanie byłoby bardziej sprawiedliwe, gdyby ludzie odmierzali rytm poprzez ruch przedramienia.

Wiosną 2025 r. w „Scientific Reports" ukazał się artykuł opisujący wyniki starcia Ronan i kilku osób, które miały swoimi ruchami wyznaczać rytm prostych rytmicznych dźwięków przypominających uderzenia metronomu. Ronan wypadła co najmniej tak dobrze jak większość badanych. Od poprzednich doniesień poprawiła się zarówno stabilność dopasowania jej ruchów do rytmu, jak i precyzja trafiania w uderzenia rytmiczne.

Czy porównywanie wyuczonych umiejętności Ronan do umiejętności ludzi, którzy wydają się naturalnie wyłapywać rytm, ma sens? Zdaniem autorów badania tak – bo nasze „naturalne" poczucie rytmu jest efektem dorastania w kulturze, w której dzieci są powszechnie poddawane treningowi. To doświadczenie niemal uniwersalne na całym świecie. Nawet jeśli dzieci nie uczestniczą w formalnej edukacji muzycznej, to nie tylko otaczają je dźwięki, ale także są zachęcane, żeby na nie reagować, np. angażując się w różnego rodzaju gry rytmiczne. Ich umiejętności też rozwijają się z czasem – stopniowo uczą się zgrywać ruchy z rytmem, i poprawia się ich precyzja. Około ósmego roku nieźle sobie radzą, ale nawet w wieku dwunastu lat mogą nie osiągać w tym zadaniu stabilności i elastyczności typowej dla dorosłych.

Małpują, ale nie papugują

Naturalnymi podejrzanymi o zdolność do uczenia się wokalnego i posiadanie poczucia rytmu są także nasi najbliżsi krewni – szympansy. Chociaż nie są znane z wokalnego uczenia się, to komunikują się za pomocą wokalizacji i przejawiają pewne zachowania rytmiczne, jak dudnienie o konary drzew. W obszernym podsumowaniu dotychczasowych badań, opublikowanym w 2025 r. w „American Journal of Primatology", zespół Jamesa Brooksa pisze jednak, że wciąż brakuje solidnych dowodów na to, że szympansy potrafią zsynchronizować ruchy z zewnętrznym rytmem. By to rozstrzygnąć, potrzeba więcej badań.

Natomiast makaki, choć nasze linie ewolucyjne rozdzieliły się przeszło 25 mln lat temu (a nie zaledwie 6-8 mln lat temu, jak z szympansami), często są wykorzystywane w badaniach ze względu na ich podobieństwo do ludzi w zakresie neuroanatomii i działania układu ruchowego. Są ciekawym obiektem badań związanych z synchronizacją z rytmem, bo są inteligentne, ale nie uchodzą za gatunek zdolny do wokalnego uczenia się.

Pierwsze wyniki badań makaków sugerowały, że dopasowanie ruchów do prostego rytmu może być poza ich zasięgiem. Jorge Gámez z zespołem postanowili jednak zmodyfikować metodę nauczania i podjąć kolejną próbę. Stwierdzili, że dotychczasowy sposób przyznawania małpom nagród skłaniał je do skoncentrowania się tylko na zachowaniu poprawnych odstępów pomiędzy uderzeniami, a nie trafianiu w *beat*. Postanowili więc uzależnić przyznawanie nagród od tego, jak blisko uderzeń rytmicznych trafiały naciśnięcia przycisku przez makaka. Dodatkowo, opracowali system dostarczający makakom bieżącej informacji zwrotnej o ich skuteczności.

W artykule opublikowanym w 2018 r. w „Annals of the New York Academy of Sciences" badacze donoszą, że w ten sposób makak królewski nauczył się w miarę precyzyjnie dopasowywać swoje ruchy palca do prostych dźwięków przypominających uderzenia metronomu. Jego naciśnięcia odrobinę wyprzedzały uderzenia rytmiczne, więc nie pozostawił wątpliwości, że przewidywał czas jego wystąpienia. Co równie istotne, makaki wykorzystywały nabyte zdolności także do dopasowywania się do nowego tempa, z którym nie miały okazji ćwiczyć. Zaś w listopadzie 2025 r. Vani G. Rajendran ze współpracownikami donieśli w „Science", że nauczyli makaki wystukiwania rytmu piosenki!

Najnowsze doniesienie wydają się więc potwierdzać, że klucz do poznania zdolności rytmicznych zwierząt może tkwić w metodach nauczania, ale także ich testowania. Każde kolejne przybliża nas do zrozumienia fenomenu synchronizacji z rytmem muzyki, bez którego nie byłoby na przykład tańca.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Teoria godna zaufania



MATERIAŁY PRASOWE

WSTĘPNIAK DO NUMERU „Current Biology" ze Snowballem na okładce (zdjęcie powyżej) nieprzypadkowo napisał Tecumseh Fitch – jeden z czołowych badaczy w dziedzinie ewolucji języka naturalnego. Wielu autorów (np. Patel, Fitch, a także Michael Arbib czy Steven Mithen) na różne sposoby wplata poczucie rytmu do swoich scenariuszy ewolucji języka, podkreślając m.in., że bez umiejętności precyzyjnej organizacji sygnałów dźwiękowych w czasie, jaką zapewnia poczucie rytmu, nie byłaby możliwa mowa, albo że poczucie rytmu jest warunkiem dobrej koordynacji wspólnych działań w grupie, które są naturalną przestrzenią dla rozwoju złożonej komunikacji.

W NIECO innym podejściu do ewolucji języka podkreśla się jednak, że przynajmniej niektórym zwierzętom wcale nie brakuje umiejętności poznawczych, by rozwinąć język, tylko raczej naturalnych motywacji do bliskiej współpracy z członkami swojego gatunku. Przykładem takiego podejścia jest koncepcja Platformy Zaufania, rozwijana przez Sławomira Wacewicza i Przemysława Żywiczyńskiego z UMK w Toruniu. Ich zdaniem język opiera się na „tanich" sygnałach (nie musimy się bardzo wysilić, by przekazywać informacje), a taki system nie mógłby wyewoluować nawet u najbardziej inteligentnych zwierząt w środowisku nastawionym na rywalizację, jaka cechuje np. stada małp.

ZWOLENNIKÓW koncepcji „motywacyjnych" nie dziwią więc coraz to nowe doniesienia o tym, że zwierzęta wykazują jakąś umiejętność poznawczą – np. takie jak to z początku stycznia, gdy Shany Dror i współpracownicy opisali w „Science" grupę kilkunastu psów (w większości: rasy border collie), które nauczyły się znaczeń nowych słów jedynie dzięki temu, że podsłuchiwały swoich opiekunów. ©℗ŁK

KULTURA

NA PUNKTY

ALEKSANDRA KORCZAK, POLONISTKA:

Szkoła podstawowa nie docenia dzieci, które lubią czytać. Nie punktuje nawet tego, że młodzież rozumie przeczytane teksty. Po co nam zatem kanon lektur?

MONIKA OCHĘDOWSKA: Co się czyta w podstawówce na lekcjach polskiego?

ALEKSANDRA KORCZAK: Na listach lektur dla klas 4-6 pojawia się trochę tekstów klasyfikowanych jako literatura dla dzieci i młodzieży: „Kajko i Kokosz", „Opowieści z Narnii", „Hobbit". Natomiast w klasach 7-8 literatury młodzieżowej jest bardzo mało i są to właściwie wyłącznie lektury uzupełniające. A tekstami obowiązującymi do egzaminu ósmoklasisty są w głównej mierze utwory obecne niegdyś dopiero w programie szkoły średniej, pisane dla dorosłych czytelników – i to w czasach dawno minionych – na przykład „Pan Tadeusz", „Zemsta", „Dziady".

A to źle, że minionych?

Warto się zastanowić, czy musimy nadal pracować z dziećmi nad „Pinokiem" Carla Collodiego, powieścią napisaną w wieku XIX, skoro mamy baśnie, opowiadania i utwory literackie bliższe współczesności.

Końcówka wieku XIX, kiedy ukazywały się przygody włoskiego pajacyka, nie jest ciekawa?

Nawet jeżeli jest, to dzieci się tego nie dowiedzą, bo lektury w perspektywie historycznoliterackiej interpretuje się dopiero na etapie szkoły ponadpodstawowej. Podstawa programowa dla szkoły podstawowej nie przewiduje rozległego omawiania utworów literackich w kontekście epok, w których powstały, co więcej – egzamin ósmoklasisty nie punktuje takiej wiedzy.

Poza tym, żeby porozmawiać na przykład o „Balladynie" Słowackiego jako utworze romantycznym, trzeba by poświęcić temu cały osobny cykl lekcji, na co oczywiście nie ma czasu.

Dlaczego?

Ponieważ na lekcjach języka polskiego w szkole podstawowej trzeba dzieciom przekazać ogrom wiedzy teoretycznoliterackiej. Wyjaśnić, czym są opowiadanie, dramat i powieść, nauczyć gramatyki, środków stylistycznych, części mowy i zdania. Nie ma czasu na rozmowę o tym, czym charakteryzowały się renesans czy romantyzm.

A trzeba koniecznie wiedzieć, kiedy żył Słowacki, by czytać „Balladynę"?

Bez wiedzy o epoce trudno w ogóle zrozumieć literaturę okresu zaborów i teksty z odległej przeszłości, nie mówiąc o ich docenieniu. Należy mieć świadomość, czym była oświeceniowa sielanka, żeby skojarzyć, dlaczego w utworze Słowackiego pojawia się Filon, który tak kwieciście się wypowiada i łatwo poddaje zauroczeniu.

I trzeba być po kursie literatury romantycznej oraz lekcjach historii na temat rozbiorów, by dostrzec w „Balladynie" wątek patriotyczny. A to jest wiedza, którą uczniowie zdobywają dopiero w szkole średniej. W klasach 7-8 mogą się skupić co najwyżej na chronologii wydarzeń dramatu. I właśnie taka wiedza – dotycząca wyłącznie świata przedstawionego – jest weryfikowana na egzaminie ósmoklasisty.

Książki czyta się po to, by wykuwać kolejność zdarzeń?

Program skupia się na treści lektur, a nie na ich znaczeniu. Załóżmy, że na egzaminie ósmoklasisty pojawia się „Zemsta". Pytania zostaną najpewniej skonstruowane tak, że punkty zdobędą nie uczniowie rozumiejący, czym było sarmackie sobiepaństwo i że dramat Fredry jest satyrą na nasze narodowe przywary, takie jak kłótliwość. Lepiej poradzą sobie ci, którzy wykuli – nawet z bryków – imiona bohaterów oraz przebieg wydarzeń w utworze.

A jak się rozmawia z dziećmi o II części „Dziadów" Mickiewicza?

Chciałabym powiedzieć, że w kontekście dawnych obrzędów pogrzebowych – to byłoby nawet interesujące. Można by przy tej okazji tanatopedagogicznie porozmawiać o umieraniu, utracie, bo dla wielu osób, szczególnie młodych, to temat tabu, zupełnie nieoswojony. Ale po pierwsze, brakuje na to czasu, a po drugie – nie każdy nauczyciel ma wystarczający autorytet, by móc elastycznie traktować podstawę programową i poświęcać uwagę zagadnieniom wykraczającym poza wymagania egzaminacyjne. A o „Dziadach" rzeczywiście trudno rozmawiać bez wprowadzenia do etyki romantyzmu. Pamiętasz pojawiającego się w dramacie ducha Zosi?

DANIEL DMITRIEW / FORUM



Egzamin ósmoklasisty w Szkole Podstawowej nr 3 w Lublińcu, 14 maja 2024 r.

„Kto nie dotknął ziemi ni razu, ten nigdy nie może być w niebie”.

Winą dziewczyny było to, że się nie zakochała – dlaczego? Dlatego, że w czasach Mickiewicza miłość była uważana za doświadczenie formujące, bez którego nie można uzyskać pełni człowieczeństwa. Całkiem wygodnie objaśnia się to w szkole średniej w kontekście nazwy epoki: „romantyzm”. Ten termin ma oczywiście znaczenie gatunkowe, ale nie tylko, chodzi też o szczególny poziom wrażliwości, rozemocjonowania, ekspozycji na miłosne uniesienia.

Nawet jeśli mimochodem nauczyciel o tym wspomni uczniom podstawówki, to, przypominam, nie jest to i nie może być główny temat lekcji. W świetle wymagań systemowych najlepiej dla dzieci, by z tego wszystkiego zapamiętały kolejność pojawiania się zjaw albo trzymane przez nie rekwizyty, by umieć rozpoznać lekturę po fragmencie. Za to są punkty.

Przy okazji mieszamy trochę w głowach czytelniczek i czytelników.

Skutki czytania XIX-wiecznych tekstów w oderwaniu od czasów ich powstania są zwykle takie, że dziecko, idąc do szkoły średniej, właściwie nie wie, kto żył i tworzył pierwszy: Kochanowski, Mickiewicz czy Sienkiewicz. Pewnie Sienkiewicz, skoro akcja „Quo Vadis” rozgrywa się w starożytności.

Co zatem dzieci powinny czytać w szkole podstawowej, żeby ich lektury miały sens?

Przede wszystkim na tym etapie nauki nie warto narzucać konkretnych tytułów. Decyzję należałoby pozostawić szkołom, a nawet poszczególnym klasom oraz ich nauczycielkom i nauczycielom. Nie zapominajmy, że poloniści dysponują wystarczającą wiedzą, by ocenić, na jakie lektury gotowi są ich uczniowie i uczennice, co ostatnio ich zajmuje, jakie tematy i autorzy rozbudzą ich wyobraźnię albo pomogą wykształcić nawyk czytelniczy.

Dziś, z powodu natłoku lektur obowiązkowych, brakuje na takie rozpoznania czasu oraz, przede wszystkim, zaufania ze strony twórców podstawy programowej, co prowadzi do ograniczania nauczycielskiej autonomii – oczywiście ze szkodą dla podopiecznych. Ta potrzeba kontroli jest zresztą szerszym odzwierciedleniem społecznego stosunku do zawodu nauczycielskiego, ale to już temat na osobną rozmowę.

Ja w tym roku najchętniej sięgnęłabym po lekturę dotyczącą wojny lub uchodźstwa. To tematy, przed którymi nie warto uciekać, ponieważ dotykają także dzieci. ↦

↦ Nie w każdym domu rozmawia się o takich sprawach, dlatego lekcje języka polskiego mogłyby się stać narzędziem umożliwiającym młodzieży świadomy kontakt z problemami współczesnego świata.

Rozwiniesz?

Uważam, że warto byłoby przeznaczać całe cykle lekcji na konkretne zagadnienia. W ich ramach można by w ciekawy sposób zestawiać literaturę dawną z tekstami współczesnymi: prozą, poezją czy komiksami, które uczniowie szczególnie cenią, a także z nieliterackimi tekstami kultury.

O wojnie można przecież rozmawiać nie tylko za pośrednictwem literatury, lecz także analizując fragmenty filmów czy inne przekazy audiowizualne, gry komputerowe. To temat na tyle rozległy, że pozwala korzystać z bardzo różnorodnych narzędzi dydaktycznych, a ich dobór powinien zależeć od zaplecza merytorycznego nauczyciela. Przykład: jeśli polonistka poświęciła swoją pracę magisterską „Pamiętnikowi z powstania warszawskiego" Mirona Białoszewskiego, dlaczego nie miałaby włączyć tego tekstu do prowadzonych przez siebie lekcji?

Lekturami powinny być zatem nie tylko książki.

Mimo że w moim życiu literatura odgrywa ogromną rolę i chętnie myślę o kanonie lektur jako spisie problemów do opracowywania przy pomocy dzieł literackich, to nie wymagam od swoich uczniów, żeby lubili czytać za wszelką cenę. Myślę, że w XXI w. żaden humanista nie powinien dla zasady wywyższać czytelnictwa ponad inne dziedziny twórcze.

Jeżeli uczeń nie czyta, ale lubi oglądać filmy czy seriale, to też jest przecież pasja, którą można mu pomóc pielęgnować, coś polecać, proponować nowe modele interpretacyjne, pomówić o znaczeniu kolorów, kadrowania.

Byłoby też fajne, gdyby dzieciaki nie tylko były zachęcane do czytania, ale żeby co najmniej dwa razy w roku wychodziły do teatru, galerii sztuki. Albo miały na lekcjach polskiego warsztaty kolażu czy performensu.

Lekcje języka polskiego powinny kształcić świadomych odbiorców kultury.

Tymczasem służą wyłącznie przygotowaniu do egzaminu.

Mówisz o lubieniu czytania za wszelką cenę. A czy szkoła dziś w ogóle czuje się odpowiedzialna za rozbudzanie sympatii do książek?

Nie docenia ani nie punktuje się tego, że ktoś lubi czytać i zna teksty spoza obowiązkowej listy lektur. Załóżmy, że uczennica w wypracowaniu maturalnym sięgnie po cytaty z poezji Rilkego albo odwoła się erudycyjnie, na poziomie olimpijskim, do esejów Zbigniewa Herberta. Efekt? Będzie miała „wyzerowane" wypracowanie, bo nie wykazała się znajomością żadnej z lektur obowiązkowych.

Wypracowania nie poddaje się ocenianiu, jeżeli nie zawiera wyraźnego odwołania do lektury obowiązkowej?

I to takiego odwołania, które pozwala sądzić, że dziecko rzeczywiście „zna" tę lekturę, a więc, jak już powiedziałyśmy, musi to być koniecznie odwołanie do elementów świata przedstawionego albo losów bohatera – taka „faktoza". Nie liczy się znajomość ogólnej idei, nikogo nie interesuje, jak i czy dziecko rozumie książkę.

To musi być też konkretna książka, konkretny tytuł. Za czasów gimnazjalnych pozycja lekturowa to była „wybrana powieść historyczna Henryka Sienkiewicza". Dzisiaj? Jeśli maturzystka odwoła się do „Pana Wołodyjowskiego" zamiast „Potopu", też jej wyzerują pracę.

Widzisz jakieś uzasadnienie dla takiego sposobu uczenia i egzaminowania?

Niestety wygląda to na próby centralizacji oświaty i kontrolowania nauczycieli i nauczycielek. Ale to także kwestia hierarchizacji celów i wartości. Jeżeli naszym nadrzędnym celem jest przekazywanie romantycznej tradycji i poznawanie literatury jako kodu kulturowego, a wszystko inne schodzi na dalszy plan, to w porządku, możemy się dalej nie przejmować tym, czy dzieci lubią czytać, poprzestając na tym, by upchnąć w programie jak najwięcej wieszczów romantycznych do wykucia na pamięć. No i selekcjonując utwory, które uważamy za nośniki odpowiednich idei czy też wzorców.

Tradycja nie jest ważna?

Ważne jest, by dzieci rozumiały wagę tej tradycji. A to jest możliwe tylko wtedy, gdy omawianie lektur jest połączone ze zdobywaniem wiedzy historycznej. Szkoła podstawowa tego nie zapewnia.

A jak jest z czytaniem wierszy?

Egzamin ósmoklasisty jest mocno nastawiony na weryfikowanie znajomości wybranych dzieł epickich i dramatycz-

Co czytały dzieci w szkole podstawowej?

W ROKU 1949 w spisie lektur obowiązkowych dla klas V–VII nie ma żadnego tekstu należącego do literatury dziecięcej lub młodzieżowej. Dominują książki o charakterze ideologicznym i klasyka. Dopiero w lekturach uzupełniających znajdujemy kilka pozycji pisanych z myślą o młodych czytelnikach.

W ROKU 1959 w klasach V–VII w lekturach obowiązkowych dominują dzieła poetów romantycznych oraz pozytywistów. Literatura dziecięca jest słabo reprezentowana, a młodzieżowej nie ma w ogóle. Pojawia się ona dopiero na listach lektur uzupełniających.

W ROKU 1971 wprowadzono podział lektur uzupełniających na grupy A (klasyka) i B (literatura współczesna). Choć w grupie B pojawiają się utwory młodzieżowe (np. „Ten obcy", „Sposób na Alcybiadesa"), to w klasach VII i VIII lektury obowiązkowe to nadal „dorosła" klasyka literatury polskiej (Kochanowski, Mickiewicz, Prus, Sienkiewicz).

PROGRAM Z LAT 80. ogranicza udział powieści dziecięcych i młodzieżowych zarówno w spisach lektur obowiązkowych, jak i uzupełniających. W klasach VII i VIII odchodzi się od powieści młodzieżowych na rzecz dzieł Długosza, Reja czy Paska. Jedynymi powieściami w spisie obowiązkowym, które można wiązać z literaturą młodzieżową,są „Kamienie na szaniec" i „Mały Książę".

nych, o poezji mówi się bardzo mało. Zakładam, że ona jest zbyt „podstępna" w kontekście egzaminacyjnym – nie da się przecież łatwo zmierzyć i ocenić indywidualnego odczytania wiersza.

Teoretycznie w podstawie programowej wspomina się o autorach i autorkach liryki, ale prawda jest taka, że nauczyciel może spokojnie poświęcić jedną godzinę lekcyjną, by „odhaczyć" cały temat poezji w podstawówce.

Można to zmienić?

Wyobrażam sobie, że podstawa programowa dla klas 4-8 składa się z jednej strony A4, na której wymieniono, powiedzmy, dziesięć najważniejszych celów nauki języka polskiego. Załóżmy, że jeden z tych celów zakłada, że „uczeń kończący szkołę podstawową ma wrażliwość poetycką i potrafi opowiedzieć o wybranym wierszu". Mnie to by wystarczyło. Możemy na takim zapisie wspaniale pracować, sprawiając, że uczeń podstawową wrażliwość poetycką nabędzie, a dodatkowo będzie rozumiał, że wiersz nie musi się rymować ani poddawać jednoznacznej interpretacji, że może opisywać również nasze dzisiejsze uczucia, nawet jeżeli powstał dawno temu.

Przygotowywałam do egzaminów wielu uczniów i wiele uczennic, którzy lubili czytać wiersze, a nawet sami podejmowali próby poetyckie. Dla mnie, jako polonistki, to ogromna wartość, niestety wiem, że moi uczniowie nie mogli liczyć z tego powodu na dodatkowe punkty na maturze.

Na liście lektur szkoły podstawowej nie ma wierszy, ale też utworów napisanych przez kobiety.

Pisarki i ich teksty znajdują się na liście lektur uzupełniających. W kanonie dla podstawówki są również autorki poezji, która – powtórzmy – nie jest postrzegana jako obowiązkowa do zdania egzaminu.

Jak to odbierają uczniowie i uczennice?

Spróbujmy się wczuć w potencjalną uczennicę: jak ważna musi być literatura napisana przez mężczyzn, skoro wszystkie lekcje polskiego mają prowadzić do tego, bym umiała właśnie o niej opowiedzieć na egzaminie? Analogicznie, pojawia się pewnie w jej głowie pytanie: czy my w Polsce mamy w ogóle jakieś ważne pisarki?



JAKUB SZAFRAŃSKI

DR ALEKSANDRA KORCZAK jest nauczycielką języka polskiego, etyki i filozofii. Wyróżniona w Konkursie Nauczyciela Roku, nominowana do nagrody Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata", a także do nagrody prof. Romana Czerneckiego za publicystykę na rzecz polskiej oświaty. Zasiadała w jury literackim Polskiej Sekcji IBBY, jest członkinią Pracowni Badań Literatury dla Dzieci i Młodzieży na Uniwersytecie Warszawskim oraz współdziałaczką SOS dla Edukacji. Jako ekspertka do spraw lektur szkolnych oraz edukacji antydyskryminacyjnej współpracowała m.in. z Centrum Edukacji Obywatelskiej, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Alternatywną Listą Lektur, Fundacją Wolne Lektury, Szkołą w Chmurze, Młodymi Horyzontami i Nowym Teatrem. Niedawno ukazała się jej książka „Bezradne i romantyczne. Bohaterki lektur dla szkoły podstawowej" (Krytyka Polityczna).

Nazywasz to *hidden curriculum*, ukrytym programem nauczania.

Szkoła jest środowiskiem, w którym – także mimochodem, poza tym, co podano w podręcznikach – uczymy się różnych rzeczy o świecie, społeczeństwie, hierarchiach. Co nam mówi o świecie spis lektur, w którym ani jednej lektury obowiązkowej nie napisała kobieta? Otóż mówi nam on, że literaturę naprawdę ważną tworzą wyłącznie mężczyźni. Co jest oczywiście nieprawdą.

Tak, mężczyźni faktycznie tworzyli w przeszłości literaturę piękną, głównie jednak dlatego, że kobiet nie dopuszczano do głosu. Mimo to mamy przecież wybitne pisarki, których twórczości nie traktuje się jako ważnej, obowiązkowej. Podobnie jest zresztą w szkole średniej. Nie ma tam już Nałkowskiej, Kuncewiczowej, Dąbrowskiej. „Nad Niemnem" też nie ma.

Może jest tak, że mamy książki napisane przez facetów, ale opisują oni wspaniałe postaci kobiece.

Pamiętaj, że pracujemy na literaturze, która powstała dawno temu, siłą rzeczy jest ona więc nośnikiem stereotypów, także płciowych. W lekturach szkolnych dla szkoły podstawowej nie napotkamy żadnych bohaterek, które są wykonawczyniami jakichś zawodów. Kobiety nie pracują, nie zarobkują, nie są samodzielne ekonomicznie. Prowadzą dom, gotują, wychowują, a raczej pielęgnują dzieci, bo kobiety w szkolnych lekturach zwykle nie są przewodniczkami duchowymi, nie rozmawiają z dziećmi o tym, kim warto być w życiu. One po prostu karmią i sprzątają.

Albo szukają mężów.

Tak, przesądzające dla młodych bohaterek jest znalezienie partnera. Szczęśliwe zakończenie jest równoznaczne z tym, że tworzy ona związek romantyczny. Nawet we współczesnych lekturach kładzie się duży nacisk właśnie na to, że kobiety mają partnera albo są na tyle atrakcyjne fizycznie, aby go znaleźć. Bohaterki lektur muszą być piękne. A jeżeli nie są piękne, muszą się takimi stać.

Weźmy Anię Shirley, która jest rudowłosa, piegowata i bardzo mocno odstaje urodą od norm, którymi kieruje się społeczność Avonlea. Już pod koniec książki mówi się o tym, że Ania wyładniała, bo włosy jej ściemniały. Są „kasztanowate".

A jeśli bohaterka nie jest piękna?

To najpewniej jest podła. Jak każda sprawująca władzę kobieta. Weźmy postać Balladyny albo Białą Panią z Narnii. Co możemy o nich powiedzieć?

Czarne charaktery.

Gdy o tym opowiadam, ludzie zakładają, że jestem zwolenniczką całkowitego zburzenia kanonu lektur i tego, by wprowadzić indeks ksiąg zakazanych. To nie tak: po prostu chciałabym, żebyśmy uczynili z zawartych w nich stereotypów temat lekcji.

Dzieci prędzej czy później spotkają się z takimi terminami jak „feminizm" czy „stereotyp", a nawet poznają tak straszliwe słowo jak „gender". Byłoby dobrze, żeby znały ich definicję słownikową i rozumiały, co to wszystko w ogóle znaczy. ↦

↦ **Czego jeszcze brakuje w szkole?**

Brakuje czasu na przygotowywanie jakościowych zajęć lekcyjnych. Patrząc na własną karierę nauczycielską, wyraźnie widzę, jak silnie moja sytuacja socjoekonomiczna wpływała na sposób prowadzenia lekcji oraz na zakres działań możliwych poza nimi. To, czy nauczycielka może przygotować z uczniami spektakl lub realizować dodatkowe projekty, zależy od wielu czynników: liczby szkół, w których pracuje, dodatkowych zajęć po lekcjach, obowiązków rodzinnych – zwłaszcza opieki nad małymi dziećmi – a także liczby nadgodzin i zastępstw.

Nieprzypadkowo pensum nauczycielskie ustalono na 18 godzin tygodniowo, choć wszyscy wiemy, że rzeczywisty czas pracy jest znacznie dłuższy. Przy 18 lekcjach co najmniej drugie tyle czasu zajmują przygotowanie zajęć, diagnozowanie umiejętności uczniów oraz udzielanie informacji zwrotnej. Sprawdzanie arkuszy próbnych egzaminów... To ogromne obciążenie. Gdy normą staje się prowadzenie nie 18, lecz 26 lekcji polskiego tygodniowo, odbywa się to kosztem jakości pracy i realnych możliwości wzbogacania procesu dydaktycznego.

A co z egzaminami ósmoklasisty?

Uważam, że egzaminy kończące szkołę podstawową są zbędne, a na pewno nie powinny mieć scentralizowanej formy ani być oceniane w obecny sposób – i mówię to jako egzaminatorka maturalna. Rezygnacja z takiego egzaminowania dałaby większą swobodę w doborze lektur i metod pracy na lekcjach języka polskiego. Zamiast koncentrować się na punktach i wynikach, moglibyśmy z większym spokojem i otwartością rozmawiać o literaturze.

Skorzystałyby na tym również rodziny, które dziś wydają znaczne środki na korepetycje. Ich głównym celem jest przecież przygotowanie dziecka do egzaminu kończącego szkołę, która otwiera drzwi do wymarzonego liceum, a nie realne pogłębianie kompetencji czytelniczych.

©℗ Rozmawiała
MONIKA OCHĘDOWSKA

Wielki Timothée

MICHAŁ WALKIEWICZ

PORTRET | Ma na koncie trzy oscarowe nominacje, status ikony popkultury oraz reputację gościa, który pogodził entuzjastów „Call of Duty" z fanami Jeana-Luca Godarda.

Powiedz mi, w którego Timothée-go Chalameta wierzysz, a powiem ci, kim jesteś. Wy znacie go pewnie jako Paula Atrydę, syna Boga Imperatora oraz mesjasza Diuny. To również wasz ulubiony już-nie-milenials-jeszcze-nie-zetka, a także facet, który symbolicznie zamknął erę maczyzmu w popkulturze. Ewentualnie – przyszły zdobywca Oscara. Dzięki roli bezwzględnego ping-pongisty w „Wielkim Martym" Josha Safdiego (w polskich kinach już od piątku 30 stycznia) odbiór statuetki pozostaje czystą formalnością.

Ja znam go jednak jako użytkownika ModdedController360 – dzieciaka z twarzą schowaną poza kadrem i aksamitnym głosem, który sprzedawał na YouTubie zmodyfikowane kontrolery do Xboxa. „Cześć, tu MC360, a to mój kontroler tygodnia!" – oznajmiał entuzjastycznie, prezentując pada w tygrysie paski. Za kilkanaście lat ktoś przypomni ten filmik i doda, że reszta była historią.

W pudełeczku

Modyfikowanie kontrolerów to sztuka. Nie wystarczą lutownica i kilka śrubek. Potrzeba jeszcze zmysłu estetycznego, kreatywności oraz miłości do gier wideo. Podejrzewam, że przy dzisiejszej jakości hollywoodzkiego kina łatwiej jest dostać Oscara, ale nie będę się wykłócał. Jedno jest pewne: jak słusznie odnotowano w komentarzach, nazywanie kawałka plastiku „seksownym" to „najbardziej chalametowska rzecz, jaką możesz zrobić".

Do tematu gier dorosły już aktor powracał wielokrotnie. Podczas jednego z wywiadów był wstrząśnięty przesunięciem premiery „GTA VI". W trakcie innego wyznał, że w najnowszej odsłonie „Call of Duty" zawsze gra... sobą, to jest licencjonowanym Paulem Atrydą z „Diuny".

Pytania akurat o tę pasję wydają mi się w kontekście jego kariery esencjonalne. Nie tyle z powodu moich osobistych fascynacji, co z racji pieczołowicie wykreowanego wizerunku aktora. W pudełeczku z napisem „Chalamet" możecie umieścić dowolny element popkultury. Gdy nim potrząśniecie, będzie pasował do reszty. Oto kilka przykładów: umawiał się z „kardashianką" Kylie Jenner, mówi biegle po francusku, studiował antropologię kultury, grał w kosza, rapował jako Lil' Timmy Timm i miał żółwia.

Być może stąd właśnie generalna recepcja gwiazdora jako łącznika między odległymi światami. A także przekonanie, że w butach ikony kultury popularnej wiecznie tańczy na jakiejś granicy – kina wysokobudżetowego i niezależnego, tradycji hollywoodzkiej i europejskiej, cichej melancholii i bezwstydnego gwiazdorstwa, Nowego Jorku i Kalifornii, milenialsów i pokolenia Z, teatru improwizacji oraz mediów społecznościowych.

W kinie

Swoją pierwszą rolę zagrał w 1990 r., czyli na pięć lat przed własnymi narodzinami. Tak przynajmniej stoi w serwisie Filmweb, który wskazuje serial „Prawo i porządek" jako jego debiut. To oczywiście żart dla wtajemniczonych, bowiem strona kataloguje wyłącznie datę rozpoczęcia cyklu.

Tak naprawdę Chalamet pojawił się na ekranie dopiero dwadzieścia lat później, grając „ofiarę morderstwa" w dwudziestym sezonie serialu. Jest natomiast w owym żarcie coś głębszego, co ponownie odnosi się do pojemnej figury „dziecka wielu światów". W równym stopniu co lesera, który wciąż czeka na czołowe zderzenie z życiem, Chalamet przypomina gościa urodzonego na planie filmowym, sformatowanego pod sukces, napędzanego wybuchową (i paradok-



MATERIAŁY PRASOWE

Timothée Chalamet w filmie „Wielki Marty", reż. Josh Safdie. Monolith Films

salną) mieszanką nonszalancji oraz determinacji.

Jego wczesne role – zagniewanego introwertyka z „Interstellar" Christophera Nolana, prezydenckiej latorośli w serialu „Homeland", czy neurotycznego nastolatka w „Uwiązanych" Jasona Reitmana – pozostają niezłą egzemplifikacją tego rozdarcia. Zanurzeni w sobie bohaterowie Chalameta dają ujście skłębionym emocjom w gwałtowny sposób, co przekłada się na zaskakujące kontrapunkty w samej grze aktorskiej. Scenarzyści z rzadka piszą mu solówki, za które dostaje się naręcze nagród. Często jednak wykorzystują finezję, z jaką aktor zmienia tony, nastroje, emocjonalne rejestry.

Jeżeli ostatnie dziesięć lat faktycznie należało do niego, i to zarówno w blockbusterach, jak też w kinie offowym, to właśnie z powodu tej aktorskiej, reżyserskiej oraz scenariopisarskiej strategii. Czyni ona podróż bohatera „Diuny" od przytłoczonego misją wybrańca do watażki z apetytem na władzę sensowną fabularnie i przekonującą emocjonalnie. Zamienia zakochanego Elio z „Tamtych dni, tamtych nocy" Luki Guadagnino w bohatera trwającego między młotem namiętności a kowadłem społecznej presji. Wreszcie – wynosi rolę młodego narkomana z „Mojego pięknego syna" Feliksa van Groeningena ponad nieudany film.

Współpraca z Guadagnino – reżyserem, którego toleruję jedynie wtedy, gdy sięga po Chalameta – przyniosła jeszcze jeden świetny występ. W „Do ostatniej kości", pastiszu kanibalistycznych opowieści grozy oraz kina drogi, aktor gra wagabundę rozsmakowanego w ludzkim mięsie, skazującego się na dobrowolną banicję. Podszepty ciała kontra moralne normy – to też jedna z bocznych dróżek, którymi Chalamet lubi chadzać.

W domu

Moim ulubionym dokonaniem Timothéego Chalameta z wspomnianego okresu nie jest ani kolejna inkarnacja Willy'ego Wonki (Johnny Depp i Gene Wilder zjadają go razem z kostkami), ani uwspółcześniony Laurie z „Małych kobietek" (nieco zbyt neurotyczny jak na mój gust). Uwielbiam natomiast jego epizodyczną rolę w napakowanym po brzegi gwiazdami „Kurierze Francuskim z Liberty, Kansas Evening Sun" Wesa Andersona.

Zefirelli, facet, który odziedziczył nazwisko po słynnym włoskim reżyserze, to w monochromatycznych, symetrycznych kadrach komediowa figura rewolucjonisty. Romantyczny mit przewrotu funkcjonuje tu wyłącznie w estetycznym wymiarze. Za efektowną fasadą nie kryje się nic poza komunałami o wolności i równości. Nawet romans, który Zeffirelli nawiązuje z więzienną strażniczką, przypomina skazaną na porażkę ucieczkę ze świata „idei" do rzeczywistości pełnej żyjących i krwawiących ludzi.

Chalamet jest w tej winietce fantastyczny, ponieważ igra nie tyle z własnym wizerunkiem, ile z kolektywnym wyobrażeniem na temat kulturowych fundamentów Hollywood oraz europejskiego kina. To aktor, który co prawda nie wychował się wśród finansistów i bankierów, ale nawet w budynku Manhattan Plaza – w dotowanym przez federalny rząd azylu dla artystów i pracowników branży rozrywkowej – „nie mógł narzekać".

Jego matka, potomkini rosyjsko-austriackich Żydów, ukończyła Yale. Później była tancerką i handlowała nieruchomościami. Ojciec, korespondent „Le Parisien" w Ameryce, pracował w UNICEF-ie. Starsza siostra jest aktorką, ciotka producentką, a wśród przyjaciół rodziny nie brakowało ludzi związanych z branżą filmową. Nie wiem, jak to możliwe, że mówiąc o inspiracjach, Chalamet nie sięga po Jeana-Paula Belmondo albo Marlona Brando, tylko po Heatha Ledgera. Wiem natomiast, że podobne deklaracje są dziś przepustką do serc wszystkich fanów popkultury.

W reklamie

Jakimś cudem, pomimo takiego biogramu, Chalamet pozostaje w optyce rozsianych po internecie i mediach społecznościowych entuzjastów kina „swojskim ziomkiem". Rozmaite kryzysy tożsamości, mocowanie się z presją społeczną, bezkrwawe konflikty z rodzicami, pułapki wiecznego pacholęctwa – wszystkie wątki, które pojawiają się w jego filmach, z łatwością projektujemy na samego aktora.

Nic dziwnego, że w optyce mediów Amerykanin pozostaje spełnionym ideałem nowej męskości, zwanej często „nietoksyczną", ustawionej w opozycji nie tylko do cywilizacyjnych wzorców XX w., ale i tradycji hollywoodzkiego systemu gwiazd. Dzięki temu może być najbardziej refleksyjnym gościem, który kiedykolwiek spacerował po wybiegu dla Louisa Vuittona; stać po pas w wodzie i pryskać się perfumami Chanel z miną, która sugeruje wyłącznie pytania graniczne.

W kontaktach z mediami – pewnie nieświadomie, co dodatkowo działa na jego korzyść – aktor podgrzewa tę narrację. W wywiadach prezentuje dystans do siebie, lubi ironię i sarkazm, a jednocześnie znosi go w rejony filozofii uważności. „Możesz być panem swojego losu ↦

TIMOTHÉE CHALAMET KONTRA...



MATERIAŁY PRASOWE X3

■ KYLE MACLACHLAN

Choć „Diuna" Davida Lyncha doczekała się po latach szacunku wśród młodszego pokolenia, Paul Atryda jest tylko jeden – to Timothée Chalamet. Powściągliwa, kontrapunktowana nagłymi wybuchami emocji rola jest pełniejsza niż płaski występ Kyle'a MacLachlana. Na szczęście dla tego ostatniego Chalamet wciąż jest za młody na rolę Agenta Coopera.



■ JOHNNY DEPP

Wonka kontra Wonka. W starciu wielkich adaptacji prozy Roalda Dahla Tim Burton wygrywa z Paulem Kingiem, Johnny Depp zaś – z Timothéem Chalametem. Nowej wersji brakuje i wizualnego szaleństwa, i grozy czającej się za fasadą wystawnego fantasy. Stary dobry Willy padł ofiarą tej strategii i dość powiedzieć, że pociągnął za sobą aktora.



■ CHRISTIAN BALE

Romantyczny idealista Laurie z „Małych kobietek" miał twarz Christiana Bale'a w filmowej adaptacji z 1994 r., zaś Chalameta – w filmie Grety Gerwig z 2019 r. Obydwaj znaleźli swój pomysł na tę postać. Jeden poszedł w romantyczne klisze, drugi we współczesną neurozę. Obaj bez porównania do literackiego oryginału. Remis.

↦ i kapitanem swojej duszy, ale musisz zrozumieć, że życie wypływa z ciebie, a nie spada na ciebie z zewnątrz" – wypala do dziennikarki w trakcie czterominutowej rozmowy o „Diunie".

Pierwsza część tego zdania pochodzi z „Niezwyciężonego" – poematu autorstwa brytyjskiego romantyka Williama Ernesta Henleya. Z drugą częścią bym polemizował. Rzucone z nonszalanckim luzem i osadzone w kontekście trasy promocyjnej blockbustera za 300 milionów dolarów, zdanie nabiera jednak innego znaczenia. Cementuje obraz niedzisiejszego artysty – skupionego na sobie i wyczulonego na innych; refleksyjnego, nie gardzącego pieniądzem, ale i świadomego cynizmu, który rządzi w tym biznesie.

W roli

Mnogość wizerunków Chalameta w pewnym sensie predestynowała go do zagrania Boba Dylana. Wielki amerykański bard sam przybierał kolejne maski z taką częstotliwością, że nawet nakręcono o tym film – w świetnym „Gdzie indziej jestem" Todda Haynesa pieśniarza grają m.in. Christian Bale, Heath Ledger, Cate Blanchett i Ben Whishaw.

Jak na ironię, w „Kompletnie nieznanym" Jamesa Mangolda Chalamet wydaje się najmocniej spętany gorsetem konwencji. Kolejne „oblicza" Dylana nie układają się w ciekawy portret, bo i aktor spłaszcza na potrzeby roli niemal wszystkie elementy własnego *emploi*.

Nominacja do Oscara znaczy w tym kontekście niewiele (choć warto byłoby spytać, w jakim kontekście cokolwiek jeszcze znaczy). Kolejna, którą otrzymał za występ w „Wielkim Martym", najpewniej przyniesie mu statuetkę. I dość powiedzieć, że jest to rola, która w interesujący sposób rezonuje z „Kompletnie nieznanym".

Tytułowy Marty również jest prawdziwą postacią. Początki jego kariery przypadają na lata powojenne, choć nieco wcześniejsze niż w przypadku Dylana – akcja filmu rozpoczyna się w roku 1952. I znów w losach pojedynczego bohatera odbija się burzliwa historia Ameryki. Z tą różnicą, że portretując niezbyt znanego pingpongistę (inspirowanego zapomnianą legendą tegoż sportu Martym Reismanem), Chalamet nie znika pod zwałami wielkich popkulturowych znaków i wizerunków.

Szaleńczy pęd bohatera ku triumfom, znaczony podłymi czynami i moralnie wątpliwymi kompromisami, ogląda się na krawędzi fotela z wielu powodów. Pomijając reżyserskie umiejętności Safdiego i napisany z zegarmistrzowską precyzją scenariusz, spora w tym zasługa Chalameta. To przedziwna rola, rozpostarta między chorobliwą ambicją i rozbrajającą niefrasobliwością, wzniesiona dokładnie na tych samych kontrastach, które wyznaczają bieguny medialnego wizerunku gwiazdora.

Przez to, jak gwałtownie Marty próbuje dostać się na szczyt, można pomylić go z samym aktorem. Odradzam jednak tę optykę. Timothée Chalamet nic już nie musi. Ma na koncie trzy oscarowe nominacje, status ikony popkultury oraz reputację gościa, który pogodził entuzjastów „Call of Duty" z fanami Jeana-Luca Godarda. W grudniu stuknęła mu trzydziestka. Nieźle jak na chłopaczka, który handlował kontrolerami do Xboxa.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

■ *Justyna Kulikowska*, **WNYKI DLA ŚWIATŁA**, *WBPiCAK*

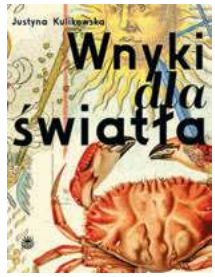

Metaforyka solarna jest być może najpiękniejszą słabością osób piszących poezję. Słońce i wszelkie efekty świetlne, jakie ono powoduje – a więc m.in. blask czy lśnienie – obciążone są niebagatelną liczbą znaczeń: mogą symbolizować np. pełnię doświadczenia, piękno widzialności lub boską sprawiedliwość. Wnyki z kolei to różne pułapki, sidła na zwierzęta. Zestawienie w tytule książki poetyckiej takich fenomenów jest ruchem świadczącym o zachłanności wrażeń czy nawet „chciwości życia, której przyjdzie dopiero się nauczyć". Najnowszy tom Justyny Kulikowskiej – laureatki wielu ważnych nagród poetyckich – łączy kilka tematów: jest tu miejsce na rozważania o dystansie dzielącym słowa i rzeczy oraz na gorzki komentarz społeczny; jest refleksja o zwodniczej mocy języka jako domenie politycznych machinacji oraz żałoba po śmierci najbliższej osoby. Nie brakuje też apologii konkretu i gestów emancypacyjnych, które przejawiają się w walce o samostanowienie. Wyważona, szeroka fraza autorki pozwala skomasować wymienione kwestie. Książka podlaskiej twórczyni to poezja oporu lokalnego, o którym Kulikowska stale przypomina, chociaż nie wyczerpuje się w tej postawie. Bezsilność wynikająca z poczucia braku sprawczości zostaje zaakceptowana i osadzona na sprężynach zachwytu: typowanej przez poetkę strategii przetrwania. Dodatkowo Kulikowska pisze w sposób transowy, kojarzący się z metodą innego poety, Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego: przenoszące traumy powtórzenia rządzą kompozycją „Wnyków...", a pewne grupy wierszy stanowią warianty jednego utworu. Tonacja tomu balansuje przy tym między nonszalanckim „rozgwizdaniem" wymierzonym w struktury władzy a konfesyjnością. Wszystko to sprawia, że „słoneczny" tom jest bardzo atrakcyjny.

© OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

■ *Krzysztof Bartnicki*, **ZESPÓŁ ODEPA**, *Officyna*

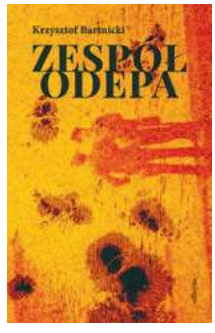

Krzysztof Bartnicki przemówił już do czytelników wieloma głosami. Spolszczył chińskie traktaty o sztuce tłumaczenia, przełożył na angielski wiersze Bolesława Leśmiana i przerobił „Pieśń świętojańską o sobótce" na cykl utworów hip-hopowych. Sławę zdobył dzięki tłumaczeniu nieprzekładanego „Finnegans Wake" Jamesa Joyce'a, a Nagrodę Literacką Gdynia (2022) przyniosły mu gwarowo-eksperymentalne „Myśliwice, Myśliwice". Ta wielojęzyczność daje o sobie znać również na kartach drugiej powieści Bartnickiego. W wydanym niedawno „Zespole Odepa" chropowate opisy rzeczywistości polskich lat 60. mieszają się z tradycją antyczną, awangardowym autotematyzmem, rozważaniami o światach możliwych i nowej fizyce. Na najbardziej podstawowym poziomie mamy tu do czynienia z antykryminałem – historią tajemniczej komórki służb specjalnych, której funkcjonariusze sami do końca nie wiedzą (lub nie potrafią sobie przypomnieć), czym się zajmują. W gruncie rzeczy „Zespół Odepa" jest jednak szaleńczą próbą stworzenia sekwencji niemożliwych portretów czasu, przestrzeni, osób i pamięci w stanie entropii. Brzmi odstraszająco? Cóż, z całą pewnością nie jest to lektura do pociągu. Autor obficie rozporządza swoją erudycją, często wyprowadza czytelnika w pole, a chwilami wprost zachęca go do odłożenia niekomunikatywnej książki na półkę. Warto jednak dać temu tekstowi szansę. Choćby po to, by doświadczyć zderzenia z radykalną innością.

© ADAM WOŹNIAK



■ **KONRAD SKOLARSKI PLAYS CHOPIN,** *Chopin University Press*

Dawno w nowym nagraniu takiego Chopina nie słyszałem! Nie dziwi więc, że pod koniec ubiegłego roku, mimo zbiorowych zachwytów nad gwiazdami Konkursu Chopinowskiego, płyta Konrada Skolarskiego bez trudu przyciągnęła uwagę, zdobywając też nominację do International Classical Music Awards. Skolarski przedstawia interpretacje przemyślane zarówno na planie ogólnym, jak i w szczegółach, wnika w budowę i znaczenie każdej frazy, posługuje się precyzyjną, retoryczną artykulacją osadzoną w klarownej architektonice utworów. Tempa spokojne, miejscami może nawet skłaniające się ku medytacji, pomagają uważnie śledzić bogactwo narracji. W żadnym też momencie tej płyty nie spada napięcie, a to przecież jest istotą muzyki. Przyjrzyjmy się choćby którejś z dramatycznych Ballad (poza ich kompletem mamy też piękną Barkarolę i Poloneza-fantazję, oraz trzy mazurki i preludium). Powolne części z II Ballady F-dur nie płyną *like water*, czego mamy zwyczaj oczekiwać (a Chopina irytowały Angielki, które go w ten sposób komplementowały), lecz zbudowane są ze wznoszących się i opadających fraz, z pytań i odpowiedzi, udzielanych z subtelnym rubato. By zbudować kontrast, część dramatyczna Presto con fuoco nie musi więc być skrajnie szybka: dla pianisty ważniejszy jest żar niż prędkość, co ukazuje dzięki czystości faktury – bez histerycznego krzyku, bez zamazywania, bez grzmiącego chaosu. I właśnie to pozwala odczuć całe wzburzenie tej części, z erupcjami pasaży lewej ręki, które jednak nie kryją wszystkiego, co poza nimi. Podobnie w III Balladzie brzmią głosy w lewej ręce, która służy nie tylko do wypełniania harmonii, ale budowania muzycznych wypowiedzi. A wnikliwa coda kończąca IV Balladę! Zrozumienie i dojrzała mądrość – to właśnie to, czego Chopin naprawdę dzisiaj potrzebuje.

© JAKUB PUCHALSKI

Jedno życie

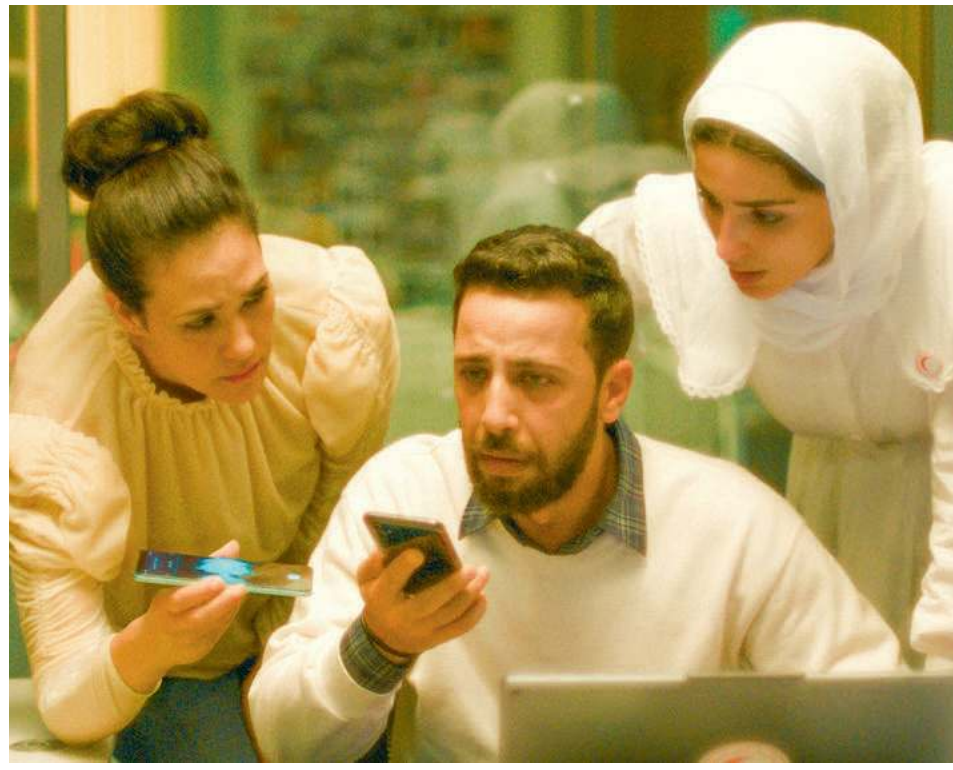

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Gdy tunezyjska reżyserka po raz pierwszy usłyszała nagranie dziewczynki w mediach społecznościowych, rzuciła ponoć wszystko, by nakręcić ten film.

„Przyjedź po mnie!" – to zawołanie powraca w filmie kilkakrotnie i pochodzi z zapisu autentycznych rozmów telefonicznych. Po jednej stronie jest niespełna sześcioletnia dziewczynka z Gazy, po drugiej ratownicy z Czerwonego Półksiężyca, znajdujący się 80 kilometrów dalej, na Zachodnim Brzegu. Żeby dotrzeć do małej Hind, uwięzionej w samochodzie ostrzeliwanym przez izraelską armię, karetka z pomocą musi dostać zielone światło. Czyli serię pozwoleń ministerialnych, dyplomatycznych, wojskowych. A czas ucieka i tuż obok dziecka leżą martwe ciała sześciorga członków jego rodziny.

Te rwane rozmowy, zarejestrowane przed dwoma laty, stały się dla Kaouther Ben Hanii materiałem wyjściowym do filmu o dramatycznej akcji ratunkowej. Tytułowy „głos Hind Rajab" to w pierwszej kolejności mrożący raport z oblężonego miasta, a finalnie metafora koszmaru, dziejącego się gdzieś poza kadrem i zarazem dziwnie blisko. Zamiast serwować drastyczne materiały, na które wielu już zdążyło się znieczulić, film uruchamia naszą wyobraźnię empatyczną i przy okazji rozszczelnia granice tak zwanego kina faktu.

Twórczyni paradokumentalnych „Czterech córek" ponownie dokonuje udramatyzowania realnych wydarzeń. Tam historię tunezyjskich sióstr, z których dwie stały się „narzeczonymi dżihadu", odtworzono z udziałem prawdziwych postaci i jednocześnie grających je aktorek. Tworzyło to niepokojący efekt psychodramy, stawiało też pytania o etyczność takiego zabiegu, bo filmowa operacja dokonywała się na żywym organizmie rodzinnym.

„Głos Hind Rajab" wydaje się pod tym względem mniej skomplikowany. Również dlatego, że za tym pojedynczym głosem stoją tysiące innych, nieusłyszanych i niezapisanych, w tle zaś toczy się jeszcze inna wojna, o polityczne i moralne racje. Stężenie emocji przekracza jednak wszystko, co do tej pory pokazano na dużym ekranie, by zdać relację z ludobójstwa w Strefie Gazy. Choć przecież kamera, z wyjątkiem *stricte* dokumentalnego epilogu, w zasadzie nie opuszcza bezpiecznych i czystych wnętrz Centrum Reagowania w Ramallah, odtworzonego na potrzeby filmu w Tunezji.

Zanim uda się skoordynować pomoc i wysłać karetkę, filmowi dyspozytorzy próbują pocieszać spanikowaną dziewczynkę, zadają jej pytania, wspólnie recytują Koran. Tymczasem w kierunku uwięzionego w aucie dziecka zbliża się izraelski czołg... W takich momentach można mieć wrażenie, że palestyńscy aktorzy, słysząc w telefonie nagrania głosu Hind, wychodzą poza swoje role i, niczym w psychologicznych ustawieniach, uruchamiają swoje osobiste doświadczenia i przeżycia.

Albowiem równolegle do tego, co dzieje się po niewidocznej stronie kadru, w gazańskiej dzielnicy Tel al-Hawa, oglądamy jeszcze inny dramat – tych spośród działaczy Półksiężyca, którzy jak Omar (Motaz Malhees) i Rana (Saja Kilani) do końca wierzą, że da się uratować Hind. Pojawiają się dylematy: czy wchodzić w długie negocjacje z IDF, czy pominąć procedury i narażać życie ratowników – zdjęcia wielu kolegów już zawisły na tablicy z napisem „męczennicy humanitarni".

Ben Hania i jej aktorzy skupiają się na racjach i reakcjach bohaterów, doprowadzonych do skrajności i poddawanych gwałtownym zwrotom akcji. Stąd „Głos Hind Rajab" jest w dużej mierze klaustrofobicznym dramatem ludzkich twarzy. Oczywiście, wiele ma także z radiowego słuchowiska, lecz kiedy w rekonstrukcję zdarzeń wchodzi znienacka archiwalny zapis, są to bez wątpienia najmocniejsze fragmenty tej dokudramy.

Ben Hania, doświadczona w hybrydowych formach filmowych, mogłaby bezszwowo połączyć oba porządki, lecz celowo tego nie robi. Może się też wydawać, że więcej miejsca niż polityce poświęca na przykład nowoczesnej technologii, dzięki której można wirtualnie przebywać w najbardziej zapalnym miejscu i zdalnie nawigować pomocą humanitarną. Film unika bowiem konfrontacyjnych tonów. Nie jest to zresztą jedyny hołd złożony Hind Rajab; zdążyły powstać o niej dwie krótkometrażówki, hip-hopowa piosenka i fundacja jej imienia.

Gdy tunezyjska reżyserka po raz pierwszy usłyszała nagranie dziewczynki w mediach społecznościowych, rzuciła



MATERIAŁY PRASOWE

GŁOS HIND RAJAB
(The Voice of Hind Rajab) – reż. Kaouther Ben Hania. Prod. Tunezja/ /Francja 2025. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 29 stycznia.

Kaouther Ben Hania, tunezyjska reżyserka i scenarzystka, w kinie fabularnym zadebiutowała filmem „Piękna i bestie" (2017). Za kolejny tytuł, „Człowiek, który sprzedał swoją skórę" (2020), otrzymała nominację do Oscara. Podobnie było z inscenizowanym dokumentem „Cztery córki" (2023), a teraz z „Głosem Hind Rajab", uhonorowanym wcześniej weneckim Srebrnym Lwem.

Powyżej: kadr z filmu „Głos Hind Rajab"

ponoć wszystko, by nakręcić swój film, a współprodukcji podjęły się takie nazwiska, jak Brad Pitt, Joaquin Phoenix, Rooney Mara czy Jonathan Glazer, twórca „Strefy interesów". Jednak jury festiwalu w Wenecji wolało nagrodzić Złotym Lwem nowy tytuł Jima Jarmuscha, przyznając Ben Hanii drugą nagrodę, w czym dopatrywano się decyzji politycznej. Niezależnie od tego, to właśnie „Głos Hind Rajab" jest filmem, który zapisze się w historii kina – jako próba znalezienia kameralnego języka dla opisu gigantycznej tragedii. Dziejącej się na oczach całego świata i zarazem filtrowanej przez stronnicze przekazy medialne.

Jedna z bardziej znamiennych scen w tym filmie ma miejsce wtedy, gdy zdesperowana wolontariuszka Rana, chcąc wytłumaczyć zamkniętemu w aucie dziecku, dlaczego pomoc ciągle nie nadchodzi, używa porównania nawiązującego do dwóch skłóconych rodzin. Paradoksalnie, właśnie to naiwne zawężenie perspektywy nadaje „Głosowi Hind Rajab" głębszy wymiar. I, co charakterystyczne, ten operujący strachem i podszyty słusznym gniewem film nie wytraca swojej temperatury na emocje czysto negatywne.

Aczkolwiek emocjonalna intensywność bywa chwilami tak dotkliwa, że pewnie znajdą się tacy, którzy dopatrzą się tu manipulacji bądź filmowej eksploatacji czy nawet propalestyńskiej propagandy. Ale w czasach, kiedy łatwo jest zinstrumentalizować czy zakłamać każdy fakt, szczególnie na ekranach, Ben Hania raczej prowokuje swojego widza. I rezygnując z szokowania palestyńską hekatombą, po prostu... „ratuje" jedno życie.

Nakręcony za przyzwoleniem matki Hind, skonsultowany z aktywistami Czerwonego Półksiężyca, film nie pozwala umościć się wygodnie w sensacyjnej, konwencjonalnie opowiedzianej historii. Używa do tego także innych oryginalnych głosów i oszczędnych archiwaliów. Tym samym Ben Hania odbiera „Głosowi" gładki, hollywoodzki sznyt, i mimo pytań natury etycznej (czy godzi się wykorzystywać nagranie zabitej dziewczynki?) daje wyjątkowe świadectwo zdarzeniu, które równie dobrze mogło utonąć pośród statystyk, obrazów, newsów. Pozwala filmowi być czymś więcej niż jedynie kolejnym głosem w sprawie. ©

Lektor:
Po dwóch stronach, po jednej stronie



▪ *Joanna Rudniańska,*
OBUDZIŁA SIĘ ZIMNĄ NOCĄ,
Nisza, Warszawa 2025, s. 124

MOCNY TEN MÓJ LEKTUROWY POCZĄTEK NOWEGO ROKU. Po „Monoloku" Pawła Sołtysa kolejna polska proza odbierająca oddech i niedająca się zapomnieć. Kolejność ich ukazywania się była zresztą odwrotna w stosunku do mojej lektury, a nowa książka Rudniańskiej – znanej najpierw z tytułów raczej (choć nie tylko) dla młodzieży, jak „Kotka Brygidy", potem autorki „Snów o Hiroszimie" i świetnych opowiadań z tomu „RuRu" – powstawała długo, choć rezultatem jest szczupły objętościowo destylat.

Właśnie – destylat. Bo punkt wyjścia to przecież wydarzenia na polsko-białoruskiej granicy, temat wielu reportaży, rozmów Mikołaja Grynberga i filmu Agnieszki Holland. Proza Rudniańskiej, zilustrowana jej własnymi zdjęciami, nie jest jednak reportażem, raczej skoncentrowaną wizją świata, w którym reguły rządzące na granicy stają się wszechobowiązujące. Wizja przyszłości – a może obraz teraźniejszości, którego wolimy nie dostrzegać?

Patrzymy na ten świat oczami dwóch kobiet. Jedna mieszka z córeczką w ekstrawaganckim domu wymyślonym przez męża, niestety mąż wyjechał i zapewne nie żyje, dom zaś, blisko granicy, znalazł się w Strefie. W dodatku córeczka ma tak zwany „zły wygląd", jest smagła i ciemnooka, budzi podejrzenia żołnierzy kontrolujących szkolny autobus; nauczycielka radzi nawet matce, by uczyła ją w domu. Druga kobieta też ma córeczkę; uciekła z kraju, w którym kobiety pozbawiono praw, rozdzielono ją z mężem, straciła drugie dziecko i pochowała je w lesie, gdzie się ukrywa. Pierwsza obserwuje drugą przez e-ścianę, która chroni jej dom przed światem. A może to tylko dwa warianty tego samego losu?

„Obudził się zimną nocą w lesie, wyciągnął rękę i dotknął śpiącego obok dziecka. Noce ciemniejsze od ciemności, każdy nowy dzień bardziej szary od poprzedniego". Cytat z „Drogi" Cormaca McCarthy'ego, motto książki, a właściwie pierwsze jej zdanie, wraca jak *leitmotiv* – język tej opowieści jest przejrzysty i muzyczny. A w czytelniku narasta wręcz fizyczne uczucie zimna. Autorka nie epatuje grozą, ale z opisanego przez nią świata – naszego świata – grozą wieje. ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Liczenie owiec



Pół miliona owiec w piach. Rozporządzenie wykonawcze Komisji numer wysoki łamane przez rok niedawny paragraf któryś punkt jeden z wielu nie zostawia wątpliwości. Pomór małych przeżuwaczy (znany pod skrótem PPR od pięknej fonetycznie, choć u czytelników Camusa budzącej lekki dreszcz przerażenia francuskiej nazwy *peste des petits ruminants*) należy do chorób wymagających „wprowadzenia natychmiastowych środków likwidacji". Zresztą to nic nowego, na gładkim obliczu Europy jak dziobate znamiona mnożą się masowe doły po następujących regularnie zderzeniach przemysłowej hodowli z takim czy innym wiruskiem. U nas niedawno tak było z powodu afrykańskiego pomoru świń – zresztą PPR też wzięło się z Afryki.

Tym razem jednak morowo zrobiło się w Grecji, a grecka owca i koza zawsze będą w nas budzić żywsze uczucia niż, dajmy na to, takie z Szetlandów, hrabstwa Donegal czy Estremadury. Bo choć Wyspy Brytyjskie i Hiszpania mają największe w Europie stada, to jednak mniejsza Grecja jest praojczyzną arkadyjskich skojarzeń pasterskich. A poza tym nie trzeba czytać klasyków, żeby kochać fetę i mieć ją w wyższym poważaniu niż ser Manchego.

Lepiej najedzcie się jej porządnie na zapas, bowiem stanie się rychło towarem luksusowym. Kryje się za tym historia niejasna i migotliwa, pełna refleksów i złudzeń, gdzie twardym faktem są tylko zwłoki zabitych profilaktycznie owiec (nawet jedna chora sztuka zmusza do wybicia stada) oraz sumy zdefraudowanych dotacji rolniczych z unijnego budżetu. Nawet to, o jaką zarazę chodzi, nie jest wcale jasne. W rzetelnych, wydawałoby się, dokumentach unijnych dotyczących plagi, jaka od półtora roku trapi greckie hodowle, oprócz PPR pojawia się ostatnio także „ospa owiec i kóz", trochę podobna w objawach, również nieuleczalna, ale wywołana przez innego wirusa.

W każdym razie obu tym chorobom można zapobiegać w jakimś stopniu przez zaszczepienie stad. I teraz spodziewacie się stereotypowej historii o nierozumnych ludziach ze wsi, którzy pogonili widłami światłego lekarza ze stolicy przysłanego z walizką szczepionek. A kuku! Jest odwrotnie. To hodowcy urządzają blokady dróg i demonstracje, by żądać od władz zgody na szczepienia. Preparaty są dostępne, i to za darmo, Komisja Europejska jest gotowa za nie zapłacić i przysłać. Ale rząd w Atenach nie chce. Oficjalnie dlatego, że szczepionki nie mają wszystkich dopuszczeń (choć unijne urzędy mówią, że nie ma z tym problemu), a poza tym że przez masowe zaszczepienia owce



NTOUMAS ANTONIOS / SHUTTERSTOCK

będą miały przeciwciała, co sprawi, że mogą być problemy z eksportem. No i że w ten sposób Grecja zyska przykre znamię endemicznego ogniska tej choroby.

Złośliwcy – a w przypadku polityki rolnej, wierzcie mi, złośliwość jest często jedynym kluczem do prawdy – mają piękne w swej prostocie wyjaśnienie: gdyby zaczęła się masowa kampania szczepień, to po liczbie zamówionych preparatów szybko by się doszło, ile jest naprawdę owiec w kraju. W statystykach sporządzanych na potrzeby rozliczania Wspólnej Polityki Rolnej pogłowie małych przeżuwaczy wynosi 15 milionów. Podczas gdy rozsądne szacunki rynkowe, przyjęte jako konsensus także w agendach unijnych odpowiedzialnych za np. handel, mówią, że chodzi ich po tamtych pastwiskach milionów siedem, góra osiem. Na cierpliwym papierze beczącą potęgą okazuje się Kreta, tyle że kiedy się przeliczy objętość wydojonego tam mleka (to trudniej „wykreować"), to nagle kreteńska owca daje go trzy razy mniej niż jej siostra z Tesalii. Grecki rząd może chcieć uniknąć takiego momentu prawdy, bo i tak ma na karku od roku inspekcje z Brukseli, które próbują rozgryźć działający kilkanaście lat system wyłudzania setek milionów euro na lipne pastwiska i pola. Przy czym ów zawiły przekręt wygląda, jakby powstał w samym sercu departamentu rozdzielającego środki i był przez jego wysokich urzędników co najmniej tolerowany.



Zbocze góry Metsovo w Epirze, Grecja

To nie pierwsza zresztą w tej ojczyźnie Platona historia wielkich kombinacji bytami idealnymi. Były już wirtualne drzewa oliwne (aż zaczęto je liczyć z satelity), wirtualne budowy... Sęk w tym, że za każdym razem wszyscy odpowiedzialni wiedzieli, że coś tu się nie zgadza, że dane i raporty krzyczą fałszem na odległość, ale dla świętego politycznego spokoju udawali ślepych. Sarkali i śmiali się przy kolacji w domu, ale w godzinach pracy stemplowali oczywistą nieprawdę.

Premier Kanady Mark Carney przypomniał wielkim tego świata zebranym w Davos opowieść Václava Havla z „Siły bezsilnych" o propagandowym plakacie, który sklepikarz wystawia w witrynie, żeby nie mieć kłopotów, i jak ten odruch przemnożony przez miliony buduje fundamenty życia w fałszu, solidniejsze niż te podparte nagą siłą. Jak twierdzi Carney w przemówieniu, które bardzo radzę przeczytać, długo żyliśmy w fałszu, gapiąc się na to, jak tzw. ład światowy ewidentnie nie działa albo działa wybiórczo, na korzyść tych dużych i bogatych raczej. I że nie da się go dłużej bronić, tak jak pewnego dnia greckie owce zostaną policzone. O ile jakieś jeszcze zostaną przy życiu.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Tarta z karmelizowaną cebulą i niby-fetą

Wybite dotąd setki tysięcy owiec to niewielka część greckich stad, ale na pewno feta, już obecnie nietania, będzie jeszcze droższa. W przypadku różnych sałatek i dań wykorzystujących nieśmiertelne połączenie szpinaku z fetą – znane choćby z potrawy spanakorizo, ale testowane przez nas w niezliczonych wariantach z takimi czy innymi dodatkami... – warto mieć oryginał. Za to do różnych potraw przechodzących długą obróbkę termiczną nie mam skrupułów, gdy z powodu budżetu lub pośpiechu sięgam nawet nie po inny serek owczy, tylko po podrabianą tzw. polską fetę, czyli serek sałatkowy sprzedawany w podłużnych kostkach. Ale tylko tłusta wersja!

SKŁADNIKI:

4 duże czerwone cebule 4 łyżki oliwy
4 łyżki cukru pudru 4 łyżki octu balsamicznego
200 g fety lub tzw. serka sałatkowego
100 ml śmietany 18% ▪ oregano lub tymianek lub zahatar

Kroimy na cieniusieńkie piórka cebulę. Rozgrzewamy na średnim ogniu oliwę, podsmażamy cebulę; gdy się zaszkli, solimy, zmniejszamy ogień, wsypujemy cukier, dokładnie mieszamy, przykrywamy i dusimy tak na minimalnym ogniu ok. 10 minut, co jakiś czas sprawdzając, czy się nic nie przypala, i delikatnie mieszając. Cebula powinna być całkowicie rozmiękła i lekko kleista. Kiedy osiągnie ten stan, wlewamy ocet, przykrywamy i znów podduszamy kilka minut. Kiedy ostygnie, bierzemy podpieczony kruchy spód, wykładamy na niego serek sałatkowy rozrobiony ze śmietaną i ziołami. Na to idzie cebula. Jeśli dysponujemy prawdziwą fetą, możemy na wierzch jeszcze trochę jej pokruszyć. Pieczemy w 180 stopniach ok. 30 minut, aż wierzch tarty będzie suchy i lekko chrupiący. ©℗



SREYLIS16 / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

STWORZONE Z POWIETRZA

Wibrującym złotem rozświetlał niebo, choć jego kompozycje trzymają się geometrycznego rygoru. Sztuka Fra Angelico to głęboka medytacja nad relacją człowieka z sacrum.

BARTEK KIEŻUN Z FLORENCJI



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI MINISTERSTWA KULTURY REPUBLIKI WŁOSKIEJ x3

Kiedy mignęła mi wiadomość o wystawie Fra Angelico we Florencji, poczułem nerwową ekscytację. Przyszło mi nawet do głowy, żeby niezwłocznie kupić bilety, ale pomyślałem, że mam czas, i że jeszcze zdążę.

Co więcej, byłem przekonany, że nie ma powodów do pośpiechu, bo – umówmy się – Fra Angelico to nie Mark Rothko ani Johannes Vermeer. Przekonywałem o tym sam siebie, wspominając informacje o tym, że zdobycie biletów na paryską wystawę Amerykanina było nie lada wyczynem, porównywanym z zarezerwowaniem wejściówek na wystawę Holendra w Amsterdamie. A Fra Angelico?

To przecież tylko jeden z wielu utalentowanych Włochów. Dominikanin, który nigdy nie poprawiał własnych prac, bo uważał, że każde pociągnięcie pędzlem pochodzi od Boga, i żarliwie się modlił, zanim zabrał się do malowania. Do tego jego życiu nie towarzyszyły żadne skandale.

Zmarł w Rzymie mając sześćdziesiąt lat, nie wywołując fali plotek, a człowiekiem był łagodnym i pokornym, więc na wystawie nie będzie tłumów ani szkolnych wycieczek – pomyślałem. Miałem jeszcze jeden argument.

Byłem jednym ze szczęśliwców, którym udało się kupić bilety na wystawę „Caravaggio 2025" w rzymskim Palazzo Barberini i to jeszcze zanim zapadła decyzja o jej przedłużeniu. Skoro tak, to i we Florencji się uda! Przezornie, a przynajmniej tak mi się wydawało, ustaliłem sam ze sobą, że poczekam chwilę i wstrzelę się w ostatnie dni wystawy, gdy już największe zainteresowanie zacznie przygasać.

A potem, co było do przewidzenia, w nadmiarze wydarzeń i pracy zapomniałem o Florencji i Fra Angelico.

W deszczach Toskanii

Przypomniało mi się dość nieoczekiwanie, gdy w grudniu świat sztuki obiegła informacja, że Palazzo Strozzi we Florencji szykuje wystawę Marka Rothko. I wtedy, nagle, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Po wpisaniu w internetową wyszukiwarkę trzech słów *Strozzi, mostra, Fra Angelico* okazało się, że wystawa mistrza florenckiego renesansu, który był w stanie łączyć zasady sztuki renesansowej z religijnym mistycyzmem, zostanie zamknięta lada moment.

Kolejki są olbrzymie, a godzina stania czeka każdego, kto zechce zobaczyć jego prace – kłuły mnie w oczy nagłówki we włoskiej prasie.

Wpadłem jeszcze na pomysł rezerwacji biletów przez internet, ale nie byłem jedyny, bo o nabyciu wejściówek bez wstawania z wygodnego fotela można było jedynie pomarzyć. Informacja na stronie Palazzo Strozzi była czytelna: do rezerwacji przekazano tylko pewną pulę biletów, reszta jest dostępna w kasach. Wyglądało na to, że czeka mnie godzina marznięcia w kolejce. Wbrew pozorom, zima w Toskanii to czas lodowatych deszczów i jeszcze chłodniejszych wiatrów wiejących z północy.

Przygotowywałem się więc do obejrzenia wystawy, która powstała we współpracy z prawie setką instytucji kultury na całym świecie, i ruszyłem do Florencji. Przeklinając własną głupotę, podziwiałem działania współczesnych kuratorów wystaw, którzy sprawiają, że to, co wydawało się niemożliwe, staje się faktem. Średniowieczne i renesansowe malarstwo często opierało się na tworzeniu nastaw ołtarzowych składających się z wielu elementów. Przez wieki poliptyki dzielono na części i dziś bardzo rzadko zdarza się okazja, by móc zobaczyć je w całości, tak jak zaplanował je artysta w swoje pracowni.

Na przykład *Maestà*, czyli przedstawienie Matki Boskiej w majestacie, którą Duccio di Buoninsegna namalował dla sieneńskiej katedry, była poliptykiem dwustronnym. Jej zasadniczą część można dziś oglądać w Muzeum Katedralnym w Sienie, ale druga strona została podzielona na kwatery, które odseparowano od części głównej nastawy. Jako cenione prace Duccia, fragmenty poliptyku rozeszły się po całym świecie. Twórcy wystawy „Siena: The Rise of Painting, 1300-1350", w Londynie połączyli je po setkach lat ponownie, o czym przekonałem się, gdy dotarłem na wystawę do brytyjskiej stolicy.

Z doliny Mugello

Teraz we Florencji miała się stać rzecz podobna, bo na czas trwania wystawy w całość połączono między innymi fragmenty ołtarza św. Marka namalowanego dla florenckiego klasztoru, który dziś jest współgospodarzem wystawy. W Palazzo Strozzi można obejrzeć siedemnaście z osiemnastu paneli ołtarza, które zjechały do Florencji z całego świata.

Dziękowałem w myślach kuratorom, którymi, jak doczytałem, byli Carl Brandon Strehlke, emerytowany kurator Muzeum Sztuki w Filadelfii, Stefano Casciu, dyrektor regionalny Narodowych Muzeów Toskanii, i Angelo Tartuferi, były dyrektor Museo di San Marco we Florencji.

Stojąc w rzeczonej kolejce, rozmyślałem o życiu Fra Angelico, którego rodzice nazwali zupełnie inaczej. Guido di Pietro urodził się pod koniec XIV w. Na początku uczył się gdzieś w jednym z miasteczek Mugello, doliny na północ od Florencji, by następnie zostać uczniem malarza i miniaturzysty Lorenza Monaco.

We florenckich archiwach zanotowano, że po zakończonym szkoleniu pod jego okiem, Guido di Pietro wstąpił do klasztoru San Domenico w Fiesole i przyjął habit dominikański, składając śluby po rocznym nowicjacie w 1408 r. Z kolei w roku 1436 Kosma Medyceusz podarował dominikanom stary klasztor św. Marka we Florencji. Jego przebudową zarządzał Michelozzo, a dekorację cel i krużganka powierzono Giovanniemu z Fiesole, bo w toskańskiej stolicy nikt nie mówił już na artystę Guido di Pietro.

W drodze do Umbrii

To właśnie dzięki wykonanym we Florencji freskom przedstawiającym wydarzenia z życia Chrystusa został okrzyknięty mistrzem. Zwrócił na siebie powszechną uwagę, więc nie można się dziwić, że został wezwany do Rzymu przez Eugeniusza IV. Miał ozdobić swoimi pracami kaplicę Sakramentu w Pałacu Watykańskim. Nie wiemy, jak poszło, bo kaplica niestety nie przetrwała.

Po zakończonej rzymskiej przygodzie Fra Angelico ruszył do Umbrii, by pracować w katedrze w Orvieto, gdzie wymalował część sklepienia kaplicy San Brizio. Część, bo znów nadeszło wezwanie od papieża. Mieszkańcy umbryjskiego miasteczka jednak nie narzekają, bo dekoracje katedry wziął na siebie pochodzący z Cortony Luca Signorelli i wywiązał się z tego ↦

Tryptyk franciszkański, 1428-1429 r.



Obraz ołtarzowy, jedno z ostatnich dzieł Fra Angelico, 1450-1452 r.

↦ zadania tak dobrze, że kaplicę San Brizio przyjeżdżali oglądać tacy artyści jak Michał Anioł i Leonardo da Vinci.

W Rzymie Mikołaj V zlecił Fra Angelico dekorację kaplicy św. Wawrzyńca, dziś znaną jako Cappella Niccolina. Artysta mistrzowsko wymodelował ludzkie ciało pod luźnymi fałdami draperii, ale kaplica zachwyca przede wszystkim głębią ekspresji. Pracował tam z uczniami, wśród których był Benozzo Gozzoli, późniejszy twórca wspaniałych fresków w kaplicy we florenckim Palazzo Medici Riccardi.

Rzut beretem od Panteonu

Po wykonaniu zadania Angelico powrócił do Toskanii, gdzie został mianowany przeorem klasztoru San Domenico w Fiesole, zajmując miejsce swojego zmarłego brata. Przez kolejne lata pracował we Florencji i okolicach, tworząc na zlecenie Medyceuszy. Nastawa ołtarzowa znana jako Pala San Marco, wykonana dla klasztoru św. Marka, była poliptykiem i została zaplanowana jako główny ołtarz klasztoru. Zachwyca pięknem bogatych draperii, festonów, palm, tkanin i dywanów, odzwierciedlających prawdopodobnie wystawne procesje, które artysta oglądał w 1439 r. podczas Soboru Unii Kościołów Wschodnich z Rzymem, odbywającego się we Florencji.

W tym czasie Fra Angelico utrzymywał kontakty z trzema ważnymi kręgami artystycznymi, które rozkwitały we Florencji na początku XV w. Ważnym punktem odniesienia była dla niego szkoła florenckich miniaturzystów, istotną rolę pełnił również warsztat ostatnich uczniów rodziny Gaddich, wywodzących się ze szkoły Giotta. Cenił też grupę młodych rzeźbiarzy i architektów, którym pisana była wielka sława, czyli Jacopa della Quercia, Lorenza Ghibertiego, Filippa Brunelleschiego oraz Donatella.

W kolejnych latach powrócił do Rzymu, aby stworzyć liczne dzieła w kościele Santa Maria sopra Minerva, w którym do dziś posługują dominikanie. Namalował nastawę ołtarzową w ołtarzu głównym, prawdopodobnie przedstawiającą scenę Zwiastowania, z której zachowały się trzy sekcje predelli z historiami św. Dominika. Zmarł w 1455 r. i został pochowany w rzymskiej bazylice dominikanów, rzut beretem od Panteonu.

Dziś krytycy są zgodni. Pozostał klasą sam dla siebie. Wibrującym złotem rozświetlał niebo, ale jego kompozycje trzymają się geometrycznego rygoru. Badacze piszą, że mistrzowsko opanował perspektywę, że wspaniale operował światłem i budował relacje między postaciami, a jego sztuka jest medytacją nad relacją człowieka z *sacrum*. Twierdzą, że łączył elementy narracyjne z żywymi, efektownymi zindywidualizowanymi portretami.

Jednocześnie jednak pozostawał wierny XIV-wiecznej tradycji, zestawiając ją z krystaliczną czystością koncepcji w formie i zachwycających odważnych kolorach, które zawsze będą charakterystyczne dla jego obrazów. Historycy podkreślają też, że czas najwyższy przywrócić mu właściwe miejsce w sztuce, bo choć o jego religijności krążą legendy, to czytanie jego twórczości tylko z tej perspektywy umniejsza jego rangę.

W krużgankach

Uzbroiwszy się w tę wiedzę, uznałem, że jestem przygotowany do tego, by obejrzeć wystawę. W butach miałem sucho, bo na szczęście nie padało. Z biletem w dłoni ruszyłem do klasztoru San Marco, współgospodarza wystawy. Tam wszystko zaczyna się od trzęsienia ziemi, jak w filmie Alfreda Hitchcocka, od dwóch fresków przestawiających „Ukrzyżowanie". W krużganku Jezusowi umierającemu na krzyżu towarzyszy jedynie św. Dominik.

„Ukrzyżowanie" w refektarzu zachwyca rozbudowaną ikonografią. W przeciwieństwie do klasycznych przedstawień, zamiast typowych postaci skupionych wokół krzyża, artysta przedstawił świętych żyjących w najróżniejszych czasach i miejscach. Tym samym, zamiast sceny narracyjnej, dał widzom medytację nad śmiercią Jezusa. Potem można obejrzeć wczesne prace mistrza, bizantyjskie w rodowodzie, z błyszczącym złotym tłem, a kawałek dalej w klasztornej bibliotece można przyjrzeć się detalom twórczości Angelica jako miniaturzysty.

Dłuższą chwilę spędziłem przy „Ukrzyżowaniu", które przyjechało z Metropolitan Museum w Nowym Jorku, i porównywałem je z tym z Ashmolean Museum w Oxfordzie, ale wiedziałem, że druga część wystawy w Palazzo Strozzi czeka. Mimo to zatrzymałem się przy Tabernakulum z Linaioli. Arcydzieło przedstawiające tronującą Marię z Dzieciątkiem w otoczeniu dwunastu muzykujących aniołów jest ogromne. Powstało na zlecenie siedziby Cechu Sprzedawców Bielizny i Towarów Używanych z Mercato Vecchio we Florencji, a marmurową ramę zaprojektował sam Lorenzo Ghiberti. Poczułem jednak napierający z tyłu tłum, więc nie bez żalu ruszyłem w kierunku Palazzo Strozzi.

Z madryckiego Prado

Prace rozmieszczone w ośmiu salach pałacu pozwalają podążać za ewolucją malarską Fra Angelico. W scenie przedstawiającej zdjęcie z krzyża rzuca się w oczy przede wszystkim od-

rzucenie złotego bizantyjskiego tła. Tu każde pojedyncze drzewo, każdy budynek Jerozolimy Fra Angelico przemienia w jeden z najsłynniejszych – jak się w przyszłości okaże – pejzaży w historii sztuki. Jednocześnie kolejne sale pokazują, że totalne odrzucenie złotego tła na rzecz głębi nie było działaniem rewolucyjnym i stałym, bo Fra Angelico wracał do niego wielokrotnie.

Najwięcej czasu spędziłem przy „Zwiastowaniu" z San Giovanni Valdarno i towarzyszącemu mu obrazowi Filippa Lippiego o tym samym temacie. Byłem zaskoczony, bo wcześniej znałem dwie wersje tematu namalowane przez Fra Angelico. Tę prezentowaną dziś w Cortonie, pełną złotego światła, ze stropem w loggii przedstawiającym rozgwieżdżone niebo, i tę z madryckiego Prado, gdzie loggia ma sklepiony sufit.

Trzecia wersja jest dużo bliższa tej, którą na co dzień można oglądać w Toskanii. Zaskakujące jest, że dwa prezentowane na wystawie „Zwiastowania", to Angelico i to Lippiego, powstały w odstępie zaledwie kilku lat, bo stylistycznie dzieli je przepaść.

Obraz Fra Angelico pełen jest religijnej symboliki. Widzimy zamknięty ogród nawiązujący do dziewictwa Maryi i wizji raju, wśród drzew rozpoznajemy palmę, symbol przyszłego męczeństwa Chrystusa, a wygnanie z raju, zerwanie między człowiekiem a Bogiem, jest grzechem, który Maria niweluje, godząc się na nowinę usłyszaną od Archanioła Gabriela. „Zwiastowanie" Lippiego, z centralną perspektywą zbieżną w jednym punkcie oraz rezygnacją z wszelkich gotyckich elementów, takich jak sterczyny, jest dziełem w pełni renesansowym, a przestrzeń, w której Marię zaskakuje Gabriel, prezentuje się, jakby zaprojektował ją na potrzeby Lippiego Filippo Brunelleschi.

> Fra Angelico nigdy nie poprawiał własnych prac, uważał, że każde pociągnięcie pędzlem pochodzi od Boga. **Żarliwie się modlił, zanim zabrał się do malowania.**

Ze światła

Wystawa we Florencji, najpełniejsza prezentacja twórczości Fra Angelico, doskonale balansuje między tym, jak artysta jest postrzegany. Jej przesłanie wydaje się przestrogą. Kuratorzy zdają się twierdzić, że traktowanie malarza jako twórcy religijnego jest uzasadnione, ale nie wyczerpuje tematu. Fra Angelico przedstawiał sceny związane z życiem Jezusa i Marii, ale analiza jego prac pozwala zauważyć, że miał jednocześnie doskonałą podbudowę teologiczną do ich tworzenia.

Gerardo De Simone w katalogu podkreśla, że trzy anioły w tryptyku przedstawiającym sąd ostateczny są wyobrażone tak, jakby były stworzone z powietrza. To nie przypadek. Fra Angelico znał, zapewne nie tylko, twórczość św. Tomasza z Akwinu i jego „Summa Theologiae". Scholastyk twierdził, że „natura anielska jest duchowa, eteryczna i ukazując się człowiekowi, wydaje się złożona ze światła lub powietrza".

Takie odczytywanie uzasadnia nadany mu przez Vasariego przydomek *Angelico*, ale pomija niestety fakt, że był jednym z najważniejszych i najbardziej wszechstronnych malarzy włoskiego renesansu. Wystawa w Palazzo Strozzi, zorganizowana siedemdziesiąt lat po pierwszej poświęconej Fra Angelico, upomina się o przyznanie mu właściwego miejsca w sztuce jako wybornego renesansowego malarza, potrafiącego uchwycić naturę człowieka i jego relację ze wszechświatem.

Muszę przyznać, że ponad 140 zgromadzonych na niej dzieł, które dotarły do Florencji z całego świata, potwierdza, że nie może być inaczej.

© BARTEK KIEŻUN



Tryptyk z Perugii, ok. 1437-1443 r.

TOMASZ

Stawiszyński: *W sekcie*



Sekty były jednym z głównych elementów specyficznego krajobrazu lat 90. Z pewnością każdy, kto żył w tamtych latach, doskonale pamięta nie tylko liczne wówczas egzotyczne grupy i grupki, ale i powołane w 1995 r. Dominikańskie Centrum Informacji o Nowych Ruchach Religijnych i Sektach: kościelną odpowiedź na niespotykaną wcześniej różnorodność, która przyszła do Polski z postkomunistycznym opóźnieniem.

Owszem, w tym tyglu wszystko mieszało się ze wszystkim. Samozwańczy guru z pomniejszymi rozgałęzieniami hinduizmu i hatha jogą, tarot i astrologia z kółkami ufologicznymi działającymi w domach kultury albo podstawówkach (rzecz jasna, po godzinach). Dominowało poczucie zagrożenia i nieufności. Słowo na „s" kojarzyło się z czymś niebezpiecznym – praniem mózgu, uwięzieniem, absolutną podległością. W rozmaitych materiałach przestrzegających przed sekciarskim uwiedzeniem przewijały się przykłady Świątyni Ludu (Jima Jonesa) czy Gałęzi Dawidowej (Davida Koresha): dwóch apokaliptycznych kultów, których członkowie – pozostający pod magnetycznym wpływem swoich „przewodników" – dokonali zbiorowych samobójstw. Sam dobrze pamiętam, ile nieufności i obaw budzili poczciwi w sumie krysznaici, rozdający za darmo polskie wersje „Bhagawadgity" i obfite porcje ryżu z rodzynkami. Pewien mój znajomy, który na krótki czas przystąpił do Towarzystwa Świadomości Kryszny, obciął włosy na zero i zaczął chodzić w powłóczystych szatach, wywoływał wśród części starszych pań na osiedlu prawdziwy popłoch. To, co inne, niecodzienne i związane z duchowością, z automatu wydawało się we wciąż jeszcze jednolicie katolickim społeczeństwie ryzykowne. Kościół zaś mniej lub bardziej wzmacniał to przekonanie, obawiając się konkurencji. W efekcie, w zbiorowej świadomości zacierały się różnice pomiędzy grupami toksycznymi a tymi, które na tle ówczesnego standardu były ledwie ekscentryczne. Stąd blisko już było do paniki moralnej – i rzeczywiście hasło „sekta" błyskawicznie ją w tamtych czasach indukowało.

Na takim pomieszaniu – nie tylko w sprawach tu omawianych, ale także np. w polityce – najbardziej korzystały i korzystają oczywiście kulty (oraz inne formacje) faktycznie groźne. W rozmazanym tle łatwiej się ukryć i dzięki temu skorzystać na postępującym zobojętnieniu. Mechanizm jest prosty. Skoro wciąż słyszymy o straszliwych rzeczach, których rzekomo dopuszczają się sekty albo inne formacje, lecz tych straszliwych rzeczy w wielu przypadkach wcale nie widać, pojawia się wątpliwość, czy jest sens w ogóle się takimi ostrzeżeniami przejmować. Aż w końcu przychodzi obojętność – i wówczas ci, którzy naprawdę mają niecne zamiary, mogą realizować je łatwiej i efektywniej. Z sektami tak właśnie było – i do pewnego stopnia jest również dzisiaj.

W latach 90. działały także jawnie patologiczne grupy, jak choćby osławiona sekta Niebo, której przewodził charyzmatyczny pseudouzdrowiciel Bogdan Kacmajor. Świetny serial, który opowiada o jej losach (w reżyserii Bartosza Blaschke) możemy właśnie oglądać na HBO Max. Rzecz zrealizowano na podstawie książki Sebastiana Kellera, który spędził w Niebie pięć lat, a w rolę Kacmajora (serialowego Piotra) wcielił się Tomasz Kot. Twórcy bardzo trafnie pokazują stopniowe wytwarzanie się klasycznej sekciarskiej mentalności. Składają się na nią m.in. absolutna pewność bycia wybranym i wyjątkowym; poczucie dostępu do prawdy niewidocznej dla innych, czyli obcych; wrogość i agresja wobec każdego, kto pozostaje na zewnątrz; niewywrotny, irracjonalny obraz świata, którego ostateczną sankcją jest autorytet guru; gotowość na wszystko w imię zachowania spójności własnych poglądów i zaangażowań.

Oglądana dziś okiem twórców serialu rzeczywistość lat 90. jawi się z jednej strony jako totalna egzotyka. Nawet jeśli gdzieś jeszcze są takie grupy jak Niebo, ich faktyczna siła rażenia wydaje się żadna. Z drugiej strony, choć tamten model uległ raczej wyczerpaniu, nie znaczy to wcale, że ów szczególny typ mentalności zniknął wraz z nim. Nic z tych rzeczy. Gołym okiem widać, jak błędne i szkodliwe jest pokutujące wciąż przekonanie, że „sekta" to zawsze zamknięta grupa, fizycznie odizolowana od świata. Owszem, tak również bywa, ale współcześnie wszystkie konstytutywne cechy sekt możemy dostrzec nie tylko w hermetycznych zborach, lecz także w życiu społecznym i mediach. Jeden do jednego, na poziomie mikro i makro, nie trzeba do tego żadnego nowego Kacmajora ani zamknięcia w jakimś domostwie. Zaprzeczanie rzeczywistości w imię ideologii, mantrowanie dogmatów, wściekłość i furia pod adresem każdego, kto sprzeciwi się jedynej prawdzie, podział świata na wtajemniczonych i wrogą resztę – znajdujemy to we wszelkich aktywnościach, które służą dziś za substytut religii, czyli generator sensu, przynależności i stabilnej samooceny. Od wiary w cudowne diety po ślepe zapatrzenie w przywódców politycznych, od zbawczych warsztatów samorozwoju po jedynie słuszny aktywizm.

Tematyka sekt pozostaje więc, wbrew pozorom, aktualna. Tego typu zjawiska odsłaniają bowiem pewien uniwersalny scenariusz, uniwersalne manowce, na które chętnie zbaczamy, kiedy trapią nas rozmaite deficyty. A teraz, jak wiadomo, są one wyjątkowo dotkliwe – i sporo wskazuje, że się będą, niestety, pogłębiać. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

NAJWAŻNIEJSZE PREMIERY, SPEKTAKLE I WYSTAWY SEZONU

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY „TP” 05/2026



150 LAT GENIUSZA

JÓZEF HOFMANN



ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

Paradoksy mistrza

JAKUB PUCHALSKI

Józef Hofmann był jednym z największych pianistów swojej epoki – nowoczesnym, bezkompromisowym, wymykającym się sentymentalnym oczekiwaniom. Choć przez lata zapomniany, dziś powraca dzięki zachowanym nagraniom.

Na zdjęciu powyżej:
Podczas sesji nagraniowej rolek pianolowych Welte we Freiburgu, 1906 r.

Zapewne, jak powiedział amerykańskiemu dziennikarzowi dzwoniącemu z życzeniami 21 stycznia 1956 roku, dziś również Józef Hofmann stwierdziłby: „To nie kwestia matematyki, ale samej arytmetyki. Jestem już o jeden tydzień starszy". Niech tradycji stanie się zadość, jeden numer – czyli jeden tydzień po jubileuszu 150. urodzin genialnego pianisty, a także wynalazcy i kompozytora (20 stycznia 1876), oddajemy Państwu poświęcony mu dodatek. Drugie już, po 10 latach, specjalne wydawnictwo „Tygodnika Powszechnego", którego bohaterem jest wyjątkowy w skali świata i w skali przynajmniej tych ostatnich 150 lat artysta z Krakowa.

Odzyskiwanie kariery

Co do tego ostatniego stwierdzenia można jeszcze pewnie było mieć wątpliwości, gdy jako 10-latek, po serii koncertów w Europie, debiutował w sali Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Nie było ich już jednak, gdy 50 lat później wrócił na te same deski z uroczystym koncertem „złotego jubileuszu" – którego rejestracja stała się jednym z najważniejszych pianistycznych nagrań, jakie kiedykolwiek powstały. Geneza i losy tego zapisu, podobnie jak i innych dokonanych przez Hofmanna, nie były jednak bynajmniej proste. Zarówno życie, jak i działalność pianisty, który przez ponad pół wieku święcił absolutne triumfy na obu półkulach, pełne były paradoksów.

Jako cudowne dziecko kształcił się w świecie muzyki, który należał do artystów o dekadę od niego starszych – i w swych muzycznych sympatiach nie wykraczał poza styl Richarda Straussa i Aleksandra Skriabina. Z drugiej strony, choć jego głównym nauczycielem był najpierw ojciec – wychowanek Konserwatorium Wiedeńskiego i przynajmniej bardzo rzetelny, sprawny pianista oraz takiż nauczyciel fortepianu (tak go wspominano w Krakowie, gdzie najważniejszym jego zadaniem było jednak dyrygowanie zespołem operetki i, z rzadka, opery oraz tworzenie muzyki do spektakli teatralnych) – a następnie arcymistrz późnego romantyzmu, legendarny Anton Rubinstein, sam Hofmann obrał sobie za artystyczny

cel estetykę w pełni racjonalną, całkowicie antysentymentalną, choć zarazem bynajmniej nie klasyczną, a nieraz radykalnie wręcz ekspresyjną. I, rzecz jasna, doskonałą pod względem wirtuozerii.

Ta ostatnia nie była jednak celem, Hofmann nie oszałamiał samą techniką – co byłoby dla niego wyjątkowo łatwe, bo pod tym względem równać się z nim mógł bodaj jedynie Leopold Godowski i Maurycy Rosenthal. Technika była dla niego warsztatem, środkiem do wyrażenia tego, co widział w utworze. Widział natomiast nie tylko błyskotliwość albo grę namiętności (choć je także), nie tylko indywidualny charakter zarówno całości, jak i szczegółów, nie tylko precyzyjnie artykułowane frazy i ich przebieg w czystej fakturze muzyki, lecz również architektonikę utworu, rozwijającą się na różnych planach, prowadzącą do punktów kulminacyjnych.

Nowy Mozart

W dzieciństwie okrzyknięty „nowym Mozartem", pianista – po wycofaniu się na siedem lat z estrady dla zdobycia wykształcenia – powróciwszy do kariery okazał się wyzwaniem dla romantycznie i sentymentalnie zarazem nastawionej publiczności końca XIX wieku. Jedynym miejscem, gdzie jego triumf był natychmiast oszałamiający, była Rosja. Z miejsca – jako ulubionego ucznia (choć na emigracji, czyli w Dreźnie) – okrzyknięto go następcą zmarłego właśnie Antona Rubinsteina i do 1914 r. Hofmann jeździł tam co drugi sezon na długie tournée, wykonując oceany muzyki i przywożąc ławice pieniędzy.

Drugim terenem były Stany Zjednoczone – i to tutaj musiał zdobyć grunt na nowo. Podobnie w Europie, choć ta miała dla jego kariery bez porównania mniejsze znaczenie. Najistotniejsza pozostała w niej Anglia, a co ciekawe – nigdy nie Niemcy, w których jego rodzina osiadła, by możliwie najlepiej wyedukować swe genialne dziecko (i, co nie bez znaczenia, swego żywiciela). Choć więc dla młodego Hofmanna to właśnie Berlin był właściwym domem, to tu wchodził w kulturę i fascynującą go naukę, Niemcy nigdy nie stały się istotnym odbiorcą jego sztuki. Z zastrzeżeniami spotykał się początkowo Hofmann także w Polsce, choć taki guru krytyki jak Jan Kleczyński dawał stanowczy odpór narzekaniom na brak uczucia w grze młodego pianisty.

Po wielkim artyście, zwłaszcza jeżeli przez dekadę kieruje jednym z najważniejszych konserwatoriów na świecie – w tym wypadku to Curtis Institute of Music w Filadelfii – gdzie miewa wybitnych uczniów, można spodziewać się stworzenia i pozostawienia własnej „szkoły", kontynuatorów jego sposobu i estetyki gry.

Partytura a duch utworu

Nie znajdziemy tego jednak w wypadku Hofmanna. Niektórzy przyznawali, że jako nauczyciel był onieśmielający – niezależnie od starań nikt nie był w stanie osiągnąć choćby zbliżonego efektu. Pokazują to np. wczesne nagrania jego najsławniejszego i ostatecznie najwybitniejszego ucznia, Shury Cherkasskiego. W młodszych latach Cherkassky starał się naśladować Hofmanna – co skądinąd zniechęcało nauczyciela („Kopia mojej osobowości bez jego własnej"), a co gorsza, przynosiło mizerne rezultaty: nagrania demonstrują nieporównywalne możliwości mistrza i ucznia. Szczęśliwie ostatecznie Cherkassky dojrzał i osiągnął swą własną, romantyczną doskonałość.

Mimo braku swej „szkoły" wywarł jednak Hofmann ogromny wpływ na sztukę pianistyczną i jej losy – a mimo to na długi czas został niemal zapomniany. W czym kryje się kolejny paradoks: jego wpływ polegał na wprowadzeniu już na przełomie XIX i XX w. tego „nowoczesnego", racjonalnego i rzetelnego podejścia, opartego na partyturze – by następnie, gdy normą stało się niewolnicze podążanie za jej literą, a nie za zrozumieniem ducha utworu, zostać wyklętym. Hofmann bowiem nigdy nie chciał być muzycznym księgowym – ważniejszy od samego zapisu tekstu pozostawał dla niego sens i charakter utworu, jego artystyczny cel. Zwłaszcza na niwie muzycznej musiało upłynąć dużo czasu, by powoli zaczęto sobie uświadamiać, że nie jest on równoznaczny z samymi znaczkami na papierze (literatura poradziła z tym sobie już pół wieku temu).

Dziś, gdy dostępne są całkiem liczne, jak na jego czasy, nagrania – Hofmann wraca w chwale. Lśniącej nawet wówczas, gdy w ostatnich zapisach bywa ona zmącona noszącymi ślady tragicznej w skutkach – i spowodowanej *de facto* tragedią – choroby alkoholowej, która doprowadziła fenomenalnego muzyka do upadku.

Fonograf Edisona

I tu dochodzimy do paradoksu może najdziwniejszego i na pewno najbardziej odczuwalnego. Hofmann był pierwszym znanym pianistą, który utrwalił swoją grę w nagraniach, odwiedzając już w dzieciństwie laboratoria Edisona. Był też zapewne pierwszym, którego nagrania fascynowały i który zajmował się nimi, gdy jako nastolatek otrzymał od tegoż Edisona fonograf. Woskowe wałki wysyłał następnie do wynalazcy, zdeponował je także w berlińskiej instytucji Urania, tworząc *de facto* pierwszą publiczną fonotekę.

Niestety – i jedne, i drugie przepadły, nie mamy więc możliwości posłuchania najsławniejszego cudownego dziecka swoich czasów. Możemy jednak Hofmanna usłyszeć już w następnej fazie, jeszcze 19-letniego, półtora roku po ukończeniu nauki u Rubinsteina. Te cztery nagrania powstały podczas wspomnianych rosyjskich tournées, na innym egzemplarzu fonografu Edisona. Atrakcją przyjęć u holenderskiego kupca Juliusa Blocka był właśnie aparat do rejestracji dźwięku – co tym cenniejsze, że utrwalił na nim dwa z najwcześniejszych zapisów muzyki Chopina (oba to zresztą transkrypcje Nokturnu Es-dur op. 9 nr 2 – jedna na głos, druga na skrzypce).

Gdy fonograf stanął przed fortepianem młodego Hofmanna, od razu słyszymy, że pianista miał już z nim doświadczenie: to jedne z najlepiej brzmiących pianistycznych nagrań na wałkach woskowych. Znaleźć je można na ostatnim zestawie płyt (nr 9) serii „Complete Josef Hofmann", wydawanej przez Gregora Benko i Warda Marstona w wytwórni tego legendarnego i fenomenalnego rekonstruktora dźwięku, Marston Records.

Zespół ten zebrał, opracował i opublikował wszystkie znane nagrania Hofmanna; jedyna komplikacja polega na tym, że pierwsze cztery tytuły serii wydane zostały w wytwórni VAI Audio. Jak stwierdził Abram Chasins, „każda nuta, jaką Hofmann zagrał, powinna była być nagrana (...) wraz z nim zmarła np. wielka tradycja chopinowska" – rejestracje te powinny więc być obowiązkowymi pozycjami w płytotece każdego miłośnika pianistyki. Wprawdzie charakter gry Hofmanna jest tak wyrazisty, że przebija się nawet przez głośniczek w telefonie, ale niezliczona mnogość szczegółów, magiczna pedalizacja czy bogactwo ↦



ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

Józef Hofmann przed tubą do nagrań akustycznych (przed wprowadzeniem mikrofonu), podczas sesji dla Columbii. Nowy Jork, 1912 r.

↦ detalicznej artykulacji wymagają jak najlepszych warunków odsłuchowych – i setnie wynagradzają te starania.

W świecie Hofmanna

Po *de facto* przypadkowych rejestracjach XIX-wiecznych przychodzą pierwsze sesje komercyjne. W 1903 r. Hofmann nagrywa 5 krótkich utworów, w tym wręcz teatralną interpretację pieśni „Król Olch" Schuberta w transkrypcji Liszta. Nawet w tak prymitywnym zapisie słychać, jak dźwięk zmienia barwę, gdy fortepian przechodzi od partii wystraszonego dziecka do kuszącego czarami elfa oraz poważnego ojca; dodatkowo podkreśla to rubato, zmieniające tempo narracji. 13 lat później, w nieco tylko lepszym technicznie nagraniu dla Columbii, choć kolory zostaną zachowane, to tempo będzie już bardziej ujednolicone. Czuje się tę nowoczesność, do której dążył pianista – a w zarejestrowanych utworach Chopina (walce, błyskotliwa Berceuse) także ów konsekwentny antysentymentalizm.

W 1922 i 1923 Hofmann utrwala swoje najbardziej znane nagrania komercyjne, w tym Gavotte Glucka w wersji Brahmsa, który tak zachwycił Garricka Ohlssona, że właśnie to pokazywałby jako wizytówkę Hofmanna innym pianistom („brzmi, jakby miał trzy ręce" – mówił mi w rozmowie dla filmu z cyklu „Geniusze i marzyciele"). Nie brak tu też imponującego Chopina, Liszta itd., po efektowną przeróbkę „Czaru ognia" z wagnerowskiej „Walkirii". To ostatni rok rejestracji dźwięku w systemie akustycznym, przedmikrofonowym, przez tubę... i ostatnie komercyjne nagrania Hofmanna. To może największa zagadka jego działalności: dlaczego w momencie, gdy sposób nagrywania radykalnie się poprawił, on – u szczytu powodzenia – zrezygnował z rejestracji płyt?

Próby odpowiedzi trzeba zostawić na inną okazję. W 1935 r. jednak Hofmann dwukrotnie spróbował wrócić do studia, dokonując dwóch serii nagrań testowych. Ukazały się one w edycji „CJH vol. 5" – i przynoszą m.in. niebiańską, niedosiężną interpretację cudownego Nokturnu Des-dur Chopina, niezwykłą, motoryczną I część Sonaty h-moll (to z prób dla RCA Victor), wzorcowego Walca As-dur op. 42, Nokturnu Fis-dur i dwie pieśni Chopina w układzie Liszta oraz Beethovena Scherzo z Sonaty op. 31 nr 3 (dla HMV). Z tych nagrań Hofmann był zadowolony – w późniejszych latach chciał, by właśnie one po nim pozostały. Ten paradoks sprokurował sam.

Radio

Na szczęście, nieco konsekwencji mu w tym zabrakło. Nie nagrał już ani jednej płyty, ale zamiast tego zaczął grywać dla radia. Przede wszystkim transmitowano jego koncerty, głównie z Filharmonii Nowojorskiej. W tym celu powstawały tzw. *transcription discs*, pozwalające odtwarzać występ w różnych strefach czasowych. To na nich zachowały się więc oba Koncerty fortepianowe Chopina – pozycje doskonałe, bez których nie znalibyśmy nie tylko Hofmanna, ale też możliwości ukrytych w tych arcypopularnych utworach. To tytuł, od którego może najlepiej rozpocząć znajomość z pianistą – toteż w „CJH" została wydana jako pierwsza. Nie sposób też obejść się bez dwóch Koncertów Beethovena, będących w stałym repertuarze Hofmanna: wielki V Es-dur ma jedno nagranie (z Chicago – wspaniałe, choć nie aż tak doskonałe, jak mogło być parę lat wcześniej, bo to już rok 1940, „CJH 7"), bardziej liryczny IV G-dur ma natomiast aż dwie interpretacje – najlepiej sięgnąć po wcześniejszą rejestrację z 1938 r., pod dyr. Ormandy'ego („CJH 8").

W Stanach Zjednoczonych muzyka w radio pojawiała się także w audycjach sponsorowanych przez wielkie koncerny. Swoje programy utrzymywał Ford, Cadillac czy Bell Telephone. Z tego ostatniego pochodzą filmowe fragmenty z grą Hofmanna – choć widać w nich znużenie (widać, ale nie słychać! – proces był niezwykle męczący, a pianista był już głęboko uzależniony od alkoholu), śledzenie minimalistycznych ruchów, bez żadnych grymasów, gimnastyki przy klawiaturze, przyciągającego uwagę teatru unaocznia pełną kontrolę, jaką artysta miał nad swym instrumentem i swą sztuką. Z programów radiowych pochodzą też jednak nagrania pełnych utworów – do najważniejszych należy Sonata „Księżycowa" Beethovena z 1936 r. („CJH 9"), a także zestawy powtarzających się niestety walców i nokturnów Chopina.

Wreszcie dwa diamenty – zarejestrowane prywatnie. Pierwszy to jeden z najbardziej oczekiwanych występów epoki: uroczysty koncert, którym Hofmann uczcił w Nowym Jorku 50-lecie swojego amerykańskiego debiutu. „Golden Jubilee" miał miejsce w Metropolitan Opera House, widownia została zapełniona największymi osobistościami, a soliście towarzyszyła orkiestra Curtis Institute of Music, którym wówczas, w 1937 r., Hofmann kierował. Zespołem, złożonym nie tylko ze studentów, ale i z nauczycieli (czyli w dużej mierze z muzyków najbardziej wirtuozowskiej Orkiestry Filadelfij-

skiej), dyrygował sam Fritz Reiner – również wykładowca Instytutu. Nagranie występu, jako niespodziankę, zorganizowała żona jubilata.

Każda pozycja programu jest niezapomniana, od nadzwyczajnie skonstruowanego IV Koncertu fortepianowego Antona Rubinsteina (Hofmann chętnie składał hołdy swemu mistrzowi), przez kolejne utwory Chopina (niezwykła Ballada g-moll, olśniewająca, ale i poetycka Berceuse z właściwym dla Hofmanna efektem „zegarowym", niedościgły Polonez brillante Es-dur wraz z Andante spianato), po rodzaj jednoczęściowego koncertu fortepianowego samego Hofmanna, „Chromaticon", oraz czarujące bisy („CJH 2").

Drugi skarb to recital zagrany ledwie pół roku później (1938), ale w całkowicie odmiennych warunkach – w kameralnej Casimir Hall Instytutu Curtisa (istnieje do tej pory, naturalnie już nie nosi jednak nazwy przywołującej imię ojca Hofmanna), wykonany dla „muzycznej rodziny" pianisty: pracowników i studentów uczelni, z którą właśnie zmuszany był się rozstać.

W żadnym innym nagraniu skrajne emocje nie są tak uderzające – to stąd pochodzi m.in. strzelisty fresk Ballady f-moll Chopina i wstrząsający Polonez es-moll, porażająca, choć i szokująca Sonata „Waldsteinowska" Beethovena, ale i doskonale wyrazisty Nokturn H-dur z op. 9. To tutaj też najbardziej uderzają pewne hofmannowskie „manieryzmy" – potężne wybuchy dramatycznych akcentów, zdwajane oktawy – tworząc jednak dramaturgię niespotykaną w żadnej innej kreacji pianistycznej, a może nawet muzycznej. „Casimir Hall Recital", utrwalony przez bibliotekarza na świeżo zakupionym sprzęcie, pozostaje jedynym w swoim rodzaju osiągnięciem w dziejach muzyki („CJH 6").

Ostatnim paradoksem niech będzie fakt, że w dzisiejszych czasach, uciekających od sztuki i zapatrzonych w technologię, Hofmann w wielu kręgach sławny jest jako wynalazca, a nie pianista. W tej pasji faktycznie osiągnął pewne sukcesy, brak jednak jakichkolwiek świadectw wynalezienia przez niego wycieraczek samochodowych czy spinacza do papieru (nie skonstruował też taboretu do fortepianu, a przenośne składane krzesło) – o czym pisał w poprzednim naszym dodatku Wojciech Brzeziński („Ulepszacz", „TP" 19/2015).

Właściwym jego dorobkiem była jednak pianistyka, a testamentem pozostały nagrania... których w większości nie planował. Te powstałe mimo jego woli świadectwa po 150 latach od urodzenia pianisty okazują się jeszcze ważniejsze niż w jego czasach. Dziś to arcydzieła sztuki, jaka już nie istnieje – kreowania żywej muzyki wielkich kompozytorów, a nie odtwarzania jej zapisu. Lecz też dzięki nim, brzmiącym i działającym wciąż z tą samą potężną siłą intelektu, wyobraźni, precyzyjnej architektoniki i najdoskonalszej techniki – sztuka ta ma szansę się odradzać. © JAKUB PUCHALSKI

Autor przygotowuje monografię Józefa Hofmanna na tle epoki.

REKLAMA



Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

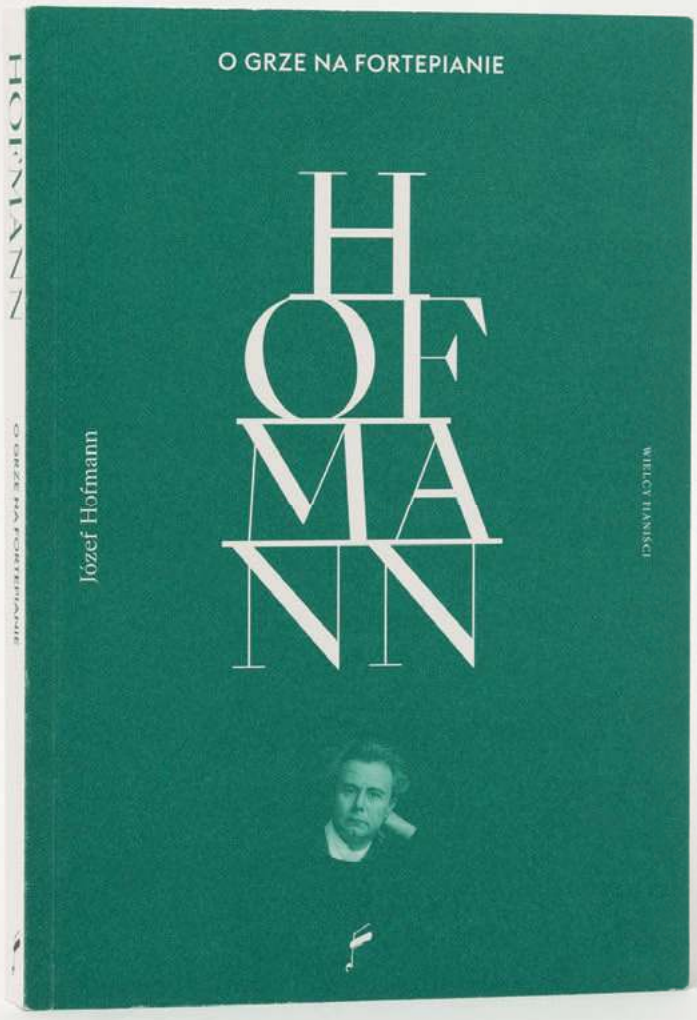

WYDAWNICTWO NARODOWEGO INSTYTUTU FRYDERYKA CHOPINA

Józef Hofmann

O GRZE NA FORTEPIANIE

„Znakomitą technikę palcową zdefiniować można jako maksymalną precyzję w połączeniu z szybkością palców. Tej ostatniej nie sposób wszakże rozwinąć bez *legata*".

Książka do nabycia w sklepie online: **sklep.nifc.pl**
oraz w sklepach stacjonarnych Muzeum Fryderyka Chopina

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dziedzictwo Muzyki Polskiej

REKLAMA

Widzisz, jakie to proste!

JAKUB PUCHALSKI, SAMUEL CHOTZINOFF

Świadectwa pianistów odsłaniają Józefa Hofmanna nie tylko jako wirtuoza, lecz mistrza „zdrowego rozsądku" w muzyce – artystę, którego dźwięk, ironia i metoda pracy zapadały w pamięć na całe życie.

Od ogólnych zachwytów po szczegółowe opisy – sztuka Józefa Hofmanna prowokowała do chwytania za pióro i utrwalania wspomnień. Wśród ogromnej liczby świadectw wyróżniają się uwagi zapisane przez kolegów po fachu. O ile z pamiętników Artura Rubinsteina („Moje młode lata") wyłania się nieskrywana zazdrość, a Claudio Arrau – skupiony na sztuce własnej i swojego otoczenia – nie potrafił zrozumieć odmiennego podejścia, o tyle inni byli pod wrażeniem zarówno techniki, jak i wyobraźni, a nawet sposobu pracy Hofmanna.

Zaliczają się do nich zarówno postaci wielkie, jak Siergiej Rachmaninow (ze słynnym „Kolejny utwór wypadł z mojego repertuaru" – po usłyszeniu wykonania chopinowskiej Sonaty h-moll przez Hofmanna), Wilhelm Backhaus czy młody Vladimir Horowitz (których reakcje znamy tylko z opowieści innych), a w Polsce analizujący warszawskie interpretacje Hofmanna Zbigniew Drzewiecki, jak i bohaterowie drugiego planu – a jednocześnie znakomici muzycy, towarzyszący często „gwiazdom" jako „akompaniatorzy".

Muzycy o Hofmannie

W ten sposób już podczas wczesnej podróży koncertowej po Stanach Zjednoczonych, wraz z również zdobywającym w tym czasie sławę skrzypkiem Fritzem Kreislerem, zachwycił się polskim pianistą akompaniator Kreislera, André Benoist (wspominający, jak podczas podróży pociągiem Hofmann, zaczepiany, odpowiadał, że „właśnie ćwiczy" – do czego nie potrzebował fortepianu, gdyż większość pracy wykonywał czysto mentalnie, przechodząc cały program w głowie dźwięk po dźwięku).

Szczególnie ciekawe opisy zostawili po sobie dwaj bliscy Hofmannowi ↦



ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

Debiut w USA, Carnegie Hall, listopad 1887 r. „New York Times" pisze: „To nie była nadzwyczajna gra jak na dziecko, to była nadzwyczajna gra jak na człowieka".



ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

Recital Hofmanna w Carnegie Hall w Nowym Jorku, 8 lutego 1936 r.
W programie znalazły się 32 różne kompozycje, do których dodał jeszcze 17 bisów.

↦ pianiści, którzy w późniejszych latach zajęli się publicystyką i organizacją życia muzycznego, dochodząc w tym do najważniejszych stanowisk w Ameryce: Samuel Chotzinoff i Abram Chasins. Uwagi tego drugiego znaleźć można m.in. w jego popularnej książce „Speaking of Pianists", natomiast wspomnienia Chotzinoffa nie zostały dotąd opublikowane.

Samuel Chotzinoff, urodzony w Witebsku w 1889 r., w roku 1915 został akompaniatorem młodziutkiego Jaschy Heifetza – największej gwiazdy wiolinistyki XX wieku. Później był krytykiem muzycznym i producentem w Radio Corporation of America, w której przekonał Artura Toscaniniego do transmisji radiowych koncertów pod jego batutą – tworząc być może najważniejszy cykl w dziejach muzycznej Ameryki, przełomowy dla świata radiofonii. W 1920 r. pianista wciąż jednak towarzyszył Heifetzowi – a 19-letni skrzypek miał właśnie debiutować w Londynie.

(Un)common sense

„Znalazłem niedrogie mieszkanie w starym Egyptian House na Piccadilly, naprzeciwko Burlington Arcade i Bond Street. Moje pokoje – salon, sypialnia i łazienka – były uroczo zaniedbane, a w salonie stało stare pianino z kinkietami po obu stronach. Kiedy spróbowałem na nim zagrać, rozbawił mnie jednak i jednocześnie odstręczył brzęczący dźwięk – szybko zamknąłem pokrywę, mając nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał jej podnosić. Ku mojemu zaskoczeniu i radości dowiedziałem się, że mieszkanie tuż nade mną zajmuje pianista Józef Hofmann. Znałem go od paru lat i kilka dni po tym, jak się wprowadziłem, zaprosiłem go na drinka. W oczekiwaniu na tę wizytę i ogólnie przygotowując się do kawalerskiego życia w Londynie, zaopatrzyłem się w wina, alkohole i ciasteczka w puszkach z Fortnum & Mason, który wówczas mieścił się obok Egyptian House. Przyszedł Hofmann i wypił ogromną ilość porto. Dla zabawy poprosiłem go, żeby spróbował zagrać na pianinie. Usiadł, przebiegł palcami po klawiszach, zagrał kilka modulacji, po czym rozpoczął »Karnawał« Schumanna. Byłem skonsternowany tym, co usłyszałem. Pianino nie wydawało już żadnego brzęczenia. Po chwili mogło zdawać się, że to jakiś Steinway – tak dźwięcznie i pięknie brzmiał »Karnawał«. Gdy skończył, wyznałem Hofmannowi moją konfuzję. Wróciwszy do swojego porto, zaczął mówić o sztuce gry na fortepianie, która – jak mnie zapewnił – nie jest tajemnicą, za jaką się ją uważa, lecz jedynie kwestią zastosowania zdrowego rozsądku. Uważałem wtedy Hofmanna, i nadal uważam, za najwybitniejszego pianistę, jakiego kiedykolwiek słyszałem. Uznałem zatem za absurdalne, że tak wysoki poziom artystyczny może być dostępny dla praktycznie każdego, kto ma zdrowy rozsądek. Hofmann upierał się jednak, że tak jest, ponieważ zdrowy rozsądek jest niezdrowo rzadki [*common sense is very uncommon*]".

To nie Paderewski!

„Lubił gry słów. Lubił też sarkazm, rubaszne żarty i anegdoty. O niektórych naszych wspólnych znajomych i swoich kolegach wypowiadał się nie bez cynizmu. Hofmann był całkowicie bezpretensjonalny i drwił z tych, którzy mieli inne nastawienie. Zapytałem go, czy zna Paderewskiego, a on opowiedział mi, jak poprzedniego lata odwiedził swego rodaka w jego willi w Szwajcarii. Do dużego salonu wprowadził go lokaj w złotych galonach i bryczesach do kolan, prosząc o poczekanie. Pół godziny później, gdy cierpliwość Hofmanna się wyczerpała i miał już wychodzić, podwójne drzwi salonu otworzyły się na oścież i oszałamiający służący oznajmił poważnym głosem: »Le Maitre!«. Paderewski, we fraku, z wykrochmalonym kołnierzykiem i mankietami (była dziesiąta rano!), wkroczył niczym Ludwik XIV. Teraz pytam – kontynuował Hofmann z krzywym uśmiechem – czy to sympatyczny sposób na przywitanie się z kolegą artystą?

Co dziwne, nigdy nie słyszałem gry Paderewskiego i zapytałem Hofmanna, co sądzi o swoim rywalu (Paderewski był powszechnie uwielbiany, podczas gdy sztuka Hofmanna, wyżej oceniana przez muzyków, bywała niczym perły rzucane przed wieprze). »Och, jest bardzo dobry, ale – Hofmann przywołał słynny komentarz Rosenthala – to nie Paderewski!«.

(...) Mieszkając w tak bliskiej odległości, Hofmann i ja staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. Znalazł we mnie dobrego towarzysza ze względu na mój entuzjazm dla klasyki i moje otwarte uwielbienie dla jego kunsztu. Spędzał znaczną część każdego dnia w moim mieszkaniu, ćwicząc na moim instrumencie i popijając porto. Jego ćwiczenie miało formę przemyślanego, powolnego i artykułowanego wykonywania trudnych ustępów, przypominając sportowców i konie pokazywane w zwolnionym tempie w filmach – w celu analizy uderzeń w golfie i tenisie oraz koordynacji mięśni rumaków wyścigowych. Siadałem blisko i obserwowałem ruchy jego dłoni, nadgarstków i palców, z nadzieją, że uda mi się go naśladować, rozwinąć własną technikę i zbliżyć się do jego tonu – szlachetnego, pięknego i władczego, niczym głos idealnego śpiewaka. Hofmann rzeczywiście twierdził, że wzorował swój dźwięk i frazowanie na sztuce wielkiego włoskiego barytona, Battistiniego (...).

Ale choćbym nie wiem jak się przyglądał i słuchał (»Widzisz, jakie to proste!« – mawiał Hofmann, powoli pokonując jakiś niemożliwy fragment lub prowadząc liryczną frazę z taką szlachetnością, że z zachwytem patrzyłem na moje stare pianino) – nie potrafiłem uchwycić jego sekretu".

Chotzinoff o sobie:

Mój gust muzyczny, w dzieciństwie i wczesnej młodości naznaczony sentymentalizmem, został później oczyszczony przez sztukę Arturo Toscaniniego i Józefa Hofmanna, w której technika i interpretacja były nierozerwalne. Ci dwaj artyści stali się moimi przewodnikami.
To, co słyszałem w Metropolitan Opera i w salach koncertowych, porównywałem z powściągliwą, wyrafinowaną, całkowicie pozbawioną czułostkowości sztuką moich dwóch idoli.
W recenzjach krytykowałem niedojrzałe koncepcje muzyczne, sentymentalizm, efekt dla samego efektu i wszelkie próby grania dla poklasku.

Codzienność mistrza

„Hofmann w tamtym okresie swego życia miał opinię nader oszczędnego. Niektórzy nazywali go nawet skąpym. Doszedłem do wniosku, że tak wielki artysta może być taki, jak mu pasuje. Uważałem więc za zaszczyt zapraszanie go na lunch i kolację tak często, jak tylko umożliwiały mu to inne zajęcia, i czułem się sowicie wynagradzany jego towarzystwem oraz zwięzłymi, sarkastycznymi wypowiedziami o muzyce i interpretacji. W trakcie kilku miesięcy te lunche lub kolacje stały się rutyną, aż pewnego wieczoru Hofmann zaskoczył mnie, prosząc kelnera o rachunek. Na moje protesty kurtuazyjnie wyjaśnił: »Byłoby inaczej, gdybym w tym sezonie nie występował. Mam jednak w Anglii sporo angażów«.

Pewnego dnia zagrał mi wszystkie utwory fortepianowe Schumanna – a przynajmniej wszystko, co znałem lub słyszałem tego kompozytora. Sesja trwała osiem godzin, z przerwą na jedzenie i picie. Hofmann, daleki od zmęczenia, po zakończeniu wyglądał na rozentuzjazmowanego. Dla mnie był to niezapomniany dzień.

Tej zimy Hofmann dał pięć recitali w londyńskim Queen's Hall. Na szczęście byłem na wszystkich. Poza Jaschą Heifetzem Hofmann był najmniej kapryśnym ze wszystkich znanych mi muzyków. W wieczór swojego występu zazwyczaj schodził do mojego mieszkania już w stroju koncertowym i bardzo powoli przegrywał kilka trudniejszych fragmentów ze swojego programu. Następnie szliśmy do Queen's Hall, oddalonego o około milę. W swojej garderobie, przed wyjściem na estradę, Hofmann moczył ręce w gorącej wodzie. Te pięć recitali bez wątpienia stanowiło dla mnie szczyt interpretacji instrumentalnej".

© SAMUEL CHOTZINOFF

JAKUB PUCHALSKI (tekst i tłumaczenie)

Materiał udostępniony przez Pauline Chotzinoff, a następnie przez Gregora Benko.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 05/2026

REDAKCJA: Monika Ochędowska, Jakub Puchalski, Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran | OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska
Grafika na okładce: Blanka Biernat | Fotografie na stronach 76-87 pochodzą ze zbiorów The International Piano Archives, University of Maryland, za co dziękujemy panom Gregorowi Benko i Donaldowi Manildi.

PARTNERZY WYDANIA I WYSTAWY:

NARODOWY INSTYTUT POLSKIEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO ZA GRANICĄ POLONIKA

SPEAKING CONCERTS

KRAKÓW AIRPORT im. Jana Pawła II

Hofmann odkrywany

ŁUKASZ BOROWICZ

Zapomniany poemat symfoniczny Józefa Hofmanna, niegdyś wykonywany przez największych dyrygentów, dziś wraca na estrady jako jedno z najważniejszych odkryć Roku Hofmannowskiego.

23 stycznia 1920 r. gazeta „Los Angeles Herald" (t. XLV, nr 71) zamieściła arcyciekawą informację. „Chromaticon" i „Nawiedzony zamek" („The Haunted Castle"), utwory Michela Dvorsky'ego, wykonywane wówczas publicznie, okazały się w rzeczywistości kompozycjami Józefa Hofmanna. Autor posługiwał się pseudonimem, by jego muzykę oceniano niezależnie od nazwiska i renomy. Dziś, patrząc na partyturę „Zamku", widzimy niezwykle czytelny rękopis dzieła głęboko zakorzenionego w swojej epoce: epickiego, rozbudowanego symfonicznego fresku.

Rozległa, efektowna instrumentacja przywodzi na myśl przede wszystkim szkołę niemiecką i poematy symfoniczne Ryszarda Straussa. Z kolei długie ostinatowe linie, dwojenia instrumentacyjne oraz nakładane na siebie plany grup instrumentalnych mogą kojarzyć się z partyturami impresjonistycznymi. Kapryśna agogika, zmienność temp i narracji są cechami muzyki epickiej, opisowej, stanowiącej klasyczny przykład rozwiniętego poematu symfonicznego.

Ołówkowe adnotacje w partyturze (sporządzone w języku niemieckim) różnią się charakterem pisma od autografu i stanowią intrygujący dokument analizy partytury, m.in. harmonicznej. Z ogromną radością myślę o odkrywaniu brzmienia tego dzieła wraz z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia. Jestem przekonany, że stoimy u progu przywrócenia polskiej literaturze muzycznej ważnego utworu na rozbudowany skład symfoniczny. ©



ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

W bramie rodzinnego domu przy ul. Kurniki w Krakowie, 1935 r.

WYKONANIE I NAGRANIE

– pod batutą autora powyższych słów, Łukasza Borowicza – zapomnianego dziś poematu symfonicznego Józefa Hofmanna, niegdyś prowadzonego przez tak wybitnych dyrygentów jak Leopold Stokowski i Frederick Stock, zapowiada się jako kulminacyjne wydarzenie Roku Hofmannowskiego. Przypadnie on pomiędzy dwie rocznice: 20 stycznia 2026 r. (150. rocznicę urodzin) oraz 16 lutego 2027 r. (70. rocznicę śmierci kompozytora). W tym samym czasie liczymy na finał wieloletnich starań o upamiętnienie w Krakowie miejsc urodzin Józefa Hofmanna (ul. Kurniki), a także przynajmniej Ignacego Friedmana (ul. Kalwaryjska; w kolejce pozostają również Mieczysław Münz i Seweryn Eisenberger). Towarzyszyć temu będą specjalne koncerty oraz spotkania poświęcone pianistom, a na krakowskim lotnisku przygotowywana jest właśnie wystawa poświęcona artyście. Hofmann ponownie zajmuje należne mu miejsce w historii muzyki jako kompozytor i pianista. © JAKUB PUCHALSKI

Ćwiczenie z widzialności

Bartłomiej Gutowski

Kultura działa jak urządzenie: wymaga troski, połączeń i decyzji o tym, co ma krążyć w obiegu. Historia Józefa Hofmanna pokazuje, jak łatwo wielkie postaci mogą wypaść z narodowej świadomości.

Hofmann w polskim obiegu jest cieniem. Pojawia się rzadko i raczej przypadkowo. Nie ma go w szkolnej narracji. Nie ma tablic i ulic, które działałyby jak codzienne „przypominacze". Jednocześnie w tle krążą superlatywy: „cudowne dziecko", „jeden z największych pianistów XX wieku". W tym rozdźwięku nie ma żadnej „niesprawiedliwości dziejowej". Jest logistyka. Pamięć zbiorowa dzisiaj nie jest uczuciem. Jest infrastrukturą. Jest archiwum, katalogiem, repertuarem, indeksem, programem instytucji, rolką w mediach społecznościowych, przepisaniem na język obiegu. I jest jeszcze czymś bardziej bezlitosnym. Jeśli nie ma hasła, jeśli nie ma dobrego opisu i ścieżki dojścia, to znika.

Badania nad pamięcią mówią wprost, że pamięć zbiorowa nie „leży" w przeszłości, tylko jest nieustannie produkowana przez media i technologie. Platformy i bazy danych to nie tylko repozytoria. Stanowią źródło pamięci. To z nich wychodzi ona jako metadane, trafia do wyszukiwarki, do algorytmów, do tego, co da się odnaleźć linkiem. Tutaj liczy się przede wszystkim bycie odnajdywalnym.

NIEWYGODNE OPOWIEŚCI

W latach 30. XX wieku Józef Hofmann przestał być wyłącznie legendą fortepianu. Stał się bolesnym i trudnym przypadkiem. Pogorszenie jego sytuacji wiązano z alkoholem. Niemniej redukowanie tej historii do moralnej przypowieści byłoby tyleż wygodne, co jałowe. Ważniejsza jest przemoc miękka, instytucjonalna. W Curtis Institute, miejscu, które współtworzył i któremu nadawał kierunek, nie doszło do romantycznego „odejścia artysty", tylko do rozgrywki o władzę. Mary Louise Curtis Bok – fundatorka – krok po kroku demontowała politykę Hofmanna, a oferta dalszego kierowania była w praktyce propozycją sterowania bez steru. Z obciętym zapleczem i prestiżem. Rezygnacja z funkcji dyrektora w 1938 roku była tylko finałem.

I tu widać mechanikę pamięci, która jest funkcją infrastruktury. Raportów, archiwów, katalogów, podpisów na tabliczkach, decyzji o tym, co cytować, a co ma pozostać bez przypisu. W tej narracji kryzys Hofmanna to nie tylko biograficzny odnośnik. To element gry pamięci, tego, co buduje opowieść, ale i tego, co niewygodne, pomijane, prowadzące do zapomnienia. W odzyskiwaniu pamięci ważna jest monografia Krystyny Juszyńskiej, która układa chronologię koncertów (1885–1946), czyta korespondencję, porządkuje rozproszone fakty i oddziela to, co potwierdzone, od tego, co tylko dobrze brzmi. Daje punkt odniesienia, bo odzyskiwanie pamięci to długi i wielowątkowy proces, szczególnie gdy przechodzimy od pamięci jako treści do pamięci jako praktyki i medium.



ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

W tle działa też inna maszyneria pamięci. Na poły anegdotyczna historia o Hofmannie-wynalazcy. W opracowaniach przewija się informacja o dziesiątkach patentów, o pomysłach technicznych i ulepszeniach, także tych związanych z mechaniką fortepianu. W narodowej opowieści ta warstwa, jeśli się pojawia, często skręca w triumfalizm. Opowieść o „naszym" wkładzie w motoryzację, jakim jest wycieraczka do szyb, którą miał wymyślić Polak – Józef Hofmann. Tyle że wycieraczka ma własną historię sporów o pierwszeństwo i równoległych patentów. Mary Anderson dostała amerykański patent na urządzenie do czyszczenia szyb w 1903 roku, a sama idea ma więcej niż jedną genealogię. Dlatego łatwo popaść w narrację, która ma nam zrobić dobrze, zamiast opisać prawdę w całej jej nieporęczności.

BOHATER NARODOWEJ ŚWIADOMOŚCI

Instytut Polonika, który wsparł wystawę jubileuszową, koncentruje się na działaniu między pamięcią a infrastrukturą. Na badaniach, ochronie i popularyzacji. Tę opowieść zaczyna jednak od rzeczy prozaicznych. Od profesjonalnej dokumentacji i próby pokazania kontekstu. Od włączenia w obieg wiedzy dostępnej w Bazie Polonika. To efekt myślenia o pamięci, która „podróżuje", zmienia język, format i funkcję, kiedy przechodzi przez granice, gdy zmieniają się instytucje. Jeśli nie umiemy śledzić tych przepływów, mylimy brak obecności z brakiem znaczenia.

Rocznica Hofmanna to w gruncie rzeczy ćwiczenie z widzialności, z tego, co wprowadzamy do obiegu, i tego, o czym milczymy i dlaczego o tym milczymy. Problemy osobiste, kariera zaprzepaszczona alkoholem, trudny w PRL wątek amerykańskiej kariery, a wreszcie i niewygodna sprzeczność. Równoczesność geniuszu i rozpadu. To wszystko składa się na historię, którą łatwo uprościć, a trudniej przechować w całości.

Kultura jest urządzeniem. Działa wtedy, gdy dbamy o jej części, łączymy przewody, porządkujemy dane, ale też podejmujemy decyzje, jakie historie mają krążyć w obiegu. Józef Hofmann na pewno jest jedną z tych postaci, które powinny częściej pojawiać się w naszej świadomości.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

NARODOWY INSTYTUT POLSKIEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO ZA GRANICĄ
POLONIKA

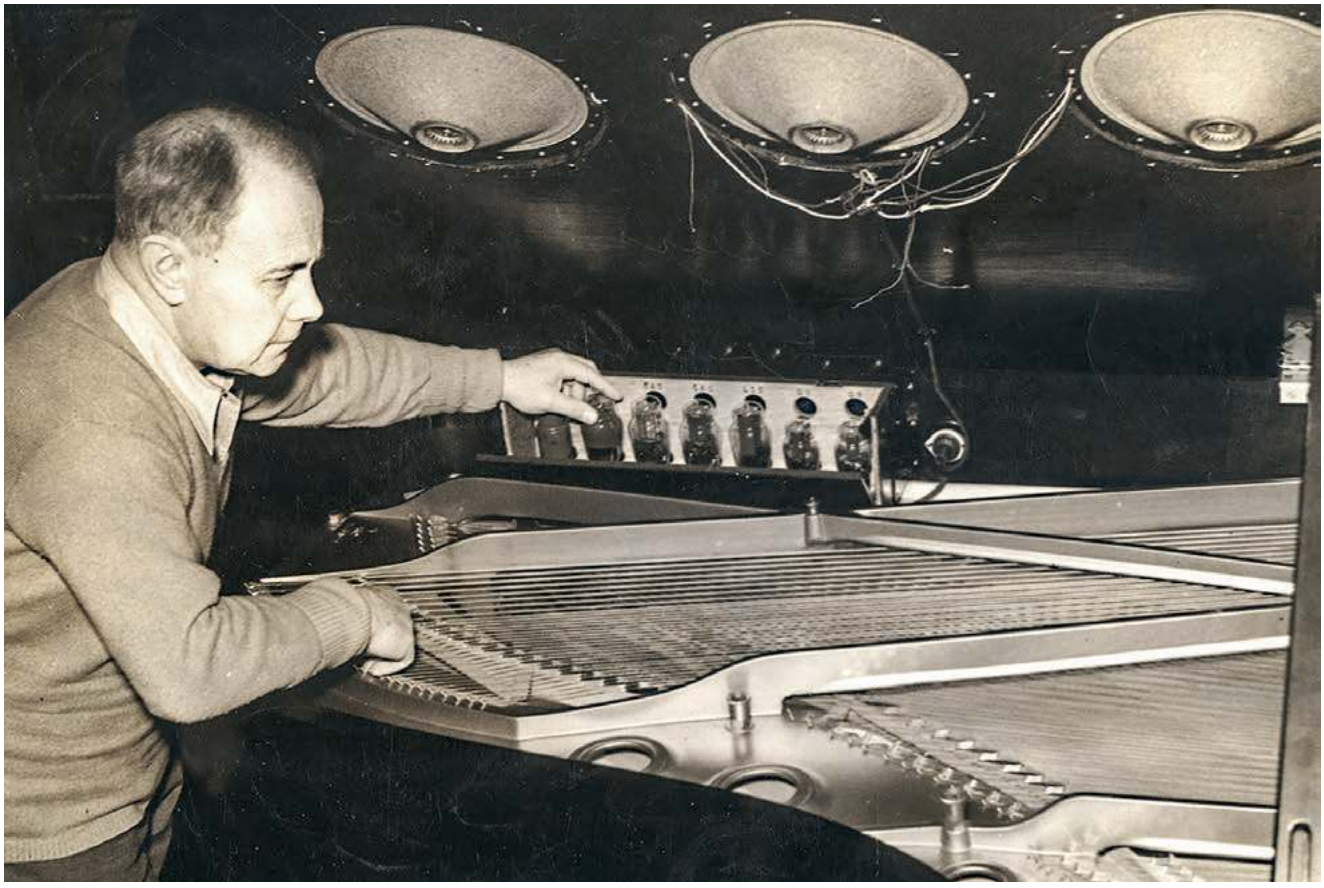

ZBIORY THE INTERNATIONAL PIANO ARCHIVES, UNIVERSITY OF MARYLAND

Hofmann testuje opracowany przez siebie wzmacniacz dźwięku fortepianu, zdjęcie niedatowane

Stratosferyczny

TADEUSZ SADLOWSKI

„Dla mnie był bogiem. Nie było nikogo takiego jak on. I nigdy nie grał utworu dwa razy tak samo. Nigdy. Zawsze coś innego było wydobyte na wierzch. Słyszałem go na przykład dwukrotnie grającego Balladę f-moll [Chopina]. To było praktycznie jak nowe odczytanie. Ale każde wspaniałe. Stratosferyczne" – mówił w 1989 r. w wywiadzie Gregorowi Benko amerykański pianista Tadeusz Sadlowski. Fragmenty rozmowy publikujemy za płytą „Complete Josef Hofmann vol. 9" (wyd. Marston Records).

„Miał ręce krótkie, ale bardzo mięsiste. Uścisk dłoni (...) był jak włożenie ręki do worka z kwiatami. Nie czuło się żadnych kości, tylko cudowne ciało".

GREGOR BENKO: Jak Pan poznał Hofmanna?

TADEUSZ SADLOWSKI: Simon Barere [inny sławny wirtuoz – przyp. red.] zawołał mnie do stołu. Przedstawia mnie: to polski pianista, bardzo utalentowany chłopak, ta-ta-ta-ta. I wskazuje: to Josef Hofmann. To Moriz Rosenthal. Po czym zaczęli do mnie mówić po polsku. Zwykli znęcać się nad pianistami. Pamiętam, jak Rosenthal się do mnie odwrócił. Rozmawiali o Rubinsteinie, więc podkreślił: Anton, nieobecny klaun. „*Not the present clown*", dokładnie te słowa.

Słyszał Pan więc Hofmanna, kiedy był Pan chłopcem?

O tak, wiele razy. Grał koncerty w soboty i niedziele. Wyprzedawały się w dwie godziny. Czasami zezwalał na umieszczenie miejsc na estradzie, jeśli był w dobrym humorze. Zazwyczaj były te krzesła. Tłum, tłum, tłum. 16 bisów. Pewnego razu słyszałem, jak grał Balladę f-moll. To był ostatni bis, po Fantazji z „Don Juana". [Liszta „Reminiscencje na temat »Don Giovanniego« Mozarta" – Harold C. Schonberg wspominał jako najdoskonalsze wykonanie czegokolwiek na fortepianie, jakie dane im było słyszeć]. Co za „Don Juana"! Wie pan, kiedy ciarki przechodzą po plecach. Chodziliśmy do Hofmanna na zaplecze. – Jak tam brzmiało na sali? – pytał po polsku. O mój Boże, ta skromność. Wracając do domu, nigdy nie byłem w stanie jechać metrem. Zawsze chodziłem do domu pieszo, bo kręciło mi się w głowie po jego koncertach. Były takie wspaniałe. Takie wspaniałe. Nie do opisania.

© Rozmawiał GREGOR BENKO

REKLAMA

SPEAKING CONCERTS



HOFMANN REDIVIVUS

koncert muzyki klasycznej połączony z opowieścią filmową

Marcin Sompoliński
Orkiestra Collegium F

1 lutego, 18.00
Kraków: Filharmonia Krakowska

20 lutego, 19.00
Poznań: Aula UAM

bilety

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY
Rzeczpospolita Polska
Sfinansowane przez Unię Europejską NextGenerationEU

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MISJA SPOŁECZNA | [illegible]OŚĆ
DEM[illegible]RACJA | ZNACZENIE
AUT[illegible]TYCZNO[illegible] | [illegible]A
CZŁOWIEK | [illegible]IEDZICTWO
PAMIĘĆ | O[illegible]WIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

Na co do teatru

DARIUSZ KOSIŃSKI

Już dziś jesteśmy zasypywani spektakularnymi premierami, a wiosna zapowiada się burzą atrakcji. Oto lista spektakli, na które warto czekać.

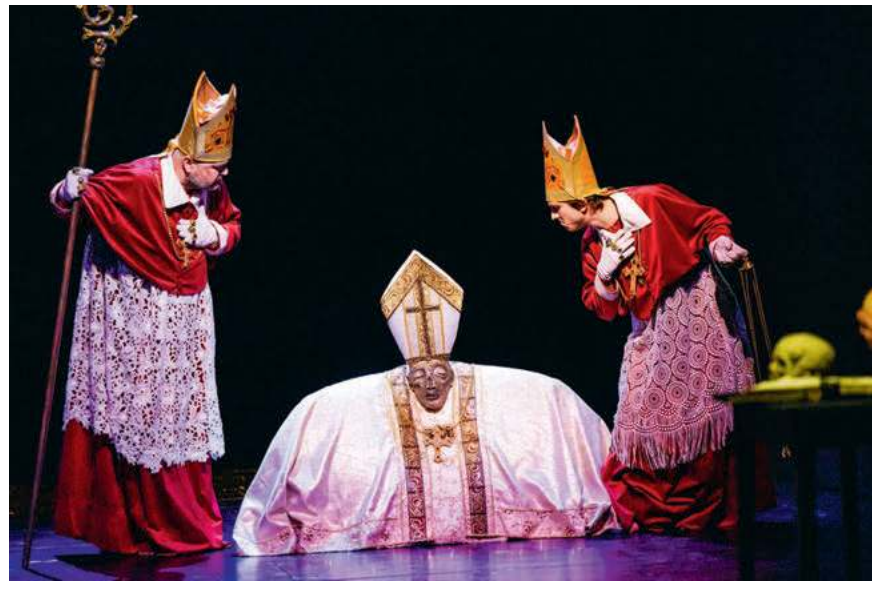

PRZEMYSŁAW JENDROSKA / TEATR ŚLĄSKI

Spektakl „Między nogami Leny, czyli Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny według Caravaggia" w reż. Agaty Dudy-Gracz, Teatr Śląski w Katowicach

Koniec stycznia wysypał całe worki nowych propozycji teatralnych, których oglądanie zajmie nam jeszcze sporą część lutego. Szczególnie intensywnie sypało w weekend 23–25 stycznia. W pierwszy z tych dni odbyły się premiery dwóch przedstawień, łączących reinterpretacje klasycznych dzieł literackich ze współczesną refleksją na temat rodziny.

W **Teatrze Polskim w Poznaniu Tadeusz Pyrczak** pokazał historię buntu Ibsenowskiej Nory z perspektywy jej dzieci w przedstawieniu „Dom lalek", w **Narodowym Starym Teatrze** zaś **Piotr Domalewski** opowiedział współczesny epilog „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza w spektaklu „Zamknij oczy, Nel".

Tego samego dnia w **Teatrze Śląskim w Katowicach** do tradycji, ale malarskiej, odwołała się **Agata Duda-Gracz** w przedstawieniu „Między nogami Leny, czyli Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny według Caravaggia", mierzącym się z legendą włoskiego malarza.

Na dodatek frapujący powrót klasyki współczesności – w postaci teatralnej adaptacji głośnej powieści Michała Witkowskiego „Lubiewo", stworzonej przez **Jędrzeja Piaskowskiego** i Huberta Sulimę – przygotował na ten sam styczniowy weekend **Wrocławski Teatr Współczesny**.

Wybitne powieści są też punktem wyjścia dwóch interesujących przedstawień prezentowanych w Warszawie w ostatni weekend stycznia. Najpierw (29.01) **Teatr Polski** wystawia adaptację „Płomieni" Stanisława Brzozowskiego w reżyserii **Janusza Opryńskiego**, dzień później zaś odbywa się w **Teatrze Żydowskim** premiera przedstawienia „Dziedzictwo", na podstawie dwóch powieści Isaaca Bashevisa Singera, „Dwór" i „Spuścizna" (reżyseruje **Robert Talarczyk**).

Luty

Po styczniowej śnieżycy nastąpi chwilowe uspokojenie. Jedynie 7 lutego **Teatr Żeromskiego w Kielcach** podrzuci „Łatwy sposób na rzucenie palenia" według książki Allena Carra w adaptacji i reżyserii **Radosława Rychcika**. Około połowy miesiąca znów jednak nasilać się będą podmuchy nowości. W Warszawie pojawią się: „Zaklinanie węży w gorące wieczory" – adaptacja powieści Małgorzaty Żarów (**Teatr Dramatyczny w Warszawie**, reż. **Jan Jeliński**) oraz „Tajemniczy ogród" Frances Hodgson Burnett w wersji **Grzegorza Jaremki** (**Nowy Teatr**).

Po nich rozszaleje się prawdziwa śnieżyca, która opanuje cały kraj. Już 20 lutego wrocławski **Teatr Polski (wciąż) w Podziemiu** proponuje wznowienie legendarnej „Wycinki" Thomasa Bernhardta w reżyserii **Krystiana Lupy**. Dzień później **Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi** zaprasza na premierę „Internatu" Serhija Żadana w reżyserii **Pawła Łysaka**, a **warszawski Powszechny** na nową sztukę Jolanty Janiczak „Lisa", oczywiście w reżyserii **Wiktora Rubina**.

To jednak tylko przygrywka do tego, co dziać się będzie tydzień później. W piątek 27 lutego **Teatr Jaracza w Olsztynie** pokaże po raz pierwszy „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza w wersji **Sławomira Narlocha**, bardzo zapracowanego twórcy kilku frapujących inscenizacji klasycznych tekstów. A dzień później aż trzy niezwykłe premiery.

Po pierwsze – w **Teatrze im. Słowackiego w Krakowie** „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii **Mai Kleczewskiej**, zamykającej w ten sposób tryptyk, którego dwie pierwsze części stanowiły „Dziady" i „Wesele". Po drugie – w **Teatrze Syrena w Warszawie** „Starzyński", musical o legendarnym prezydencie Warszawy (reż. **Konrad Imiela**, muzyka Grzegorz Rdzak). Po trzecie – w **Teatrze Współczesnym w Szczecinie** „Sztuka protestu" – przedstawienie o katastrofie klimatycznej przygotowane przez **Michała Buszewicza** we współpracy z aktywistami kontrowersyjnej grupy Ostatnie Pokolenie. Na dodatek **Piotr Ratajczak**, nowy kierownik artystyczny **Teatru im. Horzycy w Toruniu**, zaplanował na ten sam weekend premierę reżyserowanego przez siebie przedstawienia „Na ostrzu noża" według Arnolda Weskera.

Jakby tego było mało, wytworzył się tej zimy układ szczególnie sprzyjający rozwojowi tańca. Otwarcie **Pawilonu Tańca w Warszawie** sprawiło, że osoby zainteresowane tą dynamicznie rozwijającą się sztuką wciąż otrzymują nowe propozycje. Już 30 stycznia w Pawilonie polska premiera „Stormu" **Pawła Sakowicza**, a w lutym m.in. pokazy nowych prac **Anny Nowickiej** i **aleksa borysa** oraz całe mnóstwo warsztatów, spotkań i kursów. ↦



ADAM BRZOZOWSKI / TEATR POLSKI W POZNANIU

Zdjęcia z próby do spektaklu „Dom lalek" w reż. Tadeusza Pyrczaka, Teatr Polski w Poznaniu

↦ Ale nie tylko w Pawilonie utworzą się wiry nowego tańca: 11 lutego w **krakowskiej Cricotece** odbędzie się premiera spektaklu „opera.exe" w choreografii **Eryka Makohona** zrealizowanego z zespołem Krakowskiego Teatru Tańca.

Marzec i kwiecień

Z wiosennymi roztopami zgadza się tytuł zaplanowanej na 6 marca premiery **TR Warszawa**: „Ulica żółtego błota" według powieści Can Xue. Twórczyni przedstawienia **Julia Nowak** wykorzystuje tekst chińskiej pisarki jako inspirację do refleksji na temat odrazy i mechanizmów jej wytwarzania. Tego samego dnia w warszawskim **Teatrze Studio** odbędzie się premiera monodramu Eweliny Żak „Mała empiria", reżyserowanego przez **Annę Ilczuk**, a opartego na książce Katarzyny Sobczuk będącej czułą analizą doświadczenia wieku średniego.

Dzień później **Teatr Dramatyczny w Gdyni** piórem Artura Pałygi zmierzy się z mitem miasta będącego jego siedzibą w zapowiadanym od dawna przedstawieniu „Gdynia. Fordewind" na podstawie reportażu Aleksandry Boćkowskiej (reżyseruje **Daria Kopiec**). Tego samego dnia, na drugim końcu Polski, w **Opolu** powieść „Piana dni" słynnego francuskiego surrealisty Borisa Viana wprowadzi na scenę **Igor Mendjisky**, francuski reżyser polskiego pochodzenia.

Tydzień później **Teatr Powszechny w Warszawie** zapowiada jedno z ważniejszych wydarzeń sezonu – inscenizację „Trojanek" Eurypidesa w interpretacji **Aleksandry Bielewicz**, w której szczególną rolę odgrywać będzie muzyka i choreografia. Poza konwencje teatru wystawiającego sztuki po raz kolejny wyjdzie natomiast **Teatr Współczesny w Szczecinie**, w którym **Piotr Wawer jr** przygotuje własny „Piękny i krótki spektakl o komunikacji", poddający analizie jej współczesne formy i ograniczenia na przykładzie komunikacji teatralnej.

Mocniejsze zderzenie frontów zapowiadane jest na ostatnie weekendy marca. Atmosferę w Warszawie opanuje wyż literacki: **Teatr Dramatyczny** zaprosi na adaptację „Lalki" autorstwa **Mikity Iłynczyka** i **Gorana Injaca**,



DUET HAWA (HABRYN I WAWRZOŁA) / NARODOWY STARY TEATR W KRAKOWIE

Spektakl „Zamknij oczy, Nel. W pustyni i w puszczy – epilog", reż. Piotr Domalewski, Teatr Stary w Krakowie

zapowiadającą się jako frapujące studium życia w sytuacji zniewolenia, **Ateneum** pokaże adaptację „Chamowa" Mirona Białoszewskiego w reżyserii **Mikołaja Grabowskiego**, a **Teatr Narodowy** zaprezentuje premierę dramatu „Słodki ptak młodości" klasyka amerykańskiego dramatu modernistycznego Tennessee Williamsa, którą wyreżyseruje **Małgorzata Bogajewska**.

W tym samym czasie na zachodzie i południu kraju pojawiać się będą podmuchy wiatrów niedramatycznych. **Wrocławski Teatr Pantomimy** planuje na 20 marca premierę nowego projektu **Małgorzaty Wdowik**, zatytułowanego „Little", a tydzień później w Krakowie **Elsa Revcolevschi**, pierwsza zagraniczna rezydentka **Narodowego Starego Teatru**, zaprezentuje przedstawienie „Martwe natury", eksplorujące pamięć powiązaną z przedmiotami.

Ryzyko zderzenia przeciwieństw łagodzić będą zachodnio-południowe projekty oparte na wybitnej literaturze: „Palacz zwłok" według Ladislava Fuksa w adaptacji i reżyserii **Piotra Mateusza Wacha** (**Teatr im. Szaniawskiego w Wałbrzychu**) oraz „Czekając na barbarzyńców" według Johna Maxwella Coetzeego w adaptacji i reżyserii **Bartosza Szydłowskiego** (**Łaźnia Nowa w Krakowie**).

Na początku kwietnia święta wielkanocne powstrzymają napór teatralnych nowości. Ale tylko chwilowo, bo w drugiej połowie miesiąca spodziewane są nawałnice wydarzeń teatralnych. Najpierw nadciągnie nad Polskę „Requiem dla snu" według powieści Huberta Selby'ego Jr., rozsławionej przez film Darrena Aronofsky'ego. Przedstawienie w reżyserii **Jakuba Skrzywanka** powstaje w koprodukcji **krakowskiego Starego** i **warszawskiego Studia** – stąd podwójne daty premier: 17 IV warszawska, a 25 IV krakowska.

Koprodukcją, tym razem teatrów **Nowego z Warszawy** i **Polskiego z Poznania**, jest tworzona pod kierunkiem **Katarzyny Kalwat** sceniczna adaptacja powieści Edwarda Pasewicza „Pulverkopf" o muzycznie splątanych losach ludzi wielu narodowości, którzy przewinęli się przez historię Międzyrzecza.

Inne oczekiwane wydarzenia kwietnia to przedstawienie „Mężczyźni objaśniają mi świat" według esejów Rebeki Solnit w reżyserii **Klaudii Gębskiej**

(**Teatr Narodowy w Warszawie**), „Kandyd" Woltera w adaptacji i reżyserii **Sławomira Narlocha** (**Teatr im. Horzycy w Toruniu**), „Profesor" według książki Grzegorza Walczaka o kieleckim wariancie „Breaking Bad" (reżyseria **Jan Hussakowski**, **Teatr im. Żeromskiego w Kielcach**) oraz kolejna inscenizacja dramatu Ishbel Szatrawskiej „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z miasta Sacramento w stanie Kalifornia", którą w **Teatrze Wybrzeże w Gdańsku** przygotuje jego dyrektor **Adam Orzechowski**.

Szczególnie gwałtowne wyładowania przynieść może zapowiadana na 25 kwietnia najdosłowniej sensacyjna nowość w repertuarze **Teatru Szaniawskiego w Wałbrzychu** – „007 zgłoś się" według legendarnego serialu o poruczniku Borewiczu w reżyserii **Agaty Puszcz**.

Maj

Niektóre tytuły bywają prorocze. **Teatr Polski w Poznaniu** zapowiada na kwiecień kolejny szekspirowski projekt duetu **Gruba i Głupia**, czyli Dominiki Knapik i Patrycji Kowańskiej, zatytułowany „Very Hamlet". I rzeczywiście wiosna będzie w polskim teatrze „bardzo Hamletowa". W maju podczas jednego weekendu obejrzeć będzie można premiery dwóch wersji arcydramatu Szekspira. Najpierw, 15 maja w **Teatrze Śląskim w Katowicach Robert Talarczyk** wystawi tragedię królewicza duńskiego w śląskim przekładzie Mirosława Syniawy, a dzień później w **Teatrze Powszechnym w Warszawie** odbędzie się oczekiwana premiera „Hamleta" w reżyserii **Kamila Białaszka**. Jakby tego było mało, **Narodowy Stary Teatr** na zwieńczenie sezonu zaplanował prapremierę nowego tekstu Pawła Demirskiego „Hamlet. Adopcja" w reżyserii **Remigiusza Brzyka**, zapowiadając, że będzie to przedstawienie o kryzysie męskości.

W kręgu kryzysu pozostanie też zapewne przygotowywana przez **Michała Kmiecika** adaptacja powieści Alfreda Kubina „Po tamtej stronie" – tej samej, która czterdzieści lat temu zainspirowała Krystiana Lupę do stworzenia „Miasta snu" (premiera we **Wrocławskim Teatrze Współczesnym**). Bardzo poważnie zapowiada się także inscenizacja dramatu noblisty, Jona Fossego, „Sen o jesieni", którą w **Teatrze Nowym w Łodzi** wyreżyseruje **Tomasz Fryzeł**.



KAROLINA JÓŹWIAK / TEATR POLSKI W WARSZAWIE

Spektakl „Płomienie" w reż. Janusza Opryńskiego, Teatr Polski w Warszawie

Osobny wir gwałtownych zjawisk tworzą premiery podejmujące krytyczne i przewrotne wiwisekcje mitów i herosów współczesności. Z modą, jej fantazmatami i dyktatem zmierzy się w **Teatrze im. Jaracza w Łodzi Marcin Liber** w przedstawieniu „Arkadius is dead" inspirowanym postacią i kreacjami Arkadiusza Weremczuka. Bój w wadze superciężkiej stoczy zaś w **Teatrze Współczesnym w Szczecinie Paweł Miśkiewicz**, który wykorzysta „Królewską drogę" Elfriede Jelinek jako podstawę do analizy fenomenu obecnego prezydenta USA w spektaklu „Trump. Na królewskim szlaku".

Do twórczości austriackiej noblistki odwoła się też, po raz kolejny w swojej twórczości, **Katarzyna Kalwat**, która w **Teatrze Polskim w Podziemiu** zrealizuje muzyczno-teatralny projekt pod roboczym tytułem „Słońce/Powietrze/Popiół. Tryptyk". Ma to być opera performatywna w duchu głośnego przed laty przedstawienia tej samej reżyserki „Rechnitz. Anioł Zagłady". Muzykę skomponuje Wojciech Błażejczyk, a w projekcie weźmie też udział wokalistka i kompozytorka Agata Zubel.

Nieco lżejszy ciężar i bardziej wiosenny charakter mieć natomiast będzie planowane w **Teatrze im. Słowackiego w Krakowie** przedstawienie sztuki Marii Wojtyszko „Niespodziewane zwycięstwo Unii Polsko-Czeskiej w trzeciej wojnie światowej". To political fiction z domieszką czeskiego humoru wyreżyseruje **Jakub Krofta**.

Czerwiec

Ostatni miesiąc sezonu rozświetlą i ogrzeją mocne propozycje finałowe odwołujące się do znanych literackich marek. **TR Warszawa** zaplanował nowe przedstawienie **Weroniki Szczawińskiej** według głośnej przed pół wiekiem feministycznej powieści Eriki Jong „Strach przed lataniem".

W **Teatrze Narodowym** także w centrum kobiety: **Anna Augustynowicz** wyreżyseruje „Moralność pani Dulskiej" z Małgorzatą Kożuchowską w roli tytułowej. Równie klasycznie i niewakacyjnie zakończy sezon **Teatr Polski w Poznaniu**, zapowiadający nową interpretację „Nie-Boskiej komedii" Zygmunta Krasińskiego w reżyserii **Piotra Pacześniaka**. Wreszcie **Teatr Szaniawskiego w Wałbrzychu** pokaże „Iliadę" w reżyserii **Pawła Świątka** – w sam raz przed wakacyjną premierą kinowej „Odysei" Nolana.

Na szczęście dla miłośników innego teatru z tego superklasycznego zestawu wyłamie się **Wrocławski Teatr Pantomimy** zapowiadający na czerwiec nowy projekt **Anny Karasińskiej** – tytuł „Spektakl niespodzianka" należy potraktować jak najbardziej dosłownie: teatr nie ma zamiaru ujawniać ani tematu, ani formuły przedstawienia.

Z pewnością poza tą finałową niespodzianką zapowiedzianą, czeka nas jeszcze wiele innych, o których w tej chwili niewiele lub wręcz nic nie wiadomo. Prognozy prognozami, ale zawsze trzeba być w pogotowiu. Taki mamy teatralny klimat. © DARIUSZ KOSIŃSKI



JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PRASOWE

Relacja z materią

Karol Suszczyński, dyrektor Teatru Groteska:

Teatr lalek nigdy nie był z natury wyłącznie dla dzieci. To kulturowe przyzwyczajenie naszej części Europy. Teatr Groteska od kilku sezonów świadomie je przełamuje, budując repertuar także dla dorosłych widzów.

Scena z przedstawienia „Dzień osiemdziesiąty piąty"

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jesteśmy w drugiej połowie sezonu. Co dziś najlepiej pokazuje kierunek, w jakim idzie Teatr Groteska?

KAROL SUSZCZYŃSKI: Przede wszystkim frekwencja. Ubiegły rok zamknęliśmy wynikiem 91 procent – to rekord w historii teatru i jasny sygnał, że zmiana repertuaru była konieczna. Nowe tytuły po prostu się sprzedają. Najlepszym przykładem jest „Miś Tymoteusz". To nasz najmocniejszy tytuł – w pierwszym sezonie mieliśmy frekwencję powyżej 100 procent, co zdarza się naprawdę rzadko. Widać też, że część spektakli zaczęła przyciągać widzów spoza Krakowa.

Tak, i to jest dla nas bardzo ważne. „Tarabumba! Ale Cyrk..." sprawił, że widzowie zaczęli specjalnie przyjeżdżać do Groteski z innych miast. O tym spektaklu mówi się w całym kraju – takiego zainteresowania Teatr nie miał od lat.

Jakie premiery otwierają drugą część sezonu?

Zaczynamy od „Witrażowanek Stasia Wyspiańskiego". To spektakl dla bardzo młodej widowni – pomiędzy widzem najnajowym a młodszym widzem dziecięcym, od około dwóch i pół roku.

Wyspiański i tak młoda publiczność to dość wymagający punkt wyjścia.

Dlatego nie chodzi o „szkolne" wprowadzanie w jego twórczość. Interesuje nas wrażliwość Wyspiańskiego na kolory, światło, fakturę czy naturę. Reżyserka spektaklu Honorata Mierzejewska-Mikosza wyszukała w jego twórczości fragmenty, które pokazują, jak chłonął otaczający go świat. Powstał prosty, zmysłowy tekst, działający na emocje. Premiera w marcu.

Co będzie następne?

„Przemiany" inspirowane tekstem Owidiusza. Będzie to propozycja dla młodzieży i dorosłych mówiąca o kryzysach i trudnych momentach, które mogą stać się impulsem do zmiany – czymś, co daje energię i wiarę. Reżyseruje go Natalia Sakowicz, debiutująca w teatrze instytucjonalnym, uznana artystka i pedagożka w białostockiej Akademii Teatralnej. Zależy mi na konfrontowaniu dorosłej publiczności z nowym myśleniem o teatrze lalek.

Na czym polega to zderzenie, o którym Pan mówi?

Aktor przez cały czas pozostaje w relacji z przedmiotem, materią, lalką. Nie są one dekoracją, lecz równoprawnymi partnerami scenicznymi. Budujemy etiudy z elementów plastycznych. Akcja toczy się na wykopaliskach, więc wydobywane artefakty nie tylko opowiadają historię – one same nią są. To dla mnie bardzo istotny kierunek myślenia o teatrze formy.

Ten sezon domknie jeszcze jeden tytuł skierowany do młodszych widzów.

Tak, w sierpniu zakończymy sezon premierą spektaklu „Dzika banda" Maliny Prześlugi. To propozycja dla dzieci młodszych – opowieść o pojawieniu się nowego bohatera i reakcjach wspólnoty. To też historia o lęku przed nieznanym i o tym, jak łatwo powielamy uprzedzenia, które często okazują się zupełnie niepotrzebne. Ten projekt ma też ciekawą historię produkcyjną. Początkowo staraliśmy się o licencję na adaptację tekstów Rachel Bright – wskazanych przez widzów w głosowaniu. Ostatecznie wydawca jednak nie zgodził się na kompilację.

Poprosiliśmy więc Malinę Prześlugę o napisanie tekstu o podobnej strukturze narracyjnej. Co ciekawe, później pojawiła się propozycja gotowej adaptacji z Wielkiej Brytanii. Na razie ten pomysł odkładamy, ale możliwe, że wrócimy do niego w kolejnym sezonie.

Na dziś największą niewiadomą pozostaje finansowanie Wielkiego Widowiska na Wiśle. To realny problem. Szukanie sponsorów nie jest łatwe, czekamy też na decyzje instytucjonalne – na przykład wsparcie ze strony marszałka, podobne do tego z ubiegłego roku. To jeden z kluczowych elementów Wielkiej Parady Smoków – w tym roku jubileuszowej – który wciąż pozostaje w zawieszeniu i właściwie zamyka listę najważniejszych działań do końca sezonu.

Czy w świecie przebodźcowania i walki o uwagę młodego widza misja teatru się zmienia?

Nie zgadzam się z tezą, że misją Groteski jest wyłącznie teatr dla dzieci. To silne, historyczne przyzwyczajenie, sięgające jeszcze lat 40., kiedy teatr lalek został administracyjnie przypisany najmłodszym. Groteska nigdy nie była tylko teatrem dziecięcym

MATERIAŁ PROMOCYJNY

– wystarczy przypomnieć realizacje dramatów Mrożka, Brechta, Jarry'ego czy Gałczyńskiego. W naszej części Europy teatr lalek kulturowo „przyklejono" do dzieci, choć nie jest to myślenie uniwersalne. Od kilku sezonów bardzo świadomie z tym walczę, wprowadzając regularnie repertuar dla dorosłych.

Oczywiście wciąż w około 90 procentach gramy dla młodszej publiczności. Ale równie ważna jest dla mnie przestrzeń dla widza młodzieżowego – zwanego dawniej „widzem niczyim" – który nie chce już teatru dziecięcego, a w teatrze dla dorosłych jeszcze nie znajduje dla siebie miejsca.



JEREMI ASTASZOW / MATERIAŁY PRASOWE

Scena z przedstawienia „Tarabumba! Ale Cyrk..."

Podobną lukę było jeszcze niedawno widać w literaturze.

Zarówno tekstów literackich, jak i dramatów dla młodzieży przybywa i – co najważniejsze – teatr jest realnie oglądany. To pokolenie dorasta w świecie, który zmienia się tak szybko, że my sami często uczymy się go razem z nim. Staramy się reagować na zmiany najlepiej, jak potrafimy.

Spektakle „najnajowe" pełnią tu inną funkcję?

Tak. Są adresowane do dzieci od kilku miesięcy do dwóch–trzech lat i nie opowiadają linearnej historii. Chodzi o oswojenie z przestrzenią teatru – światłem, dźwiękiem, ruchem – żeby później nie było szoku. Uwaga dziecka skupia się na prostych zjawiskach: muzyce, obrazie, ruchu. Często po spektaklu najmłodsi mogą wejść na scenę, dotknąć scenografii. To buduje ciekawość i sprawia, że chcą do teatru wracać.

A jak wygląda praca z widzem nieco starszym?

To zależy od tytułu. „Miś Tymoteusz" jest mocno osadzony we współczesności – relacje rodzinne i sposób komunikacji są bliskie temu, co dzieci znają z własnego świata i kultury popularnej. Świadomie korzystamy z języka, który znają choćby z najnowszych produkcji Disneya czy telewizji. Równolegle proponujemy jednak opowieści, które wyciągają z cyfrowej rzeczywistości. Taką historią będzie wspomniana „Dzika banda" – opowieść o bardzo różnorodnej wspólnocie zwierząt. To spektakl o współobecności, odchodzeniu od rywalizacji i porównywania się, będący odpowiedzią na świat permanentnej oceny i presji bycia najlepszym.

A co dalej z repertuarem?

Trwa konkurs, który rozstrzygnie, kto będzie budował repertuar od przyszłego sezonu. W bieżącym „Tarabumba! Ale Cyrk..." i „Alicja w Krainie Czarów" dobrze pokazują kierunek naszego myślenia o teatrze i widzu.

„Alicja w Krainie Czarów" to trudna książka. Dla jakiego wieku jest ten spektakl?

Dla widzów od około dziesiątego roku życia. To historia nieoczywista i momentami abstrakcyjna. Adaptacja Martyny Lechman pokazuje Alicję jako postać krążącą między światem domu a fantazją. Być może jest to ucieczka, a może sposób radzenia sobie z napięciami codzienności. Myślę, że odczytania tego spektaklu mogą być różne.

Jak wygląda proces doboru repertuaru, skoro większość widowni to dzieci i młodzież?

Najłatwiej byłoby grać wyłącznie baśnie i lektury szkolne, ale nie tędy droga. Współczesna dramaturgia dla młodych widzów porusza tematy wcześniej nieobecne – choćby śmierć czy dojrzewanie. Można o nich mówić w sposób, który nie traumatyzuje, lecz przygotowuje na złożoność życia.

Staram się, by w każdym sezonie pojawiała się propozycja dla pięciu grup wiekowych: od najnajów po dorosłych. Ten model się sprawdza – zainteresowanie jest realne. Coraz częściej rozstajemy się też ze starymi tytułami, bo zmieniły się estetyka, język i technologia teatru. A przede wszystkim wymagania widzów.

Zależy mi, by Groteska była teatrem lalek w nowoczesnym wydaniu. Szukamy nowych form – jak w „Tarabumbie", z galerią postaci inspirowanych estetyką Muppetów. Miękkie, mimiczne formy pozwalają na żywą relację z widzem i sprawiają, że dzieci chcą wracać. Dlatego myślimy też o kolejnych odsłonach „Misia Tymoteusza".

Czy Groteska ma dziś publiczność wielopokoleniową?

Zdecydowanie tak. Bardzo często słyszymy: „Chodziłam tu jako dziecko". Kluczowe jest przeprowadzenie widza przez wszystkie etapy – od spektakli najnajowych, przez dziecięce, młodzieżowe, aż po dorosłe. Potem widzowie wracają z dziećmi i wnukami.

Kraków sprzyja takiemu obiegowi kultury. W dłuższej perspektywie pomogłyby też instytucje łączące edukację kulturalną od najmłodszych lat. Zwłaszcza dziś, w świecie cyfryzacji i skrótów, realne doświadczenie teatru staje się jeszcze ważniejsze. Teatr Groteska jest marką od lat – i ta ciągłość jest dla mnie kluczowa.



MAREK ZIMAKIEWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

DR KAROL SUSZCZYŃSKI – dyrektor Teatru Groteska w Krakowie, historyk i badacz teatru lalek, pedagog związany z Akademią Teatralną im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, Filią w Białymstoku.

NOWE WYSTAWY W BUNKRZE SZTUKI

Kraków

bunkier sztuki

Fałszywe widoki

Łukasz Stokłosa

False views

28.01–05.04.2026

Kuratorka *Curator:* Katarzyna Waś

REKLAMA



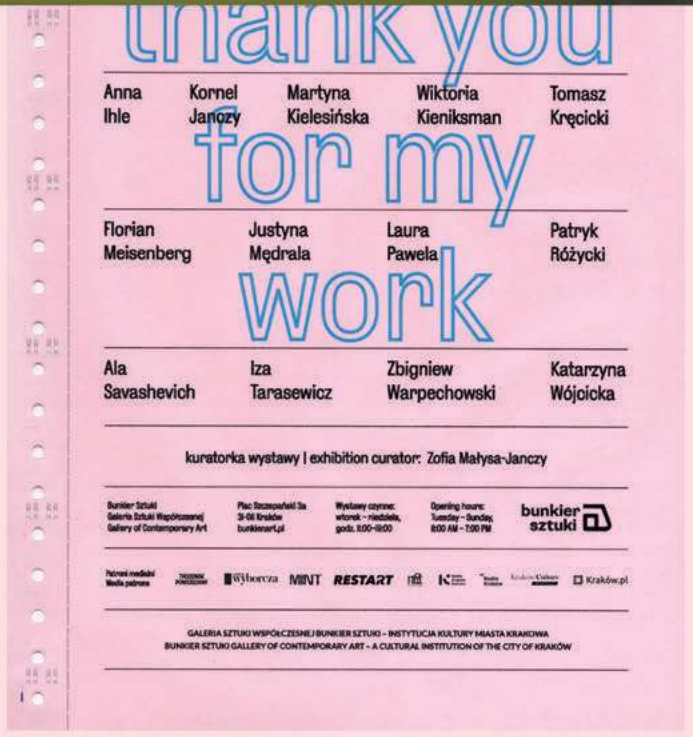







JAN SZEWCZYK / GALERIA ARSENAŁ W BIAŁYMSTOKU

Wystawa Żanny Kadyrowej „Awulsja", Galeria Arsenał w Białymstoku, praca „UCHODŹCY", 2022-2025, rośliny, kasetony świetlne, teksty. Dzięki uprzejmości artystki i GALLERIA CONTINUA

Na co do muzeum

PIOTR KOSIEWSKI

Sztuka współczesna wkracza do muzeów sztuki dawnej. Coraz częściej poznajemy także twórczość tworzoną przez polskie artystki. Korzystajmy z tego.

Miniony rok stał pod znakiem sztuki kobiet, a my mogliśmy zobaczyć kilka ważnych wystaw – od „Chcemy całego życia" w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie, bardzo obszernej prezentacji „Co babie do pędzla?! Artystki polskie 1850-1950" w lubelskim Muzeum Narodowym, po „Kierunek Paryż. Polskie artystki z pracowni Bourdelle'a" w warszawskiej Królikarni. W listopadzie zaś w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej otworzyła się „Kwestia kobieca: 1550-2025" (wystawa potrwa do 3 maja). To punkt obowiązkowy dla wszystkich, których interesuje sztuka.

Dlaczego? Otóż po raz pierwszy w naszym kraju można zobaczyć prace kolejnych pokoleń zagranicznych artystek, poczynając od renesansowych malarek Sofonisby Anguissoli i Lavinii Fontany, po tworzące obecnie: Marlene Dumas, Lubainę Himid i Andrę Ursutę. Na ekspozycji nie zabrakło też przedstawicielek najmłodszego pokolenia, urodzonych w ostatniej dekadzie XX w. W centrum stolicy powstała tym samym bardzo obszerna (150 artystek!), wielowątkowa opowieść o kobietach w sztuce i sztuce tworzonej przez kobiety, uwzględniająca to, jak one same siebie przedstawiały oraz z jakimi ograniczeniami, przede wszystkim w edukacji, musiały się mierzyć.

Wiele prac prezentowanych na wystawie powstało przed dekadami, a nawet wiekami. Dziś należą już do klasyki historii sztuki. Jednak „Kwestia kobieca" nie jest wystawą historyczną, dotyka bardzo aktualnych spraw. A współczesny wymiar tej ekspozycji wzmacnia inna wystawa, zorganizowana równolegle w Muzeum Sztuki Nowoczesnej (także do 3 maja). „Miasto kobiet" to propozycja składająca się z czterech odrębnych części poświęconych tradycji i współczesności sztuki feministycznej.

Nie tylko Łodzianki

W nadchodzących miesiącach nie zabraknie podobnych wystaw. W Muzeum Miasta Łodzi do 31 maja można oglądać „Łodzianki-Inicjatorki". To prezentacja aż 120 kobiet, nie tylko artystek, związanych z tym miastem od czasów zaborów i gwałtownego rozwoju Łodzi, poprzez II Rzeczpospolitą i walkę o prawa kobiet w niepodległym państwie, po II wojnę światową i rolę Łodzianek w funkcjonowaniu miasta po 1945 r. To pierwsza tak obszerna prezentacji historii Łodzianek i nadal jedna z nielicznych w Polsce pokazujących ich dzieje w konkretnej miejscowości, w lokalnych uwarunkowaniach społecznych, ekonomicznych i kulturowych.

Z kolei 20 lutego w warszawskiej Zachęcie otworzy się wystawa „Ja dla siebie nie istnieję" Krystyny Wojtyny-Drouet, jednej z twórczyń Polskiej Szkoły Tkaniny (czynna do 5 kwietnia). To m.in. za sprawą tej obchodzącej niedawno swe ↦

↦ setne urodziny artystki nasza tkanina osiągnęła tak znaczne, także międzynarodowe sukcesy. Wojtyna-Drouet z nią eksperymentowała, wprowadzając m.in. nowe materiały: sizal, ceramikę czy metal. Zmieniała też sposób jej postrzegania.

Dzisiaj, na fali ponownego zainteresowania tkaniną, organizowania kolejnych wystaw oraz przypominania spychanego trochę na margines głównego obiegu sztuki dorobku zajmujących się nią twórców i twórczyń, częściej sięgają po nią młodsze pokolenia artystek i artystów. Jak dzisiaj wygląda tkanina, można się przekonać, oglądając 18. już Międzynarodowe Triennale Tkaniny w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, najstarszą obecnie i największą tego typu imprezę na świecie (trwa do 12 kwietnia).



Wystawa „Formy obecności. Sztuka Łemków/ Rusinów Karpackich", Muzeum Etnograficzne w Warszawie; Dawid Zdobylak, „W dniu końca świata", 2023-2024

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNEGO W WARSZAWIE

Partum i Szapocznikow

Alina Szapocznikow w tym roku obchodziłaby setne urodziny. Tej rocznicy nie zauważyli politycy i polityczki, ani, co najbardziej zdumiewające, MKiDN. Nie uznano, by zmarła w 1973 r. artystka, jedna z najważniejszych postaci w polskiej sztuce nie tylko XX w., zasługiwała na oficjalne obchody.

Rocznicę zauważyły szczęśliwie muzea i galerie. Od 20 marca do 23 sierpnia br. prace Szapocznikow można będzie zobaczyć w Muzeum Narodowym w Krakowie. Wystawa skupi się na cielesności. Na ciele w wymiarze zmysłowym, erotycznym, jak i nośniku pamięci, traum, choroby. Z kolei w październiku w Zachęcie otworzy się wystawa, na której zostaną zestawione prace Aliny Szapocznikow i irańsko-niemieckiej rzeźbiarki Nairy Baghramian.

Z kolei 80. urodziny Ewy Partum postanowił uczcić krakowski MOCAK. Trwająca od 7 marca do 14 czerwca br. wystawa „Contemplating Art, Contemplating Love", pokaże jedną z kluczowych postaci polskiej sztuki w kontekście twórczości innych neoawangardowych artystek i artystów, a jednocześnie zderzy ją z pracami współcześnie powstałymi, nawiązującymi do dziedzictwa konceptualizmu oraz do tradycji feminizmu.

Nie będzie to jedyna w tym roku prezentacja sztuki kobiet w MOCAK-u pod kierownictwem Adama Budaka, który objął stanowisko w ubiegłym roku, po burzliwych wydarzeniach związanych z odwołaniem swojej poprzedniczki. Jesienią odbędą się prezentacje dwóch ważnych współczesnych artystek amerykańskich: Kiki Smith i Eleanor Antin.

Jarema i Mehretu

Już 19 marca br. w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej otwierają się dwie równoległe wystawy poświęcone Marii Jaremie i Julie Mehretu. Pierwsza z nich to klasyczka polskiej nowoczesności, malarka, rzeźbiarka i scenografka, członkini pierwszej i drugiej Grupy Krakowskiej. Druga, urodzona w 1970 r., to teraz jedna z najbardziej wpływowych amerykańskich artystek, obecna w najważniejszych muzeach i galeriach.

Pomysł zestawienia Marii Jaremy i Julie Mehretu jest nieoczywisty – to mogą być jedne z najbardziej intrygujących wystaw roku 2026. Prezentacje pozwolą na nowo spojrzeć na twórczość Jaremy i zadać pytania o jej aktualność oraz miejsce nie tylko w polskiej historii sztuki. Obie wystawy będą też okazją do refleksji nad politycznym potencjałem abstrakcji.

W najbliższych miesiącach nie zabraknie również prezentacji innych artystek. W warszawskiej galerii lokal_30, na wystawie zainspirowanej filmem Piera Paola Pasoliniego z 1966 r., prace Zuzanny Janin, Diany Lelonek czy Anny Orbaczewskiej zostaną zestawione z dziełami Marii Anto, Jolanty Marcolli i Bożeny Wahl. Będzie to próba, jak piszе twórczyni wystawy Agnieszka Rayzacher, „odnalezienia tropów tego nieoczywistego, chrześcijańsko-marksistowskiego traktatu w sztuce współczesnej" (wystawa czynna od 14 lutego do 3 kwietnia).

Bliżsi i dalsi sąsiedzi

Z kolei do 15 lutego br. w białostockiej Galerii Arsenał można oglądać indywidualną wystawę Żanny Kadyrowej, jednej z najciekawszych obecnie ukraińskich artystek – w tym roku będzie reprezentowała swój kraj na Międzynarodowym Biennale Sztuki w Wenecji. Kadyrowa opowiada w przejmujący sposób o wojnie, losie ludzi i roślin, bo natura także jest ofiarą przemocy.

20 marca br. w warszawskim Zamku Ujazdowskim otworzy się wystawa pod trochę zagadkowym tytułem „Ten kot został narysowany w czasie wojny", poświęcona temu, w jaki sposób opowiadana jest wojna, zarówno ta obecna w Ukrainie, jak i wojna trwająca po rozpadzie Jugosławii, czy II wojna światowa.

Tego samego dnia zostanie otwarta druga wystawa, zatytułowana „O czym mowa, kiedy rozmawiamy o Krymie". Artyści i artystki reprezentujący różne pokolenia będą się przyglądali temu, jak jest kształtowany wizerunek półwyspu i jaką rolę pełnił i pełni Krym.

Rosyjska agresja na Ukrainę wymusza pytania o miejsce Polski na mapie Europy, także tej artystycznej. Coraz częściej oka-

zuje się, że nasze instytucje mogą być przestrzenią rozmowy zarówno o europejskim kolonializmie, jak i rosyjskim imperializmie. Miejscem, w którym spotykają się artystki i artyści z naszego regionu, Białorusi i Ukrainy, z ich koleżankami i kolegami z krajów Globalnego Południa.

Do 8 lutego w Zachęcie można oglądać „O czym wspólnie marzymy? Globalne związki – porzucone przyjaźnie", która przypomina o artystycznych relacjach PRL-u z krajami Globalnego Południa, m.in. Indiami, Wietnamem czy Palestyną. I jednocześnie mówi o współczesnych relacjach.

Twórczość już historyczną, w tym Inji Eflatoun, pionierki sztuki nowoczesnej w Egipcie, zastawiono z pracami Minervy Cuevas, Marysi Lewandowskiej, Ibrahima Mahamy czy Ahmeta Öğüta. Za ich pomocą postawiono istotne pytania. Na ile przeszłość, także ta skomplikowana, stwarza możliwości zrozumienia i współpracy dziś? Czy i w jaki sposób można te relacje odbudować w nowym kontekście polityczno-społecznym, w czasach kryzysu migracyjnego, zmieniającej się struktury społecznej w Polsce oraz wobec napływu migrantów z Globalnego Południa? I jaka jest rola instytucji kultury w tych czasach.

W sąsiadującym z Zachętą Państwowym Muzeum Etnograficznym można z kolei zobaczyć inną ekspozycję – „Formy obecności. Sztuka Łemków/Rusinów Karpackich" (do 30 czerwca br.). Jest to zapewne jedna z najważniejszych wystaw 2026 r. Bardzo szeroko prezentuje dorobek artystyczny tej rozproszonej dziś społeczności: od Polski, Ukrainy, Słowacji, Węgier, Serbii po diasporę w Stanach Zjednoczonych. Znalazły się na niej prace m.in. Andy'ego Warhola, ale przede wszystkim artystek i artystów funkcjonujących dotąd poza głównym nurtem sztuki, lub, jak Nikifor, spychanych przez lata do szufladki „etnografia". To pierwsza tego typu propozycja, przełamująca spojrzenie na ten dorobek.

Czas na Stokłosę

W styczniu na Zamku Królewskim w Warszawie znalazły się obrazy Łukasza Stokłosy. Przedstawiają m.in. fragmenty królewskich wnętrz: Charlottenburga, Wersalu czy Łazienek Królewski. Regalia i cenne historyczne obiekty. Prace umieszczono w historycznych pomieszczeniach, m.in. w Sali Tronowej, ale także z Pokojach Matejkowskich. Zawisły obok dawnego malarstwa lub umieszczono je na cennych meblach. Stały się swoistym komentarzem do zamkowej przeszłości i do dzieł zgromadzonych w królewskiej rezydencji.



IAN EDQUIST / MSN

Wystawa „Kwestia Kobieca 1550–2025", Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie; Betty Tompkins, „Kobiety słowa (Artemisia Gentileschi #2)", 2024, dzięki uprzejmości Betty Tompkins i P·P·O·W Gallery,New York



IVAN EROFEEV / MATERIAŁY PRASOWE ZACHĘTY

Po prawej: Wystawa „O czym wspólnie marzymy? Globalne związki — porzucone przyjaźnie", Zachęta; Nadira Husain, „Nawiedzone muzeum", fragment instalacji, Art Basel Unlimited, 2025

Trwająca do 27 września wystawa 40-letniego artysty nie jest pierwszą prezentacją jego prac w historycznych wnętrzach. W ubiegłym roku można było jego prace zobaczyć w Zamku Królewskim na Wawelu. Była to zresztą pierwsza wystawa współczesnego artysty w tej szczególnej rezydencji.

Obie te ekspozycje – warszawska i krakowska – pokazują ciekawy nurt: sztuka aktualnie powstająca coraz częściej wkracza do muzeum sztuki dawnej. Na Wawelu do 15 marca trwa wystawa „A może coś innego?" poświęcona obecności twórczości Edwarda Dwurnika, Marcina Maciejowskiego i Jerzego Nowosielskiego, ale prezentująca również meble zaprojektowane specjalnie dla Zamku przez Mariana Sigmunda – jeden z najciekawszych przykładów designu doby PRL-u. Z kolei od kwietnia w ogrodach będzie prezentowana praca Joanny Rajkowskiej.

Od stycznia w krakowskim Bunkrze Sztuki trwa także monograficzna ekspozycja Stokłosy „Fałszywe widoki" (czynna do 5 kwietnia). Znalazły się na niej prace z ostatnich lat – pejzaże, portrety i martwe natury – w których artysta nieustannie gra z przeszłością i tworzy jej coraz to nowe wyobrażenia. To, co realne, przenika się z przestrzeniami wykreowanymi przez artystę. © PIOTR KOSIEWSKI

Siedlisko

MACIEJ KOSZEWSKI

Najnowsza adaptacja „Dnia listopadowego" Jarosława Iwaszkiewicza to opowieść, w której każdy z nas może odnaleźć siebie.



WALDEMAR KOMPAŁA / TVP

Bartosz Gelner jako Kazik, Julia Kijowska jako Hanka w spektaklu Teatru Telewizji „Dzień listopadowy", reż. Jan Kidawa-Błoński

Czytelnicy Jarosława Iwaszkiewicza prędzej czy później zwracają uwagę, że w prozie tego autora ważne są nie tyle słowa wypowiadane przez bohaterów, ile słowa przez nich niewypowiedziane. Pisarz eksploruje wielobarwność ludzkiego doświadczenia, a każdy i każda z nas może w tym obrazie znaleźć fragment swojej prywatnej historii. To dlatego Iwaszkiewicz będzie zawsze aktualny.

To zapewne jeden z powodów, dla którego osoby odpowiedzialne za repertuar Teatru Telewizji po raz kolejny postawiły na Iwaszkiewicza. Po oryginalnej interpretacji „Matki Joanny od Aniołów" w reżyserii Weroniki Szczawińskiej na afisz trafił „Dzień listopadowy" w adaptacji Jana Kidawy-Błońskiego.

Akcja – inaczej niż w opowiadaniu – nie rozgrywa się w leśniczówce, co znajduje wielostronne uzasadnienie. Trudno dziś postrzegać zawód leśnika i miejsce jego zamieszkania w kategoriach dzikiego azylu. A jak pogodzić pracę w Lasach Państwowych z osobą rozchwianego wewnętrznie Karola? Reżyser z autorką adaptacji, Alicją Regiewicz, zdecydowali się przebranżowić iwaszkiewiczowskiego bohatera na dość nieokrzesanego właściciela agroturystyki.

Akcja nowego „Dnia listopadowego" rozgrywa się w oddalonym od świata siedlisku. Przyroda i jej pełne melancholii listopadowe oblicze jest w tej realizacji ważną bohaterką. Liczne ujęcia pejzażu budują spójną opowieść o wewnętrznych rozterkach Karola oraz jego gosposi Hanki. Strategia psychizacji krajobrazu jest zresztą chwytem bliskim poetyce samego Iwaszkiewicza. Dla poety ze Stawiska pejzaż był przecież zsubiektywizowanym obrazem konkretnych przeżyć i doświadczeń.

Istotą „Dnia..." jest zestawienie dwóch odmiennych postaw wobec życia – witalnej (jej istotą jest eros) i fatalnej (tanatos). W wizji Kidawy-Błońskiego główny akcent utworu zostaje przeniesiony na dramat rozgrywający się między niekochanym synem-uciekinierem a skoncentrowaną na sobie matką-aktorką. Ewa Wiśniewska stworzyła zresztą w tej produkcji postać bardzo sugestywną. Nie wiemy, kiedy Starska jest sobą, a kiedy gra. Odnosimy wrażenie, że każdego traktuje jak potencjalnego widza.

Nie bez przyczyny irytuje to Karola, który prawdopodobnie całe życie próbował przebić się przez twardą skorupę aktorskiej kreacji Starskiej, by w jej skrzętnie ukrywanym wnętrzu odnaleźć matkę. Karol z jednej strony żywi nienawiść do matki, którą zachęca do zatrzymania się na dłużej, z drugiej tworzy fantazmatyczny obraz ojca, którego w zasadzie nie znał.



WALDEMAR KOMPAŁA / TVP

Ewa Wiśniewska jako matka, Olaf Lubaszenko jako Karol w spektaklu Teatru Telewizji „Dzień listopadowy"

Ojcowska kreacja Olafa Lubaszenki jest konsekwentna i chwilami szalenie przejmująca. Oto mężczyzna w średnim wieku, zachowujący się irracjonalnie, targany emocjami i niezdolny do jakiegokolwiek sensownego dialogu udaje, że żyje (podobnie jak udaje, że pali papierosy).

Relacje wszystkich bohaterów, a raczej sploty konfrontacji, utrzymują widza w niepokojącym napięciu. Bardzo oryginalnym i autorskim pomysłem twórców tego spektaklu jest finałowa, psychoterapeutyczna scena „odgrywania ról" z gosposią Hanką. Zaś największą zagadką jest postać Kazika wykreowanego przez Bartosza Gelnera. Jest w nim coś złowrogiego, jakby synteza Janka i Arka z „Kochanków z Marony". Hanka upatruje w tym mężczyźnie swoją przyszłość, ale – i tu znowu widać psychologiczny uniwersalizm reżysera i autorki adaptacji – boleśnie przekonuje się, jak niebezpieczne będzie to oczekiwanie.

Niespodzianką jest przywołanie fotografii Jarosława Iwaszkiewicza. Kontekst, w jakim się pojawia, sugeruje, że to zdjęcie małego Karola z ojcem (w rzeczywistości to zdjęcie poety z córką Marią). Klamrą kompozycyjną, otwierającą i zamykającą spektakl, jest zaś motyw muzyczny skomponowany przez samego autora opowiadania (fragment menueta z 1918 r.). ©

Autor jest adiunktem w Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku.

Premiera w Teatrze Telewizji:
26 stycznia 2026 r.
Spektakl dostępny na stronie
teatrtv.vod.tvp.pl

REKLAMA



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Duża Scena

teatrwkrakowie.pl

Stanisław Wyspiański

WYZWOLENIE

Reżyseria: Maja Kleczewska

PREMIERA: 28 lutego 2026

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
KULTURALNA MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy Teatru
BMW M-Cars Group
Bielenda Group

Patroni medialni Teatru
65 TVP 3 Kraków
TEATR DLA WSZYSTKICH



OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep Tygodnika Powszechnego

Tylko do końca stycznia promocja do **-20%**

ZAMÓW

na książki e-booki e-wydania

sklep.TygodnikPowszechny.pl

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

DZIEJE SIĘ NA MAZOWSZU

MAGDALENA ULEJCZYK, DYREKTORKA MAZOWIECKIEGO INSTYTUTU KULTURY:

MIK to wiele instytucji w jednej: od galerii i kina studyjnego, przez fundusz filmowy, po wsparcie lokalnych liderek i kadr kultury w całym regionie.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Mazowiecki Instytut Kultury łączy różne porządki: Warszawę i region, nowoczesność i poszanowanie dla tradycji, sztukę i pracę społeczną.

MAGDALENA ULEJCZYK: Jesteśmy instytucją regionalną Samorządu Województwa Mazowieckiego, o złożonej tożsamości. Powstaliśmy z połączenia kilku instytucji scalonych po zmianie systemu.

Działamy przy ul. Elektoralnej 12, na granicy dawnego getta, w miejscu o silnym kontekście historycznym. Budynek, częściowo zniszczony w czasie wojny, mieścił przed 1939 rokiem Szpital Świętego Ducha, a po wojnie Warszawski Ośrodek Kultury. To dziedzictwo wpływa na sposób, w jaki myślimy o naszej roli.

To dziedzictwo jest obecne w codziennym funkcjonowaniu instytucji?

Tak. Sala widowiskowa mieści się w dawnej kaplicy, a wielowarstwowość miejsca stale towarzyszy naszej pracy. Po zmianie systemu dołączono do nas m.in. stołeczne Biuro Wystaw Artystycznych – dziś prowadzimy cztery galerie: Foksal, XX1, Test i Elektor. Jest też dział muzyki oraz teatru i literatury – dawny Teatr Praga. W naszej siedzibie działa jeszcze Czytelnia Słów i Dźwięków Elektra, która wydaje m.in. płyty winylowe – w związku z rokiem Mieczysława Fogga pracujemy nad kolejnym wydawnictwem. W praktyce to kilka instytucji w jednej.

Kilkanaście lat temu zdecydowano również, że będzie u nas działał fundusz filmowy. Od lat dofinansowujemy polskie produkcje, dziś wspólnie z Miastem Stołecznym Warszawa – to ponad trzy miliony złotych rocznie. Wspieraliśmy m.in. „LARP", „Listy z Wilczej", „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej", a w tym roku premierę miała „Wielka Warszawska".

Fundusz filmowy to jedna z kluczowych osi działalności?

Jedna z ważniejszych. Inną jest Kino Studyjne Luna, otwarte po remoncie w marcu ubiegłego roku. Dziś projektujemy jego przyszłość – po dekadach bez modernizacji wymaga gruntownych zmian. To jednocześnie planowanie instytucji i prognozowanie rynku widza.

To jednak tylko jeden, bardziej artystyczny obszar naszej działalności. Drugi to wsparcie kadr kultury na Mazowszu. Prowadzimy programy szkoleniowe i konkursy, takie jak Mazowiecki Menadżer Kultury czy Impuls Kultury, głównie z myślą o osobach działających w mniejszych, często upolitycznionych miejscowościach.

Szczególnie widoczne są projekty społeczne: Uniwersytet Trzeciego Wieku, koła gospodyń i gospodarzy, także miejskie, które w naszej siedzibie prowadzi Elektra. Widzimy też zmianę pokoleniową na Mazowszu, zwłaszcza wśród sołtysek – coraz częściej są to młode kobiety wracające z Warszawy do mniejszych miejscowości i działające lokalnie.

Czyli to inicjatywy oddolne, ale wspierane systemowo?

Tak. W ramach Mazowieckiego Programu Edukacji Kulturalnej współpracujemy m.in. z sołtyskami. Zaczynają od lokalnej historii, a my wspieramy je pracą artystów i animatorek kultury. Była choćby Wola Cygowska, gdzie działa prężna liderka Anna Elsner, sołtyska, prezeska Fundacji Działaj do Woli i członkini Koła Gospodyń Wiejskich, której projekt „SpoTKANIA" został ostatnio nagrodzony w konkursie Impuls Kultury.



R. LATOSZEK / MATERIAŁ PRASOWY

Organizujemy też objazdy po regionie dla osób działających w kulturze – poznają się, sieciują i inicjują wspólne działania

Silnie rozwijamy ofertę dla dzieci i młodzieży poprzez m.in. Dziecięcy Uniwersytet Sztuki, Scenę Młodego Widza czy seanse Kino Szkoły w Lunie. Kluczowe jest tu wsparcie Samorządu Województwa i program „Kulturalna szkoła na Mazowszu", dzięki któremu młodzi widzowie mogą korzystać z mazowieckiej kultury za symboliczną złotówkę. Tysiące dzieci po raz pierwszy mają kontakt z kulturą – w samym kinie skorzystało z niego ok. 25 tysięcy najmłodszych.

Jak w praktyce wygląda zarządzanie instytucją kultury, która działa na terenie Warszawy i całego Mazowsza?

To jedno z większych wyzwań. Warszawa to osobny organizm, region rządzi się inną logiką. Staramy się reagować na różne potrzeby, balansując między produkcją wydarzeń a wsparciem regionalnym. Jesteśmy jedyną instytucją o *stricte* regionalnym charakterze w województwie, co wiąże się z dużą odpowiedzialnością.

A co będzie najważniejsze w najbliższych miesiącach?

Gramy spektakl „Jadwiga" (zdj. po lewej)– monodram Agnieszki Przepiórskiej o Jadwidze Stańczakowej, powstały w ramach festiwalu Sztuki Kobiet Persona. 7 lutego pokazujemy go w Mazowieckim Instytucie Kultury, potem jedziemy z nim po regionie.

27 stycznia ogłaszamy matronkę kolejnej edycji Persony – Jolantę Brach-Czainę. Powracamy z projektem „Scena Start" dla młodych twórców – 9 lutego pokażemy nagrodzony na Gdańskim Festiwalu Szekspirowskim spektakl „Wszyscy jesteśmy Ryszardami. Ekshumacja 2000".

W tym roku obchodzimy również 60-lecie Galerii Foksal. Zaczynamy wystawą Anny Zaradny „Enjoy the Silence", dostępną do 7 marca. Ważnym elementem pozostaje też wsparcie kadr kultury – m.in. poprzez podkast „Dobry stan kultury", którego najnowsze odcinki poświęcone są relacjom kultury z mediami oraz nowemu mecenatowi.



A. STAWIŃSKI / MATERIAŁ PRASOWY

MAGDALENA ULEJCZYK jest dyrektorką Mazowieckiego Instytutu Kultury, odpowiada za program instytucji oraz działania wspierające kadry kultury w regionie.

Więcej informacji o nas i naszych wydarzeniach na stronie:

www.mik.waw.pl

oraz w naszych social mediach

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Wiosna w Operze

Operowa inscenizacja „Ślubu”, premiera opery „Król Roger” oraz kolejna edycja festiwalu „Przedwiośnie Baletowe” – Teatr Wielki w Poznaniu zaprasza na wiosenne wydarzenia!



ARCHIWUM TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU X2

Gdzie kończy się sen, a zaczyna koszmar...

„Ślub” Zygmunta Krauze w reżyserii Krzysztofa Cicheńskiego, który przygotował libretto na podstawie dramatu Witolda Gombrowicza, powraca na scenę pod Pegazem. Prapremierę „Ślubu” (listopad 2024) uznano za jedno z ważniejszych wydarzeń sezonu. „Odchodzę w myśleniu o »Ślubie« od tradycyjnych skojarzeń z tym, co wokół Gombrowicza narosło, od haseł typu »gęba« i »pupa«. Dla mnie najbardziej inspirująca jest tu konstrukcja psychiczna bohatera. Do końca nie wiemy, co jest jego snem, a co jawą” – mówi reżyser. Kompozytor posługuje się dużą orkiestrą symfoniczną, która momentami brzmi niemal filmowo, a wplecione w partyturę rytmy tanga i habanery potęgują aurę tajemniczości i niepokoju. Wystąpią m.in. Michał Partyka, Jan Jakub Monowid i Łukasz Konieczny. Solistów, chór i orkiestrę poprowadzi Katarzyna Tomala-Jedynak. Realizacja „Ślubu” łączy artystów różnych generacji, scala ich wrażliwość w nieuchwytnym ciągu wzajemnych oddziaływań, których efektem jest inscenizacja z mocnym przekazem na miarę obecnych czasów (6–8.03.2026).

Więcej niż taniec. Pasja, emocje i współczesna choreografia

Na przełomie lutego i marca br. Poznań stanie się stolicą tańca współczesnego dzięki festiwalowi „Przedwiośnie Baletowe”. Projektowi przyświeca idea, aby pokazać nowe perspektywy tańca oraz kierunki, w których się rozwija. Obok debiutów choreograficznych istotnym elementem festiwalu jest prezentacja choreografii artystów o ugruntowanej pozycji. Festiwal otworzy spektakl „Spectrum 04”, będący debiutami choreograficznymi tancerek i tancerzy Baletu Teatru Wielkiego w Poznaniu. W tym projekcie artyści Baletu nie tylko tańczą i realizują się w roli choreografów, ale też przygotowują materiały promocyjne, scenografię, dobierają muzykę, kostiumy i oświetlenie. Takie podejście do spektaklu otwiera przed nimi nowe ścieżki kariery i pozwala odkryć nieznane dotąd formy ekspresji, nie tylko na scenie. Wcześniejsze edycje „Spectrum” pokazały, że kreatywność tancerek oraz tancerzy potrafi zaskoczyć i zachwycić publiczność.

W programie festiwalu nie zabraknie spektakli gościnnych: „Juvenalia 04” – Polski Balet Narodowy Junior, „Black and White” – National Theatre Brno (choreografia: Mário Radačovský), „Carmen” w choreografii Johana Ingera. Zapraszamy na spotkania z tańcem, który łączy pokolenia, style i techniki (27.02–14.03.2026).

Operowe misterium w oku psychoanalizy

„Król Roger” nie tylko przez samego Szymanowskiego uznawany był za dzieło wybitne – do dziś uważa się je za jedną z najważniejszych polskich oper XX wieku. Utwór z poetycką symboliką, szczególnym typem ekspresji i niezwykłą kolorystyką dźwiękową powstał z fascynacji Szymanowskiego antykiem, Orientem i filozofią Nietzschego – inspiracji, które kompozytor zebrał podczas podróży na Sycylię i do Afryki Północnej. Pełna kontrastów kompozycja łączy orientalne melodie, chrześcijańską liturgię i nowoczesny język muzyczny. Reżyserię „Króla Rogera” powierzono Krzysztofowi Cicheńskiemu, który od lat eksploruje przestrzenie leżące na styku teatru dramatycznego i operowego. Reżyser proponuje inscenizację łączącą mityczną Sycylię z nowoczesnym „gabinetem duszy”, gdzie Roger – utożsamiany w tej interpretacji z samym Karolem Szymanowskim – konfrontuje się z własnymi, wypartymi pragnieniami. Całość zmierzać będzie ku metafizycznemu finałowi. Kierownictwo muzyczne sprawować będzie Jacek Kaspszyk. W tytułowej partii wystąpi Szymon Mechliński (premiera: 24.04.2026, spektakle: 25, 26, 29, 30.04.2026).

„Ślub”, „Król Roger” oraz „Przedwiośnie Baletowe” – przed nami zaskakujące inscenizacje oper XX i XXI wieku oraz kalejdoskop współczesnej choreografii. Zapraszamy na spektakle, które zachwycą maestrią wykonania, poruszą i zapadną w pamięć. Teatr Wielki w Poznaniu to inspiracje do odkrywania operowego i baletowego świata. Na nowo.

www.opera.poznan.pl



„Ślub”: dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „Zamówienia kompozytorskie”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.
„Przedwiośnie Baletowe”: dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ORGANIZATORZY TEATRU

WIELKOPOLSKA | INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS TEATRU

Enea

TEATR WIELKI im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu

TONI SERVILLO

82
MOSTRA INTERNAZIONALE
D'ARTE CINEMATOGRAFICA
LA BIENNALE DI VENEZIA 2025
Best Actor

ANNA FERZETTI

PAOLO SORRENTINO
REŻYSER „WIELKIEGO PIĘKNA" ORAZ „MŁODOŚCI"

La Grazia

KTO MOŻE DECYDOWAĆ O NASZYM LOSIE?

Wspaniały,
pełen charakterystycznego
dla Sorrentino humoru i stylu.
—
The Hollywood Reporter



REKLAMA

Kreatywna Europa MEDIA

W KINACH

GF BOTEK FILM

Co masz na sobie

PIOTR KOSIEWSKI

Balenciaga, McQueen, Yves Saint Laurent, Vivienne Westwood – po raz pierwszy w Polsce tak obszernie i różnorodnie opowiedziano o roli ubioru.

Modę od dawna ogląda się w bardzo prestiżowych miejscach. Nowojorskie Metropolitan Museum of Art chlubi się swoimi zbiorami strojów, a doroczna gala Met uchodzi za jedno z najgłośniejszych wydarzeń, nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Z kolei Luwr po raz pierwszy w swej ponad dwustuletniej historii zaprezentował w tym roku prace najsłynniejszych projektantów. Wystawę „Louvre Couture" obejrzało ponad milion osób. To drugi pod względem frekwencji wynik paryskiego muzeum – niewiele więcej przyciągnęła jubileuszowa ekspozycja Leonarda da Vinci. Ekspozycja została uznana za przełamanie kolejnej bariery oddzielającej tzw. sztukę wysoką od użytkowej. I była udaną próbą przyciągnięcia nowej, młodej publiczności.

Zamek Królewski w Warszawie także sięga dziś po prace znanych projektantów. Na wystawie „Niech nas widzą!" znalazły się ubrania autorstwa m.in. Cristóbala Balenciagi, Alexandra McQueena, Paco Rabanne, Yves'a Saint Laurenta czy Vivienne Westwood. Jednak to nie ich obecność sprawiła, że należy koniecznie zobaczyć tę wystawę.

Ważniejsze jest to, że po raz pierwszy w Polsce tak obszernie i różnorodnie opowiedziano o roli ubioru, który „od szat królewskich po ekstrawaganckie kreacje współczesnych wizjonerów mody nieustannie sygnalizuje tożsamość, władzę, status społeczny, gust i poglądy", jak podkreślają twórcy ekspozycji.

W królewskiej rezydencji zgromadzono 250 eksponatów, w tym obrazy, rysunki, grafiki i rzeźby wykonane przez ponad 150 artystek i artystów. Są wśród nich dzieła mistrzów dawnego malarstwa, ale też cały szereg współczesnych prac: od Natalii LL i Edwarda Dwurnika po Marcina Maciejowskiego i Karolinę Jabłońską. A przeszłość nieustannie przenika się na tej wystawie ze współczesnością.

Ekspozycję otwiera wykonany z aksamitu wyszywanego srebrną nicią i obszyty gronostajem płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta Poniatowskiego. To obiekt szczególny – nawet jeżeli jest repliką zamówioną przez króla w związku ze złym stanem pierwszej purpury, należy do nielicznych polskich regaliów, które przetrwały. Późniejsze losy tego płaszcza są nie mniej symboliczne. Kolejnym jego właścicielem był ks. Józef Poniatowski. I to nim nakryto jego trumnę podczas nabożeństwa żałobnego w kościele Świętego Krzyża w Warszawie. Wreszcie – trafił do skarbca katedry na Wawelu.

Zawsze ogromne znaczenie miało to, co noszą ludzie sprawujący władzę oraz w jaki sposób są przedstawiani – trzeba zresztą pamiętać, że portrety, nie tylko władców, niekoniecznie odpowiadają rzeczywistości. Tworzone przez artystów i artystki wyobrażenia na temat królów i książąt były jednym z kluczowych narzędzi budowania wizerunku, a tym samym legitymizowania ich rządów.

August III Sas kazał się sportretować w stroju polskim, białym żupanie i czerwonym kontuszu. Płaszcz koronacyjny jest przewieszony na tronie, a insygnia koronacyjne leżą na stole. Nawet głowę król ma podgoloną „po szlachecku". Wszystko to, by pokreślić swoje związki z tradycją sarmacką i republiką szlachecką. Stanisław Poniatowski kazał się z kolei sportretować w zbroi, by zaznaczyć swoją rolę w stworzeniu Szkoły Rycerskiej. Jednej z tych inicjatyw, które miały zmodernizować Rzeczpospolitą. Królewski przepych nie znika wraz z monarchiami. Przeciwnie, przejmuje go burżuazja przemysłowa wieku XIX, nawet w tak republikańskim kraju jak Stany Zjednoczone.

Obok figury władcy na wystawie są też inne postaci: rycerza, myśliwego i filozofa. Wystawa pokazuje odwołania do ikonografii chrześcijańskiej, ale przede wszystkim do mitologii antycznej. Prezentuje wcielenia kobiet w postaci Minerwy, ale też Diany czy Flory. W ogóle w dobie nowożytnej chętnie odwoływano się do starożytności: zarówno do postaci historycznych z Cezarem na czele, jak też do Apolla, z którym tak chętnie utożsamiał się Ludwik XIV, a u nas – Stanisław August Poniatowski.



Wreszcie w modzie, zwłaszcza od XVIII w., coraz chętniej sięgano po wzorce zaczerpnięte z Orientu – odrębnym fenomenem był strój szlachecki, którego elementy zaczerpnięto ze wschodnich, nie tylko tureckich ubiorów. Lovis Corinth, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiego impresjonizmu, i Jacek Malczewski na początku XX w. malują własne portrety, w których stylizują się na dawnych rycerzy.

Warszawska wystawa pokazuje, w jaki sposób przekształcane, dekonstruowane czy wykorzystywane są dziś dawne wzorce. Z jednej strony przez projektantów mody, którzy potrafią sięgać do zaskakujących tradycji. Paco Rabanne w sukienkach projektowanych w latach 60.





MATERIAŁY PRASOWE X2

Płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Po lewej: Kostium arc en ciel / rainbow: żakiet, spódnica, z kolekcji Thierry'ego Muglera, Paryż, wiosna/ /lato 1990. Kolekcja Adama Leja.

odwoływał się np. do rycerskiej zbroi, a dwie dekady później rehabilitował gorset, którego odrzucenie było jednym z głównych postulatów ruchu kobiecego z przełomu XIX-XX w.

Z drugiej strony projektanci wykorzystują dawne wzorce do tworzenia współczesnych, czasami bardzo politycznych dzieł. Viola Głowacka bohaterkę swojej „Bitwy pod Empikiem" również ubrała w zbroję. Inni twórcy i twórczynie wykorzystują motywy z przeszłości, by dać głos tym, którzy byli pomijani czy marginalizowani, obnażając hipokryzję, nierówność i przemoc kryjące się za odwiecznymi figurami rycerza czy myśliwego.

Najciekawsze na wystawie jednak są prace, które idą pod prąd, jak twórczość Dominiki Kowyni. Jej uwagę zwróciły internetowe komentarze pod zdjęciami kobiet biorących udział w polowaniach. Wyrażano w nich oburzenie nie z powodu zabijania, lecz tego, kto się go dopuszczał. Namalowała więc uzbrojoną kobietę pochylającą się nad zastrzelonym zwierzęciem. Silną, władczą. „Zainteresował mnie zgrzyt – komentuje sama artystka – z jednej strony moja prozwierzęcość, z drugiej wściekłość na wciskanie kobiet w rolę opiekuńczą, uznanie ich za niezdolne do przemocy".

Wystawa, zorganizowana na Zamku Królewskim, w dużej części poświęcona jest elitom. Trudno jednak, doceniając jej wyjątkowość, nie zapytać o tych, których na niej pominięto. A lista jest długa. Nie tylko kler czy mieszczaństwo, ale przede wszystkim służba, nieodłączna część dworskiego życia. Niewidoczna niegdyś, a teraz niemalże niedostrzeżona przez twórców wystawy. Wyjątek zrobiono jedynie dla czarnoskórego służącego na portrecie książąt saskich autorstwa Stefana Torelliego i przebranych w orientalne stroje służących hrabiego Brühla na obrazie nieznanego autora, powstałym ok. 1747 roku.

Sytuacja zmienia się dopiero w ostatniej części wystawy, poświęconej obecnym czasom. Pokazującej modę, która się coraz bardziej demokratyzuje, podobnie jak sztuka. Jednocześnie to w tym czasie najlepiej widać paradoksy, opisywane przez jednego z twórców socjologii Georga Simmla w klasycznym, opublikowanym w 1905 r. tekście „Filozofia mody". Na przykład to, że jest ona naśladownictwem dominujących wzorów, a jednocześnie „zaspokaja pragnienie różnicowania". Łączy „tendencję ku społecznemu ujednolicaniu i pragnienie jednostkowego odróżniania się i zmiany".

Ubrania unifikują, służą podkreślaniu przynależności do określonych grup czy klas społecznych, a jednocześnie są narzędziem podkreślającym nasz indywidualizm. Bywają nawet, jak przed wiekami, politycznym narzędziem, co pokazały obywatelskie protesty w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy. Świetnie ten paradoks dwoistości funkcji ubioru pokazała Aneta Grzeszykowska w „Kate's Portfolio". To fotografia przestawiająca tę samą kobietę w różnych ubraniach, od bielizny po eleganckie stroje. Proces nieustannego przeobrażania się. Przyjmowania kolejnych tożsamości, które wyrażane są poprzez to, co się na siebie nakłada. ©

NIECH NAS WIDZĄ!
WIZERUNEK, STRÓJ, CIAŁO.
Wystawa czynna do 8 lutego 2026 r.



RAFAŁ WYRWICH



RAFAŁ WYRWICH

DORMITORIUM.
Tam, gdzie kończy się obojętność

Wchodząc do Galerii Jednego Dzieła w Muzeum Śląskim, można odnieść wrażenie, że trafia się nie tyle na wystawę, ile do czyjejś pamięci.

Rzędy metalowych łóżek – odzyskanych z wojskowego szpitala polowego – przywołują obrazy zbiorowych noclegów, tymczasowości, sytuacji granicznych. Obóz, szpital, schronienie. Przestrzeń, w której człowiek śpi obok człowieka, bo musi. „Dormitorium" Tomasza Górnickiego nie opowiada jednej historii. Raczej otwiera wiele drzwi naraz.

Miejsce z początku wydaje się opustoszałe. Stare, pozbawione materacy i rdzewiejące łóżka nie zachęcają do odpoczynku. Ich powtarzalność porządkuje przestrzeń, narzuca rytm, przywołuje skojarzenia z tymczasowością: szpitalem polowym, schroniskiem, miejscem zbiorowego snu. Nad nimi halogenowe światło, zaprojektowane tak, by skupiać uwagę w centrum. Dopiero w głębi dostrzegamy dzieci. Kilkanaście gipsowych rzeźb, precyzyjnie wymodelowanych, realistycznych, niemal klasycznych, rozproszonych pomiędzy stalowymi konstrukcjami. Nie dominują przestrzeni, nie są ustawione na piedestałach. Trzeba do nich podejść. Ich biel kontrastuje z półmrokiem otoczenia.

Jako kurator tej wystawy często obserwuję reakcje widzów. Najpierw cisza. Potem pytania. Dlaczego dzieci są same? Dlaczego tylko część łóżek jest „zajęta"? Co stało się z pozostałymi? „Dormitorium" uruchamia mechanizm, który dziś bywa dla nas niewygodny – zmusza do wzięcia odpowiedzialności, choćby na chwilę. Tomasz Górnicki wielokrotnie powtarzał, że pozostawienie rodzi traumę, a trauma, której się nie przepracuje, wraca. W tej przestrzeni te słowa nie brzmią jak deklaracja artystyczna, raczej jak spokojne, trudne przypomnienie.

Twórczość Górnickiego od lat krąży wokół ludzkiego ciała – jego kruchości, deformacji, podatności na przemoc i historię. Artysta tworzył rzeźby nielegalnie umieszczane w przestrzeni publicznej, balansujące na krawędziach budynków, ale też monumentalne realizacje wpisane w oficjalny porządek miasta. W „Dormitorium" ten gest zostaje wyciszony. Zamiast interwencji – mamy skupienie. Zamiast manifestu – odpowiedzialność. Motyw dziecka, często inspirowany wizerunkami jego własnych synów, staje się tu figurą najbardziej bezbronną, ale też najbardziej zobowiązującą.

Choć wystawa została otwarta pod koniec marca 2025 r., jej sens nie zamknął się w dacie inauguracji. Wręcz przeciwnie – im dłużej trwa, tym mocniej rezonuje z rzeczywistością. Górnicki w swoich wypowiedziach wielokrotnie odnosił się do obrazów płynących z Gazy czy innych miejsc dotkniętych wojną, choć nie znajdziemy tu dosłownych odniesień. „Dormitorium" działa inaczej. Nie pokazuje konfliktu. Pokazuje jego konsekwencje: ciszę po krzyku, puste łóżko, dziecko bez opiekuna.

Ważnym dopełnieniem wystawy stały się rozmowy organizowane w jej przestrzeni. Spotkania z cyklu „Artysta w rozmowie z..." – z udziałem architektów, filozofów, psychologów – przeniosły ciężar z samej kontemplacji na dialog. Rozmawialiśmy o bezpiecznej przestrzeni, o pomaganiu i o granicach empatii. O tym, że ratownik też musi oddychać. Te rozmowy nie dawały prostych odpowiedzi, ale potwierdzały jedno: „Dormitorium" jest miejscem, które domaga się głosu.

W świecie narastających napięć, zmęczenia informacjami i inflacji obrazów cierpienia, ta wystawa nie krzyczy. Raczej pyta cicho: czy jeszcze potrafimy być uważni? Czy mamy w sobie gotowość, by na moment zostać czyimś opiekunem – choćby tylko w galerii? I czy to, co wydarzy się w tej przestrzeni, jesteśmy w stanie wynieść poza jej mury?

„Dormitorium" nie daje ukojenia. Otwiera na uważność, a dziś to być może jedna z najrzadszych i najpotrzebniejszych form odpowiedzialności.

ŁUKASZ SZOSTKIEWICZ

DORMITORIUM. TOMASZ GÓRNICKI
Muzeum Śląskie w Katowicach / hol centralny

Kuratorzy:
Łukasz Szostkiewicz, Andrzej Holeczko-Kiehl

MATERIAŁ PARTNERA

ART COLLECT 2026

27 II - 1 III 2026 | WSTĘP WOLNY

NOWE TARGI SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

WYSTAWY | DYSKUSJE | SPOTKANIA

ARTYSTKI / ARTYŚCI:

Joanna Ambroz / Agnieszka Apoznańska / Kacper Biela / Michał Cygan / Karol Gawroński / Szaweł Płóciennik / Michał Prażmo / Michał Żyto

GALERIE:

AOKZ Łódź **/ ESTA** Gliwice **/ Galeria BRAMA** Gliwice **/ Galeria Dystans** Kraków **/ Galeria M²** Warszawa **/ Galeria S35** Łódź **/ Galeria Strefa A** Katowice i Kraków **/ Koning VIK Gallery** Brno **/ Lotna** Warszawa **/ Le Guern** Warszawa **/ Łęctwo** Poznań **/ Nocny Art Patrol** Warszawa **/ Przeciąg** Warszawa **/ Przypływ** Gdynia **/ Szaber** Kraków **/ Szokart** Poznań **/ UFO Art Gallery** Kraków **/ Van Rij Gallery** Kraków

www.artcollect.com.pl

MCK
MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KONGRESOWE

MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KONGRESOWE W KATOWICACH

REKLAMA

WYPRZEDAŻ ROCZNIKA SUBARU CROSSTREK Z ATRAKCYJNYM FINANSOWANIEM

JUŻ OD 76 450 PLN BRUTTO W KREDYCIE 50/50*
LUB W ELASTYCZNYM LEASINGU



SZCZEGÓŁY U DEALERÓW
DEALERZY.SUBARU.PL

*Podmiotem finansującym jest Santander F24 S.A. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) ustalona na dzień 23.12.2025 na podstawie reprezentatywnego przykładu dla samochodu Subaru Crosstrek o cenie 152 900,00 zł i przy udziale własnym klienta w wysokości 50% wynosi 2,05%, całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów) 76 450,00 zł, całkowita kwota do zapłaty 77 979,00 zł, oprocentowanie stałe 0%, całkowity koszt pożyczki 1 529,00 zł (w tym: prowizja stanowiąca 2 % całkowitej kwoty pożyczki, to jest 1 529,00 zł oraz odsetki 0 zł), umowa zawarta na okres 13 miesięcy, w 1 racie. Ubezpieczenie pojazdu w zakresie OC oraz Autocasco (wraz z ryzykiem kradzieży) jest obowiązkowe. Jego kosztu nie da się przewidzieć – nie został wliczony do RRSO. Obowiązuje wyłącznie dla samochodów z rocznika produkcji 2025. Liczba egzemplarzy ograniczona.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
ERGO HESTIA
YOKOHAMA

REKLAMA